

Halina Popławska

Wieczne powroty

Twórczość Haliny Popławskiej:

1. Cień dłuższego ramienia

1968 Iskry, 1993 Alfa

2. Klawikord i róża

1969 Iskry, 1994 Alfa

3. Renesansowa przygoda

1972 Iskry, 1993 Alfa

4. Szpada na wachlarzu

1974 Iskry, 1977 Iskry, 1987 Iskry Kord na vejifi - (przekład czeski Anetta Balajkova) 1981 wyd. Prace, Praha

5. Jak na starym gobelinie

1976 Iskry, 1981 Iskry, 1987 Iskry

6. Na wersalskim trakcie

1979 Iskry, 1988 Iskry

7. Talerz z Napoleonem

I. Róża

1986 Iskry

8. Talerz z Napoleonem

II. Anto

1988 Ischy

9. Hiszpańska romanca

1993 Alfa

Tryptyk rewolucyjny:

10. Kwiat we krwi

1994 Alfa

11. Szkalperz wandejski

1998 Bellona

12. Spadek w Piemencie

2001 Łośgraf

13. W przyćmionym świetle

2001 Novus Orbis Gdańsk

Opracowanie redakcyjne:

Ewa Ostrowska

Copyright:

Halina Popławska, Warszawa 2005

Oficyna Wydawnicza „Miniatura” w Gdyni

Współwydawca:

Silva Rerum, Warszawa

Wydanie pierwsze, Gdynia - Warszawa 2005 Skład i łamanie:

Studio graficzne - ars ludi; www.arsludi.pl Druk:

Drukarnia „Optima” S.C (058) 664 89 32

Do projektu okładki wykorzystano fot. Jana Bułhaka z książki „Kraj lat dzieciennych”
ISBN 83-89915-08-1

I

- To chyba tu...
- Ta rudera?
- Rudera... Ale to nasz dom... Gniazdo... Odbudujemy.
- Bój się Boga, Jula, chyba zwariowałaś! Chcesz odbudować tę ruinę?
- Czy nie rozumiesz, nie czujesz, że my stąd... że to nasze... ta ziemia..
- I co z tego? Co zrobisz z ziemią? Jeszcze nie wiadomo, czy nam oddadzą.
- Muszą... to przecież nasze... od dwustu lat.
- Z tego co słyszałem, to wcale nie jest takie proste, a poza tym to nie ma sensu.

Ta rudera wkrótce się zawali.

- Zawali się, jeśli jej nie podeprzemy. Ja do tego nie dopuszczę.
- Ty? Chcesz to odbudować?
- Chcę.
- Lepiej już zburzyć i postawić nowy dom.
- Nie.
- Doprawdy, Jula, miałem cię za rozsądną dziewczynę, a ty...
- Jestem jak najbardziej rozsądna. Uważam, że to nasz obowiązek.
- Jaki znowu obowiązek? Ojciec nigdy nie zgodzi się utopić pieniędzy w tej ruderze.

- Zobaczmy. Tymczasem proszę cię, nie wyrażaj się tak obelżywie o naszym domu.

Edwardf Sawoniewicz ze złością dodał gazu i zjechał z niewielkiego wzniesienia, skąd podziwiali okolice.

Dom rzeczywiście był rudera czy ruiną - wynik gospodarowania wszelkiego rodzaju użytkowników, w ciągu pół wieku niefrasobliwie dewastujących to, co jeszcze pozostawiła wojna.

Samochód sunął teraz powoli, zbliżając się do następnego wzniesienia, zwieńczonego ową właśnie rudera czy ruiną.

- Stój! - Jula poszukała klamki.
- Chcesz wysiąść?
- Naturalnie. A ty nie?
- Ja... no cóż, nie zostawię cię. Może niebezpiecznie łązić po tym rumowisku.
- Nie ma żadnego rumowiska. - Wzruszyła ramionami.

Trzasnęły drzwiczki i dziewczyna stanęła na zachwaszczonym podjeździe.

- Jak tu pachnie. - Odetchnęła głęboko. - I ta cisza...

Musiało pachnieć. Maj był w samym rozkwicie >

- Dom otaczał piękny ogród - zauważyła rozglądając się. -Mówił tatuś... I nic nie pozostało... Nic... same chwasty.
- Tatuś był dzieckiem i nie bardzo pamięta.
- Pamięta wszystko. Sam słyszałeś, jak opowiadał. Miał dziesięć lat, gdy wybuchła wojna.

- I co z tego?
 - Nic. Chciałabym, żeby tu był i zobaczył. - Obrzuciła dom uważnym spojrzeniem, jak gdyby oceniając jego stan. - A może lepiej, że tego nie widzi - dodała ciszej.
 - Z pewnością lepiej - mruknął brat, usuwając butem płożące się na zarosłej ścieżce zielsko.
 - Trzeba wejść do środka, zobaczyć...
 - W jaki sposób? - zaprotestował. - Widzisz przecież, drzwi zabito deskami.
 - I co z tego? - zadrwiła, przedrzeźniając go. - Obejdziemy dom i znajdziemy jakieś inne wejście, od tyłu.
 - Julia, opamiętaj się! - wskazał zwały śmieci, jakichś pozbawionych już nazwy resztek, które wraz z pokrzywami pieniącymi się swobodnie zalegały pobocza ścian.
 - Muszą być kuchenne drzwi - upierała się. - Chodź, sprawdzimy.
- Z daleka okrążyli dom. Wejście kuchenne, niestety, było równie niedostępne.
- Wracajmy. - Pociągnął ją z powrotem pod główne drzwi.
- Wstąpiła na splekane stopnie. W szczelinach rozpięta się zielsko, rozsadało rozbite kamienne płyty, torując drogę chwastom i zdziczałej trawie. Ganek był jedną ruiną.
- Ostrożnie, Julia - ostrzegał brat. - Uważaj na dziury. Złamiesz jeszcze nogę.
- 6
- Nie kracz. - Dotknęła drzwi.
 - Zostaw, możesz się skaleczyć.
- Cofnęła rękę. Rzeczywiście łatwo się było skaleczyć. Z niehe-blowanych desek najeżonych ostrymi drzazgami sterczały zardzewiałe gwoździe.
- Posłuchaj... - szepnęła nagle.
 - Co takiego?
 - Tam ktoś jest... wewnątrz...
- W panującej dokoła ciszy wyraźnie postyszeli kroki. Ktoś chodził po pustych pokojach parteru i wcale nie ukrywał swojej tam obecności. Widać w tej ruinie czuł się jak u siebie.
- Kroki zbliżały się, były już w sieni, a po chwili drzwi wraz z zabijającą je deską zaskrzypiały, jakby ktoś popychał je od wewnątrz.
- Julia uczepliła się ramienia brata.
- Drzwi, skrzypiąc coraz przeraźliwiej, pokonały wreszcie opór i otwierając się szeroko ukazały zadziwiający widok, którego nikt nie mógł się spodziewać w podobnej ruderze.
- Na progu stał niewysoki mężczyzna, chudy i mizerny, ze zmarszczonymi brwiami i niemłym skrzywieniem ust.
- Czego tu? - Głos nie brzmiał zachęcająco.
 - Chcielibyśmy obejrzeć dom.
 - Obejrzeć dom? A po co?
 - To nasz dom i przyjechaliśmy...
 - Poczekaj, Julia...
 - To mój dom - przerwał wyniośle nieznajomy. - Radzę wracać. - Wskazał

samochód. - Miasteczko daleko, a droga nie za dobra i lepiej za dnia...

- Przepraszam, kto pan właściwie jest?

- To raczej ja mam prawo zadać to pytanie. Obserwuję was od dłuższej chwili. Obchodzicie dom... Czego tu szukacie?

- Dom i cały dawny majątek jest naszą własnością. - Jula wbiła wzrok w twarz nieznajomego. - Chcemy wiedzieć, co pan tu robi?

- Doprawdy? - Zaśmiał się niemile. - Czy mam przedstawić dokumenty?

- Tak. '

- Spokojnie, Jula...

- Musiałaby się pani pofatygować do miasteczka. W gminie powiedzą.

7

- Co powiedzą?

- Kto ma prawo do majątku Bukły. Przepraszam, spieszę się. -Wyjął z kieszeni klucz i odsunął deskę skrywającą nowiutki zamek.

Drzwi, jak przy otwarciu, odegrały tę samą pełną skrzypiących zgrzytów melodię, z trzaskiem odgradzając ich od wnętrza domu.

Nieznajomy szybko zbiegł ze stopni, po chwili zakryły go gęsto tu rosnące chaszczce.

- Dlaczego pozwoliłeś...?

- A co miałem robić?

- Jak to co? To jakiś oszust... złodziej... Jedźmy do tej gminy.

- Zaczekaj. Widziałas tę sień?

- Widziałam.

- Co to znaczy? Ten człowiek...

- Ma jakiś dziwny akcent.

- Rzeczywiście dziwny. Nie słyszałem, żeby tak mówili Polacy.

- Jedźmy do gminy. Coś nam przecież powiedzą.

W milczeniu wsiadali do samochodu.

Główna ulica prowadziła do rynku - serca tej wiejskiej „metropolii”. Tu była poczta i najważniejsze urzędy. Na próżno jednak kołatali do właściwych drzwi opatrzonych tabliczką z orłem.

Hałas wywołał wreszcie policjanta z pobliskiego posterunku.

- Co to...?

- Chcemy do gminy...

- Nie widzi pan, która godzina? Już po urzędowaniu.

- Przyjechaliśmy...

- Interessantów przyjmują do szesnastej. Raz w tygodniu, w środę, do osiemnastej. Proszę przyjść w poniedziałek.

- Dopiero w poniedziałek?

- Tak, proszę pani.

- Chodźmy, Jula.

- A... Państwo w jakiej sprawie? - zainteresował się nagle policjant.

- W sprawie majątku Bukły.

- Już jest właściciel. Odnalazł się.

- To niemożliwe!

8

- Nie wiem, proszę pani. - Wzruszył ramionami i skrył się w drzwiach posterunku.

- Co robić?

- Tymczasem chodźmy coś zjeść. O tam, widzisz, chyba restauracja. Zostawili samochód i poszli.

W restauracji zajęte były tylko dwa stoliki. Przy jednym siedziała para, on i ona, z dobrze widać zaopatrzonym portfelem. Wśród półmisek sterczały butelki francuskiego wina.

Drugi stolik zajmował samotny mężczyzna, a kelnerka, jak zauważyli, darzyła go specjalnymi względami, tytułując panem doktorem.

- To chyba tutejszy lekarz - powiedziała cicho Jula. - Z pewnością zna mieszkańców i udzieli nam informacji.

- Najlepiej pójdźmy do kościoła - mruknął brat. - Może zachowały się dawne księgi parafialne. Popytamy księdza.

-s

Kościół w stylu nadwiślańskiego gotyku strzelał w niebo spiczastą wieżą, w wysokich oknach odbijało się słońce. Do drzwi prowadziły szerokie stopnie, po bokach, w kamiennych wazach, barwiły się kolorowo wiosenne kwiaty.

Wewnątrz nie było nikogo.

Niedaleko wejścia, w prawej nawie, natknęli się na wmurowaną w ścianę dużą tablicę, a nazwisko „Sawoniewicz” od razu rzuciło im się w oczy.

Ozdobnymi literami tak tam napisano:

„7 listopada 1996 roku Jan Śliwa ufundował tę tablicę w siedemdziesiątą rocznicę poświęcenia kościoła, który śp. Edward Sawoniewicz, tutejszy obywatel, właściciel majątku Bukły, własnym kosztem, na chwałę Bożą, dźwignął z ruiny, a sam, wywieziony w 1940 roku, zmarł gdzieś na Sybirze. Niech ta tablica będzie dla niego płytą nagrobną w pamięci rodaków. Wieczny mu pokój”.

- Mój Boże! - Jula złożyła ręce. - Nasz dziadek... To przecież nasz dziadek!

- Tak, nasz dziadek. Babcia opowiadała...

- I ten... Śliwa... Pamiętasz? Babcia też mówiła, i tatuś...

- Pamiętam.

9

- On tu mieszka i powie nam... Wszystko nam powie.

- Poczekaj, sfotografuję tablicę. Otwórz szeroko drzwi i potrzyмай... Będzie lepsze światło.

- Wyślemy tatusiowi...

- Chodźmy do zakrystii, może tam ktoś jest...

Ale drzwi zakrystii były zamknięte na klucz, a na ich pukanie nikt nie odpowiedział.

- Musimy dowiedzieć się o tego Śliwę - gorączkowała się dziewczyna. - Z pewnością jest tu znany.

Plac przed kościołem był teraz bardziej zaludniony, a kilku wyrostków kręciło się przy ich samochodzie. W hotelu, w Białymstoku, ostrzegano podróżnych przed złodziejami.

Samochodów zresztą było więcej, stały przed każdym prawie domem. Ludzie wracali z pracy, nie spieszyli się, przystawali gawędząc, robili zakupy. Ruch był w sklepach.

Rodzinę Śliwów znał każdy. Mieszkali za miasteczkiem, będzie ze trzy kilometry, jak ich skwapliwie objaśniono.

Z wąskiej uliczki wypadli na piaszczystą drogę. W dali zieleniał niewielki las, z pola gdzieniegdzie sterczały dzikie grusze.

Dowiedzieli się, że pan Śliwa był zamożnym gospodarzem i miał dwudziestohektarowy „folwerek”.

- Teraz może ma i więcej - ktoś zauważył. - Zbogaciał i dokupił pegeerowskiej ziemi.

- Właściwie kto on dla nas? - spytała w pewnej chwili Julia.

- Jego ojciec był w Bukłach stajennym. Babcia mówiła, że bardzo lubił konie... znał się... Prawa ręka dziadka, zaufany...

Zza kępy drzew nagle wyłonił się dom, porządny, piętrowy, otulony gęstwiną bżów i jaśminów. Kolorowe plamy kwietników, rzucone niedbale ręką artysty-ogrodnika przypominały pejzaże malowane pędzlem impresjonistów.

Zajechali pod oszklony ganek - brama była szeroko otwarta, a psi jazgot zagłuszył warkot motoru. Dom wydawał się wyludniony.

Nie wiedzieli, co robić, na szczęście w tej chwili zza węgła wyszedł ów „pan doktor” z restauracji.

- Czy zastaliśmy pana Śliwę? - Edward Sawoniewicz otworzył drzwiczki, doskakujące do samochodu psy nie pozwoliły jednak wysiąść.

- Państwo do ojca czy do mnie?

10

- Do fundatora tablicy w kościele.

- W takim razie to ojciec - uśmiechnął się doktor. - Proszę bardzo - a widząc wzrok gościa utkwiony w psiej gromadzie, dodał szybko: - Niegroźne - po czym ruchem ręki odpędził sforę.

Minęli długą sień dzielącą dom na dwie połowy i weszli na rodzaj tarasu czy werandy szeroko otwartej na kwitnący sad.

- Do ojca - zaanonsował krótko doktor.

Z wyplatanego fotela podniósł się starszy mężczyzna ostrzyżony na jeża.

- Edward Sawoniewicz - przedstawił się gość. - Jak ten z tablicy - dodał z uśmiechem. - Mój dziadek.

- Pan Sawoniewicz! - Śliwa porwał się ku przybyszowi. - Syn Franciszka! Mój Boże! Żyje pan Franciszek? Taki pan do nich podobny, nie sposób nie poznać.

- Tak, wiem, mamy fotografie. Jestem podobny do ojca i do dziadka.

- To po niej, po pani, znaczy po pańskiej prababce, chłopcy byli do niej podobni. A co pan Franciszek? Zdrowy?

- Zdrowy. Mieszkamy we Francji, w Paryżu. A to moja siostra - wskazał na Julę - ona i ja to jego dzieci.

- Mój Boże! - powtórzył gospodarz składając ręce. - Mój Boże! Siadajcie, państwo - przysuwał fotele. - Helciu, przynieś nam coś...

Tęga matrona, rzuciwszy synowi wymowne spojrzenie, w pośpiechu opuściła werandę.

„Pan doktor” wciąż stał przy drzwiach, ze zmarszczonymi brwiami, przygryzając usta.

- To i państwo w Paryżu? - zagaił po chwili gospodarz.
- Tak. My z rodzicami.
- Chcemy odzyskać Bukły - Jula podniosła oczy na pana Śliwę. -Po to przyjechaliśmy.
- To będzie ciężko.
- Dlaczego?
- Skomplikowana procedura. Mało komu udało się.
- Przecież nie ma już komunizmu...
- Nie ma... Ale jakoś nie chcą oddawać...
- Nie rozumiem - Edward Sawoniewicz poprawił się w fotelu. - Czytałem w gazetach, że dużo ziemi leży odłogiem. Kupują nawet cudzoziemcy.

11

- To prawda. Nie ma komu robić. Polikwidowali pegeery i teraz ziemia bezpańska. Ludzie wolą lżejszy chleb. Na ziemi trzeba ciężko pracować.
 - Wszędzie trzeba pracować.
- Gospodarz kiwał głową, a gest ten wyrażał jakąś beznadziejność i brak chęci czy zapału.
- Jest przecież Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa.
 - Jest, tymczasem to oni zajmują się lokalami, przydzielają budynki, sprzedają mieszkania w pegeerach. Zlecieli się byli właściciele, właściwie ich spadkobiercy i też kupili. Budynków, jak mówią, zabytkowych, nie wolno sprzedawać.
 - A dwory, takie jak Bukły? »
 - Dwory... To teraz ruiny. Uchowały się niektóre pałace, szczególnie przy stadninie... Wszystko inne diabli wzięli. Widział pan.
 - Widziałem.
 - Odbudujemy - wtrąciła się Jula. - Potrzeba nam tylko potwierdzenia prawa własności. Tatuś dał bratu upoważnienie.
 - Francuskie może tu nieważne.
 - Jest ważne. Poświadczone przez naszą ambasadę w Paryżu. Tłumacz przysięgły przełożył na polski, a radca prawny zapewnił o legalności całej procedury.
 - Może i ważne - trząśł głową Śliwa.

W tej chwili wróciła gospodyni ze służącą, która niosła na tacy pękaty czajnik i półmisek z pokrajanym ciastem. Pani zasłała stolik serwetą, ustawiła talerzyki i filiżanki.

- Proszę, proszę - zapraszała, ale ani w głosie, ani w geście nie było odrobiny ciepła czy serdeczności.
- Chodź, Aldek - zwróciła się do syna. - Jadłeś obiad?
- Jadłem.
- To napij się herbaty - postawiła przed nim pełną filiżankę.

Rozmowa jakoś nie szła, nie tak wyobrażali sobie tam, w Paryżu, spotkanie z dawnymi pracownikami dworu. W opowieściach ojca wszystko wyglądało inaczej.

- Byliśmy koło domu - zaczęła Jula.
- I spotkaliśmy jakiegoś mężczyznę - dokończył brat. - Podał się za właściciela. Ma klucz od drzwi wejściowych. Zna go pan?
- Znam. Zjawił się jakieś pół roku temu. Powiedział, że nazywa się Leon

Sawoniewicz.

- Sawoniewicz? Niemożliwe!

12

- Chyba po stryju Stanisławie - dorzuciła Jula.

Gospodarz pokręcił przecząco głową.

- Wnuk panny Katarzyny - rzucił krótko. - Papiery ma, metrykę, odpisy aktu zgonu babki i matki. Pokazywał. Widziałem.

- I uznano jego prawa do tej ziemi?

- W urzędzie gminnym uznano. Już zapisali.

- Zapisali bezprawnie. Właścicielem Bukłów jest nasz ojciec, Franciszek Sawoniewicz. Ma akt własności, testament dziadka, plany majątku, wszystko.

- Nie wiem - mruknął Śliwa.

- Co to gmina! - Jula wydeła pogardliwie usta. - Pójdziemy do wyższej instancji. Do ministerstwa.

- Ten... jak go pan nazwał... Leon Sawoniewicz trochę dziwnie mówi po polsku - zauważył Edward. — Ma taki akcent...

- Niech pan się nie dziwi - przerwał Śliwa. - Urodził się w Rosji i przeżył tam całe życie.

- Nie wygląda sympatycznie - dodała Jula. - Był wręcz niegrzeczny.

- To człowiek bardzo nieszczęśliwy - odezwał się pierwszy raz „pan doktor”.

- Tak - kiwnął głową ojciec. — Bardzo nieszczęśliwy.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się... — zaczął Edward. - Tyle jest spraw do omówienia. Nie chcemy jednak zabierać państwu czasu. Zatrzymaliśmy się w hotelu, w Białymstoku... Dziś jeszcze zatelefonuję do ojca... Może więc jutro, jeśli można...

- Proszę bardzo, kiedy sobie państwo życzą.

- Jutro sobota... W takim razie o dwunastej - zaproponowała Jula.

Pierwszą osobą, jaką ujrzeli nazajutrz w domu Śliwów, był ów Leon Sawoniewicz.

Jula od razu uznała go za oszusta - nie był do nich ani trochę podobny - tak też przedstawiła go ojcu, gdy poprzedniego wieczoru połączyli się z Paryżem.

- Któż to taki? - zdumiał się ojciec.

- Jan Śliwa mówi, że to wnuk „panny Katarzyny” - objaśnił syn.

- Więc odnaleźliście Śliwę? - w głosie ojca posłyszeli podniecenie.

13

- Tak. Pytał o ciebie. Poznał mnie od razu po rodzinnym podobieństwie.

- Spytał go, czy pamięta nasze wspólne zabawy? - głos ojca drżał.

- Spytam. Ale co robić z tym Leonem Sawoniewiczem? Śliwa mówi, że widział jego metrykę i akty zgonu babki i matki. „Panna Katarzyna” to chyba siostra dziadka.

- Tak. Sowietci wywieźli ich oboje.

- To jakiś dziwny facet. I nieprzyjemny. Mówi inaczej niż wszyscy. Śliwa bierze go w obronę, nazywa człowiekiem nieszczęśliwym, a że tak mówi... urodził się i całe życie spędził w Rosji.

- A co Śliwa? Jak mu się powodzi?

- Chyba nieźle. Ma ładny dom i - jak tu powiadają - „fol-warek”.

- Żonaty?

- Żonaty. Poznaliśmy syna, doktora.

Jula opowiedziała o tablicy w kościele i przeczytała napis. Wzruszyło to ojca.

- Poczciwy Janek - zakończył rozmowę. - Dzwoncie jutro.

Siedzieli więc oto w „salonie” Śliwów. Rodzina była w komplecie. Helcia-matrona i „pan doktor” zajmowali kanapę. W tym otoczeniu Leon Sawoniewicz wyglądał dziwnie nędznie, i choć blada, mizerna twarz wzbudzała litość, zły grymas zacinał usta, a ponure spojrzenie spod nawisłych powiek, gdy spoglądał na francuskich przybyszów, wyrażało wręcz wrogość.

Jan Śliwa ujął w ręce prowadzenie trudnej rozmowy.

- Starego pana Franciszka - zaczął - to ja nie znałem. Zmarł w dwudziestym roku podczas bolszewickiej nawały, ale jego syna, pana Edwarda, doskonale pamiętam. To pański dziadek - zwrócił się do gościa.

- Ten z tablicy w kościele - skinęła głową Jula.

- Było ich troje rodzeństwa. - Śliwa zapatrzył się w ogród za oknami. - Pan Edward, pan Józef i panna Katarzyna. Ładna była - dodał - choć niepodobna do braci. Studiowała w Wilnie na uniwersytecie. Na krótko przed wojną zaręczyła się. Była we dworze uroczystość... goście... Nazywano ją Kisia.

Leon Sawoniewicz siedział z łokciami na poręczach fotela, wysuwając głowę do przodu. Twarz dziwnie mu złągodniała.

14

- Stary pan Franciszek - podjął gospodarz - zapisał testamentem Bukły starszemu synowi. I dobrze zrobił, bo pan Edward kochał ziemię, a pan Józef nie lubił wsi, studiował w Wilnie, chyba prawo, bo potem został mianowany sędzią w Nowogródku. No i były jeszcze jakieś pieniądze... może za granicą... Nie wiem, ale jeśli uchowały się za pierwszej wojny i za bolszewików...

- Tak - potwierdził Edward. - Dziadek miał coś w banku w Szwajcarii...

- Otóż to - pokiwał głową Śliwa. - Wyposażył też młodszego syna. Pan Edward kupił bratu w Nowogródku dom z ogrodem i samochód, żeby miał czym do sądu jeździć. Był też posag dla panny Katarzyny. Wszystko było. Pracował pan Edward od świtu, sam doglądał gospodarstwa... A potem przyszli... I wszystko przepadło. Tyle dobra...

- Oni tylko to potrafią. - Leon Sawoniewicz pierwszy raz otworzył usta. Może wstydził się swojej wymowy. - Niszczyć. To ich robota. Rozbijać, palić, łamać. Do tego są zdadni. Dlatego zginą, muszą zginąć - powtórzył mściwie. - Wszystkie te kacapy... -dodał ciszej.

- Gdy wybuchła wojna - westchnął Śliwa - pan Edward zabrał pannę Katarzynę i pojechali do Nowogródka zobaczyć, co tam u brata. Pani z dzieckiem została, znaczy się babcia z pana ojcem, panem Franciszkiem. My z nim równolaty, urodziliśmy się w dwudziestym dziewiątym, na dziesięć lat przed wojną.

- Mówił ojciec.

- Jak pojechali to i przepadli. - Śliwa ściszył głos. - Siedemnastego września bolszewicy przeszli granicę. Nowogródek niedaleko. Nie było czym uciekać, samochód zarekwirowało wojsko, a te szatany od razu rzucili się na

„pamieszczyków”, na sądy, na policję, na urzędników. Zgarnęli wszystkich.

Dowiedzieliśmy się potem od ludzi. Pana Edwarda i pana Józefa od razu zabrało

NKWD. Trzymano ich w więzieniu w Nowogródku, a w styczniu czterdziestego roku

wywieziono. I słuch po nich zaginął. Ktoś mówił, że w czterdziestym drugim pana Edwarda widziano na Kołymie, był bardzo chory. Ot i nie wiadomo, gdzie ich mogiły.

- Z Kołymy mało kto wracał - zauważył Leon.

- A potem - Śliwa zacisnął ręce - przyszli po kobiety. I też wywieźli. Panią Józefową z malutkim dzieckiem i pannę Katarzynę. Jedna baba, co ich znała, wróciła. Mieszkała niedaleko

15

stad. Już dawno nie żyje. Opowiadała. Synek pana Józefa zmarł jeszcze w pociągu. Nie on jeden. Były straszne mrozy, najsrozsza zima, jaką pamiętam, ta pierwsza wojenna zima. - Zamilkł. - Sołdaci, co ich wieźli, wyrzucali ciała. Ludzie potem widzieli... trupy wzdłuż torów. Tak i to dziecko. Pani Józefowa też długo nie pociągnęła. I panna Katarzyna została sama w tym piekle. -Znowu zamilkł.

- Francuzi mieli komunistyczne ciągoty. Marksizm i tak dalej -przerwał milczenie Edward. - My też słyszeliśmy o wywózkach... o potwornościach... łagrach... Gdy opowiadałem kolegom, nie chcieli wierzyć. „To wroga propaganda - mówili - takie rzeczy nie zdarzają się w dwudziestym wieku. To niemożliwe." A jednak...

- Wy nic nie wiecie! - wybuchnął nagle Leon. Trząsł się cały. -Wy nawet nie możecie sobie wyobrazić, co to było. Pamiętam, babcia mówiła „dantejskie piekło". Nie wiem, co to za Dante, kto on i jakie było jego piekło. Wiem tylko, że gdyby zobaczył, co tam się działo... i to bez wojny... w tak zwanym czasie pokoju... już po śmierci Stalina... zrozumiałby, że jego piekło to nic w porównaniu... Jego piekłem można co najwyżej dzieci straszyć. -Umilkł, ciężko dysząc.

Zrobiło się nagle jakoś dziwnie w tym „salonie", tak bezpiecznym, tak odległym od wojennej grozy i żałoby, wśród tych osób - z wyjątkiem jednej - dobrze odżywionych, dostatnio ubranych, modnie ostrzyżonych. Jak gdyby słońce utraciło blask, a kwiaty barwy.

A przecież nic się nie zmieniło. Najwyżej rumiane policzki gospodarza przybladły nieco i szybszy oddech podnosił suknię na biuście Helci - matrony. „Pan doktor" nie zmienił pozycji, nadal spoglądał na złożone na kolanach ręce. Jedynie francuscy goście poruszyli się, wpijając pytający wzrok w twarz Leona, „obcego".

Pierwszy przerwał ciszę Śliwa.

- Może już pora na obiad, Helciu? - zwrócił się do żony.

- Tak, tak - zerwała się spieszenie mimo tuszy. - Zaraz podaję.

Po chwili poproszono wszystkich do jadalni.

Apetyt dopisywał jedynie gospodarzom, bo nawet „pan doktor" nie okazał takiego zainteresowania obiadem w domu, jak poprzedniego dnia w restauracji. Przybyszów z Francji dławiono w gardle, a Leon, „obcy", jadł mało, za to pił bez opamiętania.

16

Kosztował wszystkie po kolei domowe nalewki, nie krępował się, raz po raz sam sobie napełniał kieliszek.

- Dość - powiedział w pewnej chwili doktor, przykrywając dłonią rękę sięgającą po karafkę. - Na dziś wystarczy.

- Co ty? Żałujesz? - rzucił się Leon. - Wódka dobra na wszystko. A mnie

chandra zre. Gdyby nie wódka, to i żyć by nie mógł.

- Tu możesz bez wódki.
- Nie mogę. Za bardzo przywykł.
- Jak przywykłeś, to i odwykniesz.
- A ja miał ciebie za przyjaciela.
- Właśnie, dlatego że jestem twoim przyjacielem. Chcesz do reszty zmarnować zdrowie?
- Kiedy mnie już nie żyć.
- Nie gadaj głupstw. Jutro pójdziemy do ambulatorium. Nie dałeś lekarzowi dokończyć badań.
- Po co kończyć? I tak zdechnę.
- Właśnie po to, żebyś nie zdechł, a żył jak człowiek.

Leon potoczył po siedzących przy stole mętnym wzrokiem. Mizerna twarz jakoś poszarzała, alkohol nie wydobył z niej rumieńca. Wydawał się jeszcze chudszy i nędzniejszy.

- Jest pan lekarzem? - zagał Edward.
- O nie - uśmiechnął się.
- Ale ten tytuł...
- Wiem, tu tak nazywają lekarzy. Ja mam doktorat z filologii klasycznej. Specjalizuję się w poezji Horacego.

- Nasz Aldek bardzo uczony - wyjaśniła z dumą pani domu.
- Nosi pan nawet włoskie imię... Aldo... - dodała Julia. - Pasuje to do pańskich studiów i do Horacego.

- W moim imieniu nie ma nic włoskiego - zaśmiał się doktor. - Otrzymałem je po naszych narodowych bohaterach: Traugucie i arcybiskupie Jałbrzykowskim. - Zamilkł, a po chwili dodał: - Właściwie pani ma rację, a ja jestem w błędzie. Mój patron święty Romuald, pochodził z Rawenny, a choć żył przed tysiącem lat, zdążył odbyć podróż do Polski, jak to obwieszcza łaciński napis na jego grobowcu w bazylice Sant'Apollinare in Classe pod Rawenną.

- Widzę, że pan tamtejszy bywalec - stwierdziła z uśmiechem. -

17

- To moja druga ojczyzna - wyznał z pewnym zażenowaniem.
 - Zresztą już Sienkiewicz powiedział, że Italia jest drugą ojczyzną każdego Europejczyka.
 - Ja nie Europejczyk - wybełkotał Leon. - Ja cham, dzicz ka-capska.
 - Nie ma co dziś rozmawiać o interesującej nas sprawie - wrzucił ramionami Edward. - Ten ma dość - wskazał „kuzyna”. - Kto to właściwie jest?
- Śliwa wstał i wyszedł z jadalni. Po chwili wrócił i położył na stole plik papierów.
- Skserowałem jego ruskie dokumenty. Tłumacz przysięgły w Białymstoku przełożył na polski. Wydają się w porządku. Sąd uznał.
 - Co uznał?
 - Jego prawa do Bukłów.
 - I na tej podstawie...
 - Tak. - Śliwa skinął głową. - Pan Franciszek nie dawał znaku życia, a on zjawił

się jak spod ziemi. I tylko gada: „Bukły... Bukły... nasz majątek... nasz dwór”. Dokumenty wyglądają na autentyczne. Ponadto znał moje nazwisko. Co było robić? Pomogliśmy.

- Trzeba zbadać jaki on Sawoniewicz. Jeśli stryj Stanisław zmarł dzieckiem, jak pan mówi, to skąd ten się wziął?

- Ja się wziął z panny Katarzyny Sawoniewicz, znaczy się babci - wybuchnął Leon. - Matka też Sawoniewicz, Maria. Gadacie, jakby mnie tu nie było. Ja nie pijany, ja wszystko słyszał. Rozum jeszcze mam. - Stuknął się w czoło.

- A ojciec? Kto on taki?

- Ojciec... - Leon zaśmiał się urągliwie. Chwyciła go czkawka.

- Ojciec - powtórzył. - Po co ojciec? Na co on potrzebny? Ważna matka... a ona Sawoniewicz... I ona i babcia... I jedna i druga Sawoniewicz.

- To jakaś podejrzana historia - zaczął Edward.

- To tragedia - powiedział cicho „pan doktor”. - Nie ma innego wytłumaczenia. Ja w każdym razie wierzę, że jest wnukiem „panny Katarzyny”.

- Bardzo pan łatwowierny - zauważył Edward. - Z wykształcenia jestem prawnikiem i nie łatwo daję się oszukać. Wszystko musi być czarno na białym. Każdy oszust przybyły nie wiadomo skąd...

18

- Ja nie oszust - Leon poderwał zwisłą na piersi głowę. -A skąd ja? Tęże mówiłem... z piekła!

- Odwieź go do domu - poradził Śliwa. - Niech się prześpi.

- Ojciec kazał zapytać, czy pamięta pan wasze dziecinne zabawy?

- Jakże? - uśmiechnął się szeroko gospodarz. - Wszystko pamiętam. Psociliśmy razem... Franek i Janek... On co prawda był panicz...

- Ech... - machnął ręką Edward. - To nie ma znaczenia. Opowiem dziś ojcu o tym... Leonie. Czeka na mój telefon. Muszę się poradzić tutejszego adwokata... Nie znam polskiego prawodawstwa. W każdym razie Bukły należą do mego ojca, tego jednego jestem pewien.

- Wracają państwo do Białegostoku? - spytał „pan doktor”.

- Wracamy.

- Czy mógłbym się zabrać? Zostawiłem na uniwersytecie samochód...

- Oczywiście. Prosimy.

- Chciałbym też odstawić tego nieszczęśnika.

- Mieszka tu?

- Mieszka we dworze.

- W tej ruinie? - zdziwił się Edward.

- Oporządził sobie sień. Zresztą zobaczą państwo.

Zobaczyli.

Sień wysoką, białą pomalowaną, zamknięto jak pudełko. Dwoje drzwi wiodło z niej do pokoiów, trzecie, mniejsze, na wprost wejścia do dalszej części, gdzie dawniej pewnie były schody.

Urządzono ją ze zdumiewającym smakiem. Mebli było mało, ale każda sztuka wyglądała na tak zwany antyk.

Przy bocznej ścianie stał prosty tapczan, przed nim niewielki dywan, z daleka

pachnący autentycznym Wschodem.

- Jedyna rzecz, jaką przywiózł - wskazał „pan doktor”.

Obok tapczanu mahoniowy stolik, czysty Louis-Philippe, nie wiadomo skąd wytrzaśnięty, na nim kilka świec w mosiężnych empirowych lichtarzach wspartych na lwich łapach. Jeszcze stylowa komódka, rokokowe biureczko o pałakowatych nogach, przed nim wyplatany fotelik, nie miejscowej proveniencji. To chyba było wszystko, ale francuscy przybysze pokiwali głowami, spoglądając na siebie porozumiewawczo. Coś niecoś z tego splen-

19

doru zobaczyli przecież, gdy poprzedniego dnia Leon wychodząc uchylił drzwi.

- Skąd u niego taki gust? - zamruczał Edward.

- „Panna Katarzyna” studiowała w Wilnie na wydziale sztuk pięknych - zauważył młody Śliwa. - On mówi, że babcia rysowała takie meble, że były niegdyś w ich domu, tu, w Bukłach. Ma zdumiewające poczucie piękna. Aż dziw...

Posadził Leona na tapczanie.

- Prześpij się - powiedział łagodnie.

- To coś niesłychanego - dziwiła się Julia, gdy mknęli już białostocką szosą. - Taki prymitywny prostak... gbur. Skąd wziął te meble?

- Kupił za grosze. Łaził po ludziach, po wsiach... Szukał... Węszył, szperał... Biureczko stało u kogoś w kurniku”, oblepione kurzymi odchodami. Wszystkie te sztuki były brudne, zniszczone, nadłamane... Trudno uwierzyć z jaką cierpliwością i jak umiejętnie reperował, czyścił... Prawdziwy konserwator zabytków!

- Pan go lubi - stwierdziła Julia z pretensją w głosie.

- Lubię. Żal mi go. Ten człowiek ma za sobą przeżycia, jakich nam Bóg oszczędził. Jest dziwnie delikatny... wewnątrz...

- Gdzie tu delikatność? - oburzyła się. - Ordynarny pijak!

- Nie, nie ordynarny. Jest wyniszczony nędzą i ma słabą głowę. Wystarczy mu butelka piwa...

- To jednak zastanawiające - odezwał się Edward. - Ten jego pociąg do pięknych rzeczy. A ten dywan...

- Autentyczna buchara. Jedyna rzecz, jaką przywiózł. Mówił, że to babcia od kogoś dostała i kazała wieźć do Bukłów. Była pewna, że on tu kiedyś dotrze.

- I pan mu wierzy?

- Wierzę. - Powiedział to bardzo poważnie.

- Pracuje pan na uniwersytecie? - Julia przerwała chwilowe milczenie.

- Jestem adiunktem na filologii klasycznej.

- Nie sądziłam, że młodzi mogą jeszcze interesować się antykiem.

- Starożytność wraca do łask. Mamy nawet sporo studentów.

- Będzie pan profesorem?

- Możliwe. Zamierzam się habilitować.

- Ale mieszka pan na wsi, u rodziców?

20

- Tak, choć niekiedy korzystam z gościnnego pokoju na uczelni. A pani co robi? Studiuje?

- Skończyłam ekonomię. Nam się to przydaje. Ojciec razem z jednym

Francuzem prowadzą biuro podróży, taki francuski Orbis - zaśmiała się. - Nawet nazywa się podobnie: Terra, w pana ukochanej łacinie. My oboje z bratem pracujemy w tej naszej firmie. On jako radca prawny, ja - księgowa i rachmistrz.

- To jakiś większy interes - zauważył z podziwem.
- Niczego sobie. Doskonale się rozwija. Mamy dobrą markę na rynku turystycznym. Cieszymy się zaufaniem klientów.
- No, no - dziwił się doktor. - To państwu się udało. Znam rodaków, co od lat będę klepią na obczyźnie.
- To lenie - burknął pogardliwie Edward. - Starzy nie znali języka... nie nadawali się do niczego. Młodzi czują się Francuzami. Niektórzy źle bardzo mówią po polsku.
- Za to tak pan jak i pani mówicie, jak byście się tu urodzili.
- O to dbała już babcia.
- Znaczą pani Edwardowa.
- Tak. Utraciła wszystkich, został jej tylko syn, nasz ojciec. Zmarła kilka lat temu, ale nie pozwoliła wynarodowić się ani ojcu, ani nam. Sroga była pod tym względem.
- Wielka patriotka - dorzuciła Julia.

Zostawili doktora pod uniwersytetem, a sami pojechali do hotelu.

- Co myślisz o tym wszystkim? - Julia wyciągnęła się na łóżku.
- Sam nie wiem.
- Czy ten Leon rzeczywiście należy do naszej rodziny? „Panna Katarzyna”, jak ją nazywają Śliwowie, wyszła więc w Rosji za męż... <
- Wątpię... Czytałaś przecież „Inny świat” i „Na nieludzkiej ziemi” i wiesz, co tam się działo, jaki los spotykał polskie dziewczęta, wywiezione podczas wojny.
- Myślisz więc...
- Tak. Myślę, że nasza babka Katarzyna Sawoniewiczówna została po prostu zgwałcona przez jakiegoś pijanego, kałmuckiego krasnoarmiejca czy innego strażnika łagru.
- Mój Boże, cóż za potworność.
- Słyszałaś, co on mówił: piekło, to prawdziwe, nie wymyślone

21

przez poetów. Może się jeszcze czegoś dokładniejszego dowiemy, jak ten... Leon wytrzeźwieje. Muszę go wypytać.

Wieczorem zadzwonili do domu. Edward zdał ojcu relację z wydarzeń tego dnia.

- Musisz zaangażować dobrego adwokata - powiedział ojciec. - Dowiedz się w Białymstoku, nie żałuj grosza. To ważna sprawa. Jeżeli to naprawdę wnuk cioci Kisi...
- To co?
- Trzeba będzie zająć się nim.
- Nieokrzesany gbur i pijak.
- Ale Śliwom się podoba.
- Nie wiem, czy się podoba. Litują się nad nim.
- Tym bardziej my musimy mu pomóc.
- Nie wyobrażam sobie, jak to zrobimy - burknął Edward.
- Tymczasem rozejrzyj się za adwokatem. Weź najlepszego cywilistę, jaki tu jest

- zakończył rozmowę ojciec.

- Kto nam wskaże adwokata? - zniecierpliwiła się Jula. - I gdzie szukać najlepszego.

- Chyba w sądzie. Na razie zobaczę w książce telefonicznej. Zaraz zadzwonię, żeby przynieśli...

Niewiele tego było. Ot jakieś anonimowe firmy: „Kancelaria adwokacka”, „Biuro prawnicze”, „Usługi prawne”, „Pomoc prawna” i tym podobne. Znaleźli tylko parę nazwisk, wśród nich „mecenas Jaszuńska Flora”. Podano adres i telefon.

Gdy schodzili na kolację, zapytali w recepcji o „panią mecenas”.

- To sławna adwokatka - powiedział portier - najlepsza w Białymstoku. Nie przegrała żadnej sprawy! Bierze słone honoraria - ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu. - Zawsze wygrywa - dodał kiwając głową.

- Może doktor Śliwa już dojechał do domu - zauważyła Jula. - Zapisaleś ich telefon? Zadzwonimy.

Telefon odebrał Śliwa junior. Potwierdził zdanie portiera: mecenas Jaszuńska była najlepszą tutejszą cywilistką.

- Jeździ na sprawy i do stolicy - zakończył. - Poznałem ją kiedyś. Sympatyczna i cholernie kompetentna.

- W takim razie ją weźmiemy - zdecydował Edward.

- Co państwo robią jutro? - spytał doktor, zanim odłożyli słuchawkę. - W niedzielę niczego nie można załatwić.

- Prawda... niedziela - zawahał się Edward.

22

- Przyjeżdżajcie do nas. Rodzice bardzo proszą. Wszystko kwitnie, szkoda siedzieć w mieście.

Jula energicznie kiwała głową, tym gestem dając bratu znak, by przyjął zaproszenie.

Nazajutrz, zaopatrzeni w wielkie pudło czekoladek, zjawili się w domu Śliwów.

Gospodarze i Leon siedzieli na werandzie.

- Bierze więc pan Jaszuńską - zagadnął Śliwa ojciec. - Mądra babka. Sprytna jak czort. Potrafi wykręcić kota ogonem.

- My nie chcemy niczego wykręcać - oburzyła się Jula. - Prawo jest po naszej stronie. Chcemy wszystko załatwić legalnie. I jeśli pan - popatrzyła na Leona - jest rzeczywiście wnukiem „panny Katarzyny”, nie opuścimy pana. Tak mówił tatuś.

- Pan Franciszek w dzieciństwie miał bardzo dobre serce - zauważył Śliwa. - Szczególnie dla zwierząt.

- To i mnie poratuje - odezwał się nagle Leon. - Ja dla was jak zwierz... bydlę...

- Przestań - rzucił doktor.

- Jeśli jego dokumenty są prawdziwe - zaczął Edward.

- Mówiłem panu - przerwał Śliwa. - Są prawdziwe. Sąd zbadał.

- Ale czy on jest tym, za kogo się podaje? To trudniej zbadać. Może prawdziwy Leon Sawoniewicz nie żyje, a on zdobył jego dokumenty i podszywa się pod zmarłego.

- Pod nikogo się nie podszywam! - krzyknął Leon. - Żeby babcia żyła! Zmarła w osiemdziesiątym piątym... Ach, jak my płakali... Sieroty... A mama mówiła: „Póki dwoje, to nie sieroty”. Ja dopiero potem... Zmarła trzy lata temu. Do końca mówiła:

„Jedź do BukłóW, szukaj, ty Polak. Tam twoje gniazdo". Tak mówiła i ja... - zamilkł i spuścił głowę.

- Jaszuńska wyprowadzi tę sprawę na prostą drogę, zobaczy pan - westchnął Śliwa. - Co tam, Helciu, z obiadem?

)

II

Na uporczywe naleganie klienta sekretarka pani mecenas zgodziła się wreszcie wyznaczyć im wizytę w prywatnym gabinecie ad-wokatki późnym popołudniem tego jeszcze poniedziałku.

Dom stał przy cichej uliczce, oddalony nieco od chodnika, niewysoki, dwupiętrowy. Przy wejściu lśniła świeżo wyczyszczona mosiężna tabliczka z godzinami przyjęć.

Na pierwszym piętrze otworzyła im służąca w średnim wieku, w schludnym fartuchu na ciemnej sukni.

Usiedli w saloniku-poczekalni.

Po kwadransie wyszła z gabinetu młoda kobieta z zaczerwienionymi oczami, a po chwili posłyszeli:

- Pan Sawoniewicz, proszę bardzo.

Pani mecenas stała przed otwartą szafą pełną akt. Po przywitaniu siadła za wielkim biurkiem, wskazując fotele.

Od razu przystąpili do rzeczy, przedstawili dokumenty.

- Czy państwo uznają Leona Sawoniewicza za swego kuzyna? -było pierwszym pytaniem adwokatkę po ogólnikowym zapoznaniu się ze sprawą.

- Tak, jeżeli jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, znaczy wnukiem Katarzyny Sawoniewicz. Nie mamy jednak pewności i nie wiemy, jak tego dowieść.

- To nie będzie łatwe - przyznała pani mecenas, zaglądając do papierów. - Tym bardziej że, jak wynika z dokumentów, Leon Sawoniewicz, jego matka i babka zamieszkiwali jakąś bardzo odległą miejscowość, gdzieś aż pod Uralem.

- Mówił Leon, że miasteczko nazywa się Beriańsk; nie ma go na mapie, szukaliśmy w niemieckim atlasie pana Śliwy. - Zajrzał do notesu. - Oblaść Kisel, gubernia Świerdłowska. Miasto Kisel jest na mapie. Beriańsk to zakazana dziura. Leon to potwierdza.

- Tak, widzę. - Pani Jaszuńska znowu zerknęła do papierów. -Na początku chciałabym przesłuchać owego Leona w obecności

24

pana Śliwy, bo tylko ten człowiek pamięta pewne fakty i zdarzenia z życia rodziny Sawoniewiczów.

- No, i mój ojciec.

- I pański ojciec, tylko, że chwilowo jest w Paryżu.

- Mieszka tam. Ma francuskie obywatelstwo.

- Co pani myśli o tej sprawie, pani mecenas? - wtrąciła się Jula. - Czy możliwe jest, by jakiś oszust podszył się pod Leona Sawoniewicza?

- Wszystko jest możliwe. Jeżeli to ktoś, kto dobrze znał kuzyna państwa...

- Leon mógł umrzeć.

- Mógł.

- A może został zamordowany...

- I to jest możliwe.
- Co w takim razie?
- Poczekaj, Julia.
- Chciałabym poznać owego Leona Sawoniewicza i - jak powiedziałam - przesłuchać go w obecności pana Śliwy. - Pani mecenas odłożyła długopis. - Czekam państwa... powiedzmy we środę... -przerzuciła kartki kalendarza - o siedemnastej. Dziś nic więcej powiedzieć nie mogę. Kopie dokumentów zatrzymuję, moja sekretarka założy sprawę. Numer akt podam państwu we środę.
„Audiencja” była skończona.

- Jak ci się zdaje? - Julia spojrzała na brata, gdy już wydostali się na ulicę. - Czy ona coś załatwi?

- Tak, jestem pewien. Ta kobieta wie, czego chce. Teraz chodźmy coś zjeść. Potem zatelefonujemy do ojca i do Śliwów.
Cały wtorek spędzili w Bukłach.

Tylne siedzenie samochodu zarzucili paczkami z jedzeniami z samego rana ruszyli prosto do dworu, a raczej do jego ruiny.

Gdy zastukali w deski skrywające zamek, otworzył natychmiast.

- Cześć! - powiedziała Julia ogarniając wzrokiem wnętrze sieni.

- Cześć! - Nie ukrywał zdumienia.

- Idź, pomóż Edzikowi wypakować prowianty. - Wskazała głową samochód. - Zjemy tu razem drugie śniadanie. No idź - przynagliła, gdy stał, patrzył na nią i wydawało się, że nie rozumiał, co do niego mówiła.

25

- Chodź, Leo - Edward wyjął z samochodu torbę ze szkłem i porcelaną. - Uwważaj, ostrożnie, tu są talerzyki i filiżanki. Masz tu gdzieś wodę?

- Jest źródło. - Brał podawane mu po kolei paczki.

- W ogrodzie było źródło, mówił ojciec.

- Jest.

Julia już gospodarowała w sieni. Przez szeroko otwarte drzwi wlewało się słońce. Biureczko zasłane plastikowym obrusem w różyczki zastąpiło stół, na nim trzy nakrycia i stos wiktuałów.

Leon wrócił z pełnym wiaderkiem.

- Jest czajnik - powiedział spokojnie nagle i jak gdyby zawstydzony. - Zaraz zgotuję wodę, mam maszynkę spirytusową. - Gapił się na stół zastawiony talerzykami, puszkami, założony owocami i pieczywem. '

- Słuchaj, Leo - zaczął Edward, gdy już zasiedli do śniadania, oni na tapczanie, Julia na jedynym krzeselku. - Wczoraj rozmawialiśmy z ojcem. Powiedział, że jeżeli jesteś wnukiem cioci Kisi - „panna Katarzyna” była jego ciotką - naszym obowiązkiem jest zająć się tobą. Jeżeli naturalnie nim jesteś. Oddaliśmy sprawę w ręce najlepszej tutejszej adwokatki. Chce cię przesłuchać jutro popołudniu. Razem ze starym Śliwą. Przyjedziemy po was.

- Nie wierzycie mi - powiedział cicho, nie podnosząc oczu.

- Chcemy ci wierzyć - Julia odstawiła filiżankę.

- Tak, chcemy - potwierdził Edward. - Jesteśmy pełni dobrej woli, ale...

- Rozumiem - wzruszył ramionami Leon, a usta znowu ułożyły się w przykry

grymas. - Aldek uwierzył.

- Zna cię już od pewnego czasu. Może i my...

- Wy... - Leon podniósł na nich wzrok. Jego brzydka twarz wydała się jeszcze bledsza i mizerniejsza. - Co wy w ogóle wiecie? Co wy wiecie o tej ziemi, z której nie ma powrotu? U mnie w dokumentach zapisano, że ja Polak, „polskiej nacjonalności”. Tak napisano, bo ja tak zawsze mówił, choć to było źle... a babcia powtarzała: pamiętaj, ty Polak i katolik. I też nazywała mnie Leo, jak wy... - urwał.

- Wiemy - powiedziała prędko Jula. - My byliśmy bardzo szczęśliwi.

Urodziliśmy się w Paryżu, jesteśmy obywatelami wolnego kraju. Mieliśmy cudowne dzieciństwo, dobre szkoły, studia.

26

- Chodź, Leo - Edward wyjął z samochodu torbę ze szkłem i porcelaną. -

Uważaj, ostrożnie, tu są talerzyki i filiżanki. Masz tu gdzieś wodę?

- Jest źródło. - Brał podawane mu po kolei paczki.

- W ogrodzie było źródło, mówił ojciec.

- Jest.

Jula już gospodarowała w sieni. Przez szeroko otwarte drzwi wlewało się słońce.

Biureczko zasłane plastikowym obrusem w różyczki zastąpiło stół, na nim trzy nakrycia i stos wiktuałów.

Leon wrócił z pełnym wiaderkiem.

- Jest czajnik - powiedział spokojnie nagle i jak gdyby zawstydzony. - Zaraz zgotuję wodę, mam maszynkę spirytusową. - Gapił się na stół zastawiony talerzykami, puszkami, założony owocami i pieczywem. '

- Słuchaj, Leo - zaczął Edward, gdy już zasiedli do śniadania, oni na tapczanie, Jula na jedynym krzeselku. - Wczoraj rozmawialiśmy z ojcem. Powiedział, że jeżeli jesteś wnukiem cioci Kisi - „panna Katarzyna” była jego ciotką - naszym obowiązkiem jest zająć się tobą. Jeżeli naturalnie nim jesteś. Oddaliśmy sprawę w ręce najlepszej tutejszej adwokatki. Chce cię przesłuchać jutro popołudniu. Razem ze starym Śliwą. Przyjedziemy po was.

- Nie wierzycie mi - powiedział cicho, nie podnosząc oczu.

- Chcemy ci wierzyć - Jula odstawiła filiżankę.

- Tak, chcemy - potwierdził Edward. - Jesteśmy pełni dobrej woli, ale...

- Rozumiem - wzruszył ramionami Leon, a usta znowu ułożyły się w przykry grymas. - Aldek uwierzył.

- Zna cię już od pewnego czasu. Może i my...

- Wy... - Leon podniósł na nich wzrok. Jego brzydka twarz wydała się jeszcze bledsza i mizerniejsza. - Co wy w ogóle wiecie? Co wy wiecie o tej ziemi, z której nie ma powrotu? U mnie w dokumentach zapisano, że ja Polak, „polskiej nacjonalności”. Tak napisano, bo ja tak zawsze mówił, choć to było źle... a babcia powtarzała: pamiętaj, ty Polak i katolik. I też nazywała mnie Leo, jak wy... - urwał.

- Wiemy - powiedziała prędko Jula. - My byliśmy bardzo szczęśliwi.

Urodziliśmy się w Paryżu, jesteśmy obywatelami wolnego kraju. Mieliśmy cudowne dzieciństwo, dobre szkoły, studia.

26

Rodzice kochają nas, mamy piękny dom, nie zazналиśmy biedy. Doprawdy, czujemy

się zawstydzeni, gdy pomyślimy, że ty... twoje życie było takie ciężkie... w nieludzkich warunkach...

Milczał, tylko coraz niżej pochylał głowę.

- No, chłopie - Edward poklepał kuzyna po ramieniu. - Wiemy, co przeszedłeś, a raczej domyślamy się tych okropności. Głowa do góry, nie damy ci przecież zginąć. Ta adwokatka wydaje się energiczna i chyba zna się na rzeczy. Wydobędzie prawdę choć spod ziemi.

- Prawdę... - ręce mu drżały. - Nie chcecie wiedzieć prawdy.

- Spróbuj tej sałatki - Julia prędko podsunęła kuzynowi salaterkę. - Tak mało jesz...

- Popatrz na nas - dorzucił Edward - jak nam apetyt służy.

- Nigdy przedtem nawet nie widziałem takich dobrych rzeczy - wskazał stół. -

Dopiero tu...

- To dlaczego nie jesz?

- Jakoś tak... ciężko...

- Musisz się poprawić. Jesteś bardzo chudy i mizerny. Doktor Śliwa zaprowadził cię do lekarza, tak?

- Tak. On bardzo dobry.

- Chcemy ci pomóc - Julia przechyliła się w stronę kuzyna. -Uwierz nam.

- Co z tego, kiedy wy nie chcecie mnie uwierzyć. Mówię prawdę. Żeby babcia wstała z grobu... Wy może nie uwierzylibyście i babci... Nie znaliście jej. Była stara i zniszczona, a kiedyś pewnie młoda i piękna... polska panienka.

- Ile lat miałaś, jak umarła?

- Siedemnaście.

- I zawsze z nią mieszkałaś?

- Zawsze. Z nią i z mamą.

- A mama? Kiedy umarła?

- Trzy lata temu. Nie była stara, ale słabego zdrowia, a tam ani dobrego lekarza, ani lekarstw, nic...

- A... znałaś ojca?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie znałem i nie chcę znać - wyrzucił przez zaciśnięte zęby. -Mężczyzna, który gwałci bezbronną dziewczynę...

- Rozumiem - przerwał Edward - nie mówmy teraz o tak smutnych, a właściwie tragicznych sprawach. Ty powinieneś o nich zapomnieć.

27

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Póki tu nie przyjechał, nie wiedział, że jest jakieś inne życie -odłożył widelec. - Dawniej mówiono, że to wina Ameryki, że u nas bieda, że to podle amerykany, krwiopijcy... imperialisty... Potem, że trzeba Polsce pomagać, bo tam straszny głód. A teraz to już nic nie mówili, a u nas bieda coraz większa... A tu...

- Tu coraz lepiej. W sklepach wszystkiego pełno, jak we Francji.

- Jak we Francji - powtórzył, nie rozumiejąc chyba, myślą daleki.

- Co to za miasteczko ten Beriańsk? - Edward wrzucił kostkę cukru do herbaty.

- Ot zwykłe miasteczko - wzruszył ramionami Leon. - W Rosji takich tysiące. Na Uralu kopią złoto, są różne bogactwa, ale ludzie nic z tego nie mają.
- Granica Europy - wstrząsnęła się Jula.
- A tak, po drugiej stronie gór to Sybir, ale wciąż Rosja.
- Byłeś w tych górach?
- Byłem. Pracowałem jakiś czas w Kuku. Tak nazywają kombinat uralsko-kuźniecki. Tam wielkie huty.
- 1 pracowałeś tam?
- Tak. Ale zachorowałem i mama zabrała do domu. I potem nie puściła.
- 1 co robiłeś?
- Różne rzeczy. Całe życie ciężko pracował, tam tak wszyscy. I mama i babcia.
- Ural to niezbyt wysokie góry? - zainteresowała się Jula. - Daleko im chyba do Alp.
- Może daleko. Ale to łańcuch bardzo długi, od północy do południa będzie pewnie ze dwa tysiące kilometrów. Dzikie góry, straszne - wstrząsnął się. - Straszne - powtórzył ciszej. - Za to bogate - dodał po chwili. - Wszystko tam jest, miedź i żelazo i złoto, węgiel i nafta, wszystko. Tylko ludzi mało. Dawniej katorżnicy, zesłańcy, potem więźniowie, bo tam łagry ustroili... W Kuku to już wolni pracowali. Ale to bardzo ciężka praca. Ja nie miał zdrowia.
- Nie miałem - poprawiła Jula.
- Nie miałem - powtórzył posłusznie. - Ty jak babcia - dodał z nikłym uśmiechem. - Babcia krzyczała: „Mów po polsku, nie

28

m

po kacapsku". My z mamą to robili błędy... Robiliśmy - poprawił się zaraz. - Ja wiem, jak trzeba mówić, ale jak słyszę ruskich... to i gadam, jak oni.

- Biedny ty, biedny - westchnęła Jula.
- Jedźmy do Śliwów - przerwał Edward.
- Może przedtem obejrzymy dom - zaproponowała. - Taka jestem ciekawa...
- Dom to ruina — oświadczył Leon odmykając jedne z bocznych drzwi sieni. - Chodzić można tylko po pokojach parteru i to ostrożnie. Schody w części zawalone, dach dziurawy, w oknach nie ma szyb. Pozabijał... pozabijałem deskami. Podłoga przegniła. Uważajcie.
- Jakie piękne pokoje! - biadała Jula mierzając wzrokiem wysokie sufity. - I jakie zniszczenie...

W półmroku nie widzieli wszystkiego wyraźnie, wystarczyło jednak światła, by zauważyć zapadnięte miejsca w posadzkach, długie zacieki na brudnych ścianach, plamy wilgoci na sufitach. Z drzwi wydarto klamki, chwiały się więc na zardzewiałych zawiasach, skrzypiąc za lada dotknięciem.

Pod ścianami zalegały jakieś resztki sprzętów, przegniła słoma, w kątach - zwały śmieci.

Obeszli cały dom.

- O tu - powiedział nagle Leon stając pośrodku wielkiego, narożnego pokoju. - Tu był salon.
- Skąd wiesz?

- Babcia narysowała plan całego domu. Wiem, co stało w każdym pokoju. Tu fortepian - wskazał ścianę. - A tu komplet mebli Ludwik XVI. Pokryte były haftem krzyżykowym w bukiety kwiatów. Tu między oknami wisiało lustro we wspaniałej złoczonej ramie, a pod nim, na konsoli, bardzo stara waza chińska. Przed fotelami stało kilka okrągłych stolików, babcia nazywała je „gery-dony”. - Głos mu się załamał. - Były piękne - odchrząknął. - Jeden miał blat z różowego marmuru, inny był intarsjowany.

- Biedna babcia! - westchnęła Julia - wspominała dom.

- Żył przeszłością - powiedział cicho Leon. - Mówiła, że inaczej nie wytrzymałaby. „Odbudujesz dom, Leo - powtarzała. -I wszystko postawisz tak, jak było, pamiętaj”.

- Czy masz ten plan?

- Mam w walizce. Dom i każdy pokój... Rysowała meble, mam

29

wszystkie jej rysunki. My z mamą patrzyli... patrzyliśmy - nie mógł mówić dalej.

- Trzeba by w to wpakować kupę forsy - zauważył Edward. -Nie wiem, czy ojciec zechce.

- Zechce - powiedziała Julia i potrząsnęła głową. - Wiem, że zechce.

* * *

Gabinet pani mecenas ledwie pomieścił tak liczne zgromadzenie. Trzeba było przynieść krzesła z poczekalni, by usadzić obecnych.

Śliwowie zjawili się wszyscy troje, bo nawet pani Helena chciała wziąć udział w niecodziennym spotkaniu. f

- Może się przydam - powiedziała sadowiąc się w fotelu. - Pamiętam wiele z tego, co opowiadał teść.

Pani mecenas nie ukrywała ciekawości i szczerze i otwarcie przyjrzała się każdemu z osobna. Najdłużej zatrzymała wzrok na Leonie.

Modna fryzura i nowe ubranie nie potrafiły zatrzeć tej jakiejś nieuchwytniej różnicy, jaka wyodrębniała go z otoczenia. Nieludzkie warunki poprzedniego życia napiętnowały jego brzydką mizerną twarz jak gdyby stygmatem grozy i cierpienia.

- Ot i ze mnie Europejczyk - powiedział z ironią, gdy przebrany stanął przed rodzeństwem.

Może i był z niego Europejczyk, nie miał jednak w sobie nic z Sawoniewiczów. Ani jedna kropla ich krwi nie wypełniła jego żył, chyba że rozplynęła się zalana potężną falą obcej „juchy”, jak sam się o tym wyraził.

- Pan Leon Sawoniewicz - powiedziała pani mecenas, kreśląc jakieś znaki na kartce papieru.

- To ja - Leon nie spuścił oczu pod upartym spojrzeniem ad-wokatki. - Leon Sawoniewicz, Polak i katolik, syn Marii, wnuk Katarzyny Sawoniewicz. W normalnym świecie ludzie noszą nazwisko ojca. My nie byli normalni i wszyscy ci, co nas otaczali, też nie byli normalni. Nasz świat nie był normalny. Właściwie to nie był nasz świat, to ich świat, a nas zmusili, żeby w nim żyć,

30

w tym nienormalnym świecie. Bo w naszym życiu nie było nic normalnego, tak jak wy tu wyobrażacie sobie normalność. Dla babki Katarzyny normalność skończyła się

z chwilą jej aresztowania. Tak nam mówiła. A my słuchali o tym, jak żyła dawniej, w Polsce. My słuchali jak bajki, tak to było odległe od naszej rzeczywistości. Dzień po dniu słuchali tego wszystkiego, co chciała nam przekazać, wbić do głowy.

Powtarzała: „Ty, Leo, wrócisz do domu, do naszego domu. Wiesz wszystko, jak było, i znowu Sawoniewicz będzie żył w Bukłach”. A potem płakała: „Ty taki do nas niepodobny, ale ty mój wnuk i po mnie ty Sawoniewicz”.

- Jaka była pańska matka, Maria? - pani mecenas rzuciła okiem na kartkę przed sobą.

- Mama... - Leon zamilkł. Wydawało się, że zbiera siły do dalszej wypowiedzi. - Mama była piękna, podobna do babci. Tylko ja się wyrodził... Dzieci w szkole zazdrościli mnie ślicznej mamy. Jeden wysoki komisarz z Kisela to chciał zenić się... „Dam waszemu synowi nazwisko” - powiedział. A mama na to: „mój syn ma moje nazwisko, inne mu niepotrzebne”. Obraził się. Mama miała przykrości w fabryce... Tak, pracowała w fabryce... robotnica... Potem, gdy skończyłem szkołę, błagałem, żeby przestała... Delikatna była... Ale nie chciała... „Kartki nie dadzą - mówila - co będziemy jeść?” One obie, i babcia i mama, kochały mnie, ach, jak mama mnie kochała... Dlatego tak teraz ciężko... bez niej... Nikogo... - głos ścichł w szepcie.

- Teraz masz nas - milczenie przerwała Jula. Z trudem tłumiała płacz. - Jesteśmy twoją rodziną.

- Nie wiem, czy jesteście... Nie wierzycie mi, uważacie za oszusta. Ot, i pani mecenas będzie badać, pisać do Beriańska... Tam wszyscy wiedzą... Znali nas... Nie było nikogo innego, tylko ja... Żył z mamą i babcią. A tu macie fotografie. - Rzucił kopertę na biurko pani mecenas.

- Fotografie? - wołali obecni. - Jakie fotografie? Czemu nam nie pokazałeś?

- Przecież nie wierzyliście... Tylko jeden Aldek...

Pani mecenas wysypała na lśniący blat kilka starych, niezbyt udanych zdjęć. Na odwrocie ktoś po polsku oznaczył daty.

- To pismo babci - powiedział Leon. - Zdejmował nas sąsiad. Miał stary aparat.

- My troje na Boże Narodzenie 1980 roku. - Czytała głośno pani

31

mecenas. - Marysia z maleńkim Leo, Leo z naszą kotką, Leo i Marysia. - To zdjęcie podpisane było innym charakterem, zrobiono je widać po śmierci babki Katarzyny. Ze zniszczonego, ceratowego portfela Leon wyjął dwie fotografie.

- To babcia - położył przed panią mecenas - gdy była młoda, a to mama.

- Panna Katarzyna - stwierdził krótko Śliwa, spojrzawszy na pierwszą fotografię.

Mimo strasznych przeżyć, młodość wychodziła zwycięsko z walki z nędzą i

upodleniem. Dziewczyna na zdjęciu zachowała jasne spojrzenie i twarz „polskiej pani” z określenia sowieckiego komisarza.

Wszystkim zrobiło się jakoś dziwnie nieprzyjemnie. Njkt nie przerywał milczenia.

Pani mecenas pierwsza przypomniała sobie o swoich obowiązkach.

- Ma pan jakiś dokument stwierdzający pańską tożsamość? Dowód osobisty, czy jak to się tam nazywa, paszport, legitymację szkolną, pracowniczą czy służbową?

- Mam pasport i legitymację z Kuku.

Na zdjęciach był Leon, ten sam brzydki, chudy i mizerny, z miną obitego psa.

Jula rzuciwszy okiem na te jakże nędzne dowody tożsamości, znowu poczuła łyzy pod

powiekami.

- Matka pana rzeczywiście bardzo podobna do babki - stwierdziła pani mecenas, może zbyt suchym tonem, pragnąc chyba pokryć naturalne przecież wobec takiej niedoli wzruszenie.

- Tak, bardzo była podobna. Tylko ja...

- Właśnie, tylko pan. Inaczej nikt nie miałby żadnych wątpliwości. Wszystko byłoby zbyt łatwe i proste.

- Choć do nich niepodobny, ale ja Sawoniewicz, jak one.

- Co opowiadała babka o rodzinie i Bukłach?

- Rodzice babci to Franciszek i Adelajda z Nowakowskich. Ojciec zmarł w 1920 roku, podczas wojny bolszewickiej, babcia miała wówczas pięć lat i mało go pamiętała.

- A matka?

- Umarła jeszcze przed wojną, w 1935 roku. Babcia studiowała malarstwo na wydziale sztuk pięknych w Wilnie.

Stary Śliwa z aprobatą kiwał głową.

32

- Tak, tak było. Słyszałem o tym nieraz, a starego pana Franciszka i panią ojciec mój często wspominał. Nieprawdaż, Helciu? -zwrócił się do żony.

- Pamiętam - przytaknęła.

- A reszta rodziny? - pani mecenas przerzuciła jakieś papiery.

- Babcia, najmłodsza, miała dwóch braci: Edwarda i Józefa. Zginęli na Sybirze. Nie wiadomo gdzie. To ziemia przeklęta. Babcia i mama mają groby w Beriańsku, ale jak mnie tam nie będzie...

- Co pan wie o braciach babci?

- Edward gospodarzył w Bukłach. Miał jednego syna, Franciszka. To pewnie wasz ojciec - zwrócił się do przybyszów z Francji.

- Nasz ojciec.

- Józef był sędzią w Nowogródku. Jego roczny synek, Staś, zmarł w pociągu, jak wywozili wszystkich na Sybir. Babcia opowiadała, jaki ładny dom mieli w Nowogródku i duży ogród. Ale jak oni weszli, wszystko przepadło. Gdziekolwiek postawili nogę - tak babcia mówiła - to tam zaraz była pustynia. Niszczyli wszystko.

- Zgadza się to z pana wiadomościami? - pani mecenas zwróciła się do starego Śliwy.

- Zgadza się.

- Ja też mogę to potwierdzić - pierwszy raz odezwał się Edward. - Babcia nam też o tym mówiła, wspominała. A i ojciec, choć wówczas dziecko, wiele pamiętał.

- Mam wszystkie rysunki babci - Leon podniósł głowę. Dumny był z talentu babki Katarzyny. - Pięknie rysowała. Prawdziwa artystka. Dom, ogród, wszystkie pokoje i meble. Takie meble, jakie pokazują w muzeum, albo na filmie. Chciałby... Chciałbym -poprawił się szybko - robić takie meble. To wielka przyjemność i tak żyć... w takich pokojach jak w naszym dworze. Babcia mówiła: „Bukły to nasz dom. Nawet jeśli spalili., jeśli nic nie zostało, to tu w mojej pamięci - dotykała czoła i serca - wszystko jest, jak było, wszystko żyje i trwa jak ta róża z łacińskiego wiersza, która trwa już tylko w nazwie, bo wszystko inne minęło. Mądra była moja babcia, bardzo

mądra. Uczyła i mamę, i mnie.

- Pokaże nam pan te rysunki?

- Pokażę. Babcia i mnie uczyła rysować. Tu jest dobry papier, specjalny do rysunków i różne ołówki, kredki, flamastry... A tam nic. Ale babcia potrafiła na byle świstku... Jak czarownik. I póki ona żyła, to my z mamą... - zamilkł.

33

- Dziękuję panu - powiedziała spokojnie pani mecenas. - Na dziś wystarczy. Wstawano, odsuwano krzesła.

- Moja sekretarka zawiadomi państwa o następnym spotkaniu.

- Czy możemy mieć nadzieję...? - zaczęła Julia.

- Tak. Wszystko powoli się wyjaśnia. Napisałam już do Moskwy i do Beriańska. Czekam na odpowiedź.

- A prawa naszego ojca do Bukłów...? - zadając to pytanie Edward nie patrzył na Leona.

- To też będzie załatwione. Potrzebne zezwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ojciec pana nie jest polskim obywatelem. Musi uzyskać specjalną zgodę.

- Jakie to straszne - mówił Edward. Zaprosił wszystkich na kolację do hotelowej restauracji. - Ojciec mój, Polak z dziada pradziada, z rodziny ziemiańskiej, osiadłej tu przed przeszło dwustu laty, jako dziecko, zmuszony do emigracji, musi teraz ubiegać się o pozwolenie na odzyskanie należnej mu po przodkach własności.

- Cóż robić - westchnął Śliwa. - Takie jest prawo.

- Przez pół wieku komunistyczne państwo, zagarnąwszy ziemię naszych obywateli, ciągnęło z niej zyski. Bukły był to majątek uprzemysłowiony. Pan chyba pamięta.

- Pamiętam - pokiwał głową Śliwa. - Ziemia tu raczej marna, ale są łąki i lasy, piękne lasy. Były stawy rybne, serowarnia, młyn i tartak. A nasze wędliny...

- Mówił ojciec - skinął głową Edward. - A babcia, podobnie jak babka Katarzyna, wszystko świetnie pamiętała. I nie dała naszemu ojcu zapomnieć. A co teraz zostało z tego bogactwa?

- Nic - mruknął Śliwa. - Ruina. Bukły, jak i sąsiednie majątki weszły w skład pegeeru. Zarząd mieścił się w pałacu w Nizewie, a we dworach mieszkali pracownicy. Nikt niczego nie remontował. Na nic nie było pieniędzy. Państwo łożyło na pensje dla administracji i dla parobków. Nikt o nic nie dbał, bo wszystko było cudze, czyli państwowe. Kradł każdy, co tylko mógł. I dewastował. Takie było ogólne prawo, niepisane, ale honorowane przez wszystkich.

- Niestety.

- Zniszczyć łatwo - podjął Śliwa - a naprawić trudno. Czasem wręcz niemożliwe. Po tylu latach... Trzeba pamiętać, że minęło pół

34

wieku. Ludzie nie wiedzą, jak było dawniej. Starzy powymierali, a młodzi... Kto dziś chce pracować na roli.

- Ale pan? - zauważył Edward.

- Ja... Ja wiejski człowiek. Urodziłem się na wsi, nic innego nie potrafię... Ale

już mój syn...

- Pan doktor jest naukowcem - przerwała Jula.

- Tak - pokiwał głową Śliwa. - I choć nie leczy ludzi, mówią na niego „pan doktor”.

- Zna łacinę lepiej od niejednego księdza - powiedziała z dumą pani Helena. Młody Śliwa spojrział na Julę z porozumiewawczym uśmiechem.

- Łacina to bardzo piękny język - zauważył - a Horacy jest wielkim poetą.

- Wielkim - przytaknął Edward. - Pozostała mi jeszcze ze szkoły niejedna jego oda. Uczyliśmy się ich na pamięć.

- W Polsce, niestety, łacinę wyrugowano z liceów. Na uniwersytecie, na wydziale filologii obcych, na prawie, na filozofii był dwuletni lektorat. Dwie godziny raz w tygodniu. Do niczego to nie prowadziło. W Akademii Medycznej łaciny było może trochę więcej, ale tam znowu teksty z literatury pięknej nie były celem nauki. W tych warunkach trudno było zostać prawdziwie wykształconym człowiekiem.

- Co pana pociągnęło do antyku - spytała Jula.

- Sam nie wiem. Chyba ta odległość dzieląca starożytność od naszych czasów. Bez mała dwa tysiąclecia. Dawało to pewne poczucie bezpieczeństwa. Tam nie było nic z tego, czym żyła nasza współczesność. Cała socjalistyczna ideologia, której pełno było w szkole, na uczelni, na ulicy, w telewizorze, w radiu, w prasie. Natrętna, wciskająca się we wszystkie dziedziny życia... Nie do zniesienia!

- Rozumiem.

- Naturalnie to było nic wobec doświadczeń Lea. On dopiero poznał całą grozę systemu.

- Ja by chciałem gdzieś pracować.

- Chciałbym - poprawiła Jula.

- Chciałbym - powtórzył posłusznie. - Ja wiem, jak trzeba mówić, ale ot...

Babcia uczyła, a ja... słaby ze mnie uczeń. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Bo tak, to ja ni ścisty, ni powieszony, jak mówiła babcia. Chciałby... chciałbym mieć trochę grosza, to co miałem, to już wyszło.

35

- Musisz się teraz leczyć - powiedziała Jula stanowczo. - Panie doktorze, pan zdaje się był z Leo u lekarza?

- Byłem, ale nie dokończono badań. Leo nie był zbyt posłuszny.

- Prosimy, by pan teraz zechciał doprowadzić do końca wszystkie badania.

Pokryjemy koszty. Chcemy, żeby Leo się poprawił.

- Właściwie, jaka jest tu jego pozycja? - Edward spojrział pytająco na młodego Śliwę. - Czy ma polskie obywatelstwo? Jak ta sprawa wygląda? Musimy to poruszyć z panią mecenas.

- Tak, tak, koniecznie - wtrącił stary Śliwa. - Załatwiali coś w gminie... Może i państwu warto...

- Nie będziemy gadać z nikim z gminy - oświadczył Edward. - To nie od nich zależy. Pani mecenas załatwi w ministerstwie. Właścicielem Bukłów jest mój ojciec. Leon zwiesił głowę.

- Tak, Leo, nic na to nie poradzisz, ale tak dla ciebie lepiej. Nie masz przecież środków na odrestaurowanie dworu, na podniesienie majątku z ruiny. Wyobrażasz

sobie, jakie to będą koszty? I nie jestem pewien, czy ojciec zechce...

- Zechce - krzyknęła prawie Julia. - Już przecież mówił.

- Nie wie, jak to wszystko wygląda. Musimy zatrudnić architekta, który sporządzi plany i kosztorys.

- Gdyby majątek powrócił do dawnego stanu - wtrącił Śliwa - przynosiłby dochód.

- Na to trzeba pieniędzy, ogromnych pieniędzy - potrząsnął głową Edward. - No i czasu.

- Ale ojciec da pieniądze, a Leo, według rysunków babki Katarzyny, urządzi pokoje, wyszuka odpowiednie meble. Już on to potrafi, prawda, Leo?

- Prawda. Boże, gdyby to było możliwe!...

- Będzie możliwe - uspokoiła go Julia, Edward jednak, nieprzekonywany kręcił z powątpiewaniem głową.

- Pójdę porozmawiać z ojcem - powiedział wreszcie. - Już późno, a on czeka na mój telefon.

* * *

- Ciekawa jestem, czy Leo wie. - Julia nałapała na watę trochę kosmetycznego mleczka i przetarła twarz.

36

- Chyba nie wie. - Edward siedział jeszcze w pokoju siostry, omawiając niedawną rozmowę z ojcem. - Przy nim nie możemy szukać. Jeżeli to przeleżało bezpiecznie pół wieku, to i te trochę czasu...

- Obawiam się, że szukano „skarbów”. Ludzie przecież zakopywali srebra i nawet cenną porcelanę. Śliwa chyba nie wie.

- Babcia mówiła, że tylko ona, dziadek i „ciocia Kisia”...

- Jeżeli „ciocia Kisia” wiedziała...

- Naturalnie, że wiedziała.

- Ciekawam, czy przekazała tę wiadomość córce i wnukowi. Jeżeli tak, to Leo może już szukał. Może nawet znalazł.

- Tak myślisz?

- Nie wiem. Sama nie wiem. Ja w każdym razie na jego miejscu szukałabym.

Ale on jest skryty i nic nam nie powie.

W tej chwili zastukano do drzwi. W progu stał Leo.

- Nie mogę spać... - usprawiedliwił się. - Wyszedłem na korytarz i posłyszałem, że rozmawiacie.

- Siadaj, Leo - Julia odwróciła się od lustra. - Źle się czujesz? Boli cię co?

- Dusza boli - wybuchnął. Skulił się na krześle, obejmując głowę rękami.

- Co ci, Leo?

- Sam nie wiem.

- Może dać ci coś na uspokojenie?

- Mnie nic nie uspokoi.

- Czego się dręczysz? - Edward spojrzał porozumiewawczo na siostrę. -

Rozmawiałem właśnie z ojcem. Chce przyjechać. I jeżeli pani mecenas załatwi pomyślnie w ministerstwie...

- Ona wszystko załatwi!

- Taki jesteś pewien?
- Tak.
- Daj Boże! - westchnęła Julia.
- Słuchaj... - Leo zwrócił się do dziewczyny. - Czy taki cham, prostak, jak ja mógłby...
- Co mógłby? O czym myślisz?
- O niej.
- O kim?
- O... pani mecenas...

37

- O pani mecenas? - zdziwił się Edward.
- Tak, o pani mecenas - powtórzył ciszej Leo. - Czy taki mężczyzna jak ja... taki brzydki... ruski muzyk... mógłby podobać się jakiegokolwiek kobiecie... tu... w Polsce?
- Podniósł na nich udreńczoną twarz.
- Leo, co ty...? - Julia pochyliła się w stronę kuzyna.
- Każda poczwara... - zaczął Edward.
- Cicho! - przerwała. - Więc ty... Tak bardzo podobała ci się pani mecenas?
- Tak bardzo - szepnął. - Prawda, że ja głupi? Durak... Chwast do róży. Wiem, to wszystko niemożliwe, dla mnie w ogóle nie ma nic możliwego, jak dla innych... Takich jak wy... Jak Aldek Śliwa.
- Dlaczego tak mówisz?
- Bo to prawda. Popatrz na mnie, jak wyglądam.... Brzydki jak czort.
- Pleciesz głupstwa - zdenerwował się Edward. - Jesfwielu mężczyzn brzydszych od ciebie... żenią się, są szczęśliwi.
- Mówisz tak, bo ciebie każda... ale mnie... Mnie i tam nikt nie lubił. Tylko mama i babcia. Ja nie potrafił z dziewczuchami...
- Masz dobry gust, Leo - zauważył Edward. - Pani mecenas rzeczywiście bardzo przystojna.
- Elegancka - dorzuciła Julia. - Na pewno jest zamężna.
- Nie.
- Skąd wiesz?
- Wiem.
- Pewnie rozwiedziona. Taka kobieta...
- Nie, nie wyszła za męża.
- Dziwne - zauważył Edward. - Nie jest już taka młodziutka. Dobrze po trzydziestce.
- Rzeczywiście, bardzo atrakcyjna kobieta - Julia spojrzała na kuzyna. - I tak... od pierwszego wejrzenia... zakochałeś się?
- Nie wiem... Może...
- Kto ci powiedział, że niezamężna? - badała dalej.
- Tu, w hotelu... Wszyscy wiedzą. Dziwią się, że taka kobieta...
- Popytamy młodego Śliwę - zaczął Edward.
- Po co? Żeby śmiał się ze mnie? Jak wy?
- My się wcale nie śmiejemy - oburzyła się Julia. - Współczujemy ci...
- Współczujecie... - podniósł na nich oczy, w których paliło się złe światło. -

Wiem, co o mnie myślicie... Wy i wasze gładkie

38

słówka... Potraficie gadać... Ale mnie nie przegadacie... Nie dam się oszukać... Ja też Sawoniewicz.

- Co ty, Leo? - Julia zerwała się sprzed toaletki. - My przecież chcemy...

- Wiem, co chcecie. Ja was rozgryzł. Żeby ja wrócił tam, do tego piekła... Żeby tu nigdy nie przyjechał... Żeby tylko wy zagarnęli Bukły... A babcia mówiła... - znowu ścisnął skronie.

- Zwariowałeś, czy co? Chory jesteś? Powiedziałem o tobie ojcu... Należysz do rodziny... Zostaniesz z nami...

- Ach, jak was nienawidzę - zajęczał nagle. - Zabiłby, gdyby mógł... Wy nie Sawoniewiczze... Wy francuskie paniczyki... Wracajcie do waszego Paryża, a mnie zostawcie w spokoju. Dość wam pieniędzy. Bukły są moje i nikomu nie oddam tego domu i tej ziemi. Słyszycie? Nikomu! Babcia mnie oddała... Wszystko... Ona знаła nasz majątek... Dom... Ogród... Każdy pokój... Każdy mebel... Wszystko narysowała i zostawiła mnie... nie wam. O was nikt nie słyszał. Skąd wy się wzięli? To wy oszuści... złodzieje... Chcecie wydrzeć to, co mnie się należy. Nie dam! Poszli won, ot co wam powiem. Po mojemu. Nie tak elegancko, bo ja cham. Ale dlaczego ja cham? Czy wy o to zapytali choć raz? Wy mieli szczęście... a ja... ja... - głos urwał się, jakby zachłysnął się szlochem.

Rodzeństwo patrzyło na kuzyna, przerażone wybuchem, ,r

- Co mu się stało? - zaszemrała Julia. - Nienawidzi nas... Za co nas nienawidzi? Co mu zrobiliśmy?

- Uspokoi się - burknął Edward. - Coś na niego naszło...

- On jest nieszczęśliwy... Czuje się pokrzywdzony... Ale to przecież nie nasza wina, że on ...Leo - zwróciła się do kuzyna. - Mówisz takie straszne rzeczy... Nikt cię nie skrzywdzi... Nasz ojciec to bardzo dobry człowiek... Kazał się tobą opiekować... To nic, że Bukły są własnością ojca... On tu nie zamieszka na stałe, nie rzuci Paryża i naszego interesu. Żeby odbudować Bukły potrzeba moc pieniędzy... I ty tu zostaniesz... Będziesz pilnował domu... Urządzał pokoje... tak jak były kiedyś... Nigdy nie wrócisz do tamtego piekła...

- Zostaw go - obruszył się Edward, widząc, że kuzyn nie reaguje na serdeczne słowa siostry. - Wylaż z niego podły kacap... My do niego z dobrym słowem, a on...

- Podły kacap - Leo podniósł głowę. - Tak, ja podły kacap, dobrze gadasz. Taki był mój ojciec, to i ja... Ale mama co innego... I choć ja wziął pysk po ojcu kacapie, to dusza od mamy... My się

39

tak z nią rozumieli... „My to jedno” mówiła. - Dyszał ciężko, jak po wysiłku. - Pójdę już...

- Zaczekaj - Julia poszperała w szufladce. - Połknij tę pastylkę i popij wodą. - Podała mu szklanekę.

Był znowu pokorny, jak obity pies.

Nie podniósł na nich oczu. Wstydził się.

- Zapomnij o wszystkim... o tamtym - Julia dotknęła ramienia kuzyna. - I nie myśl o nas źle. My niewinni, że mieliśmy szczęście urodzić się w Europie... w

Paryżu. Odprowadź go, Edzik, do pokoju - rzuciła bratu, zamykając drzwi za wychodzącymi.

„Nienawidzę was” huczało w głowie. Nie czuła do niego żalu. Rozumiała tę jakąś nieznaną w ich świecie rozpacz i bunt. Los potraktował go niesprawiedliwie i on to czuł.

Edward długo nie wracał. Gdy wreszcie wszedł do pokoju siostry, wiedziała, że on też zrozumiał.

- No i co?

- Uspokoił się. Żałuje tego, co mówił. Dziękował mi za wszystko. Prosił, bym riie miał go za niewdzięcznika. Kazał cię przeprosić. Niech to diabli, cała ta rosyjska nędza... Cóż to za ludzie! Ze względu na niego, chciałbym, żeby ojciec odbudował Bukły... Choć to pochłonie wszystkie nasze oszczędności... To beczka bez dna, ta ruina. A kto zaręczy, że znowu...

- Co znowu?

- Ech - machnął ręką. - Nie należy wywoływać licha, jak mówi mama.

- Wiesz - powiedziała po chwili - wstyd mi, że nam było tak dobrze, a oni tam... I myśmy nic nie wiedzieli...

- Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak można było im pomóc? Zapomniałaś o żelaznej kurtynie... Jeszcze, żeby mieszkali tu gdzieś, blisko granicy, na polskich terenach... Ale oni, hen precz, aż pod Uralem. Tam, dokąd wiódł krwawy szlak powstańców sześćdziesiątego trzeciego roku... Jak pomyślę, że byli Polacy, co po tej wojnie spodlili się, wstąpili do partii komunistycznej... Może potomkowie tych, co przykuci do taczek kopali miedź na Uralu. Obrzydzenie bierze...

- Nie zapominaj, że była „Solidarność”, i że to „Solidarność” była tym kamieniem, co rozbił tego kolosa.

- I ci głupi Francuzi - zamruczał. - Nic nie rozumieją. W ogóle kto z tak zwanego Zachodu rozumie naszą tragedię...? Byle im było dobrze... a reszta...

40

• f

- Coś ty?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Przecież myślisz tak samo.. I choć w paszporcie napisali nam „Francuzi”, my jesteśmy inni... o.. zupełnie inni.

III

To co niegdyś było ogrodem, stanowiło teraz zdziczały gąszcz dawniej starannie pielęgnowanej roślinności. Dziś trudno nawet rozpoznać, czy były to bzy, jaśminy, czeremcha czy akacja". Wszystko okrywały nadmiernie wybujałe pokrzywy, jakies pnącza oraz swobodnie tu od lat krzewiące się zielsko. Po dawnym ogrodzie nie pozostało ani śladu, bo i skądże? Minęło przecież ponad pół wieku.

Prowadził Leo.

- Babcia opowiadała, rysowała... - mówił odchylając gałęzie, by mogli przejść swobodnie, przedrzeć się przez tę dżunglę rozbuchanej zieloności.

- Dobra tu widać ziemia - zauważył w pewnej chwili Edward -jeśli chwasty bujają jak na najlepszym nawozie.

- Trzeba by to wszystko ogrodzić - zatroskała się Julia.

- Poczekajmy, aż pani mecenas załatwi w ministerstwie.

- Aldek był ze mną w gminie... - zaczął Leo z wahaniem.
- To nie ma znaczenia - rzucił przez ramię Edward. - Gmina nie miała prawa wydawać takiego dokumentu.
- Ale Aldek...
- Aldek załatwił po znajomości. „Pan doktor” jest tu bardzo popularny, jak widzieliśmy. Zresztą, nawet gdyby to było legalne, cóż byś zrobił bez grosza w kieszeni.
- Pracowałbym! - wybuchnął Leo. - Własnymi rękami wydarłbym te chwasty.
- Własne ręce to jeszcze za mało.
- Znalazłbym potrzebny fundusz...
- Tak? Gdzie?
- Tu, w tej ziemi. - Tupnął nogą.
- A więc wiesz.

42

- Wiem.
- W takim razie - zaczął Edward.
- Nie wiadomo tylko, kto pierwszy znajdzie.
- Więc to tak?
- Tak. Ja tu byłem pierwszy.
- To może już znalazłeś?
- Może.
- Nie można ci wierzyć, Leo.
- A wam można?
- My byliśmy z tobą szczerzy, ale ty...
- Mnie od dziecka nauczono nikomu nie wierzyć.
- Nawet nam?
- Zwłaszcza wam. Póki was tu nie było, ta ziemia do mnie należała
- Bezprawnie.
- W gminie zapisali.
- Ile razy mamy ci powtarzać, że gmina nie miała prawa ci oddawać tego, co do ciebie nigdy nie należało.
- Oddaliśmy sprawę do sądu - przypomniała Jula. - Naszym pełnomocnikiem jest pani mecenas Jaszuńska. I nie zapominaj, że nasz ojciec kazał się tobą zaopiekować.
- Nie potrzebuję opieki, jestem wystarczająco dorosły.
- Niech cię diabli - wybuchnął Edward. - Doprawdy kacapska w tobie dusza. Wykrętna i fałszywa. My do ciebie z sercem, a ty... jak Judasz.
- I tak nic nie załatwisz - dodała Jula. - Pani mecenas kazała czekać. Zawiadomi nas. Poradziła nawet, byśmy się wybrali w podróż po Polsce. Specjalnie zaleciła zwiedzenie Gdańska. Chcieliśmy cię zabrać...
- Nigdzie się nie ruszę. Szukacie tylko pretekstu, żeby mnie stąd oddalić... Ale ja nie głupi. Nie dam się oszukać. A z panią mecenas sam pogadam. Ona mnie nie skrzywdzi.
- Więc uważasz, że my...
- Zostaw go - zirytował się Edward. - Na upór nie ma lekarstwa. Może pani

mecenas rzeczywiście potrafi przemówić mu do rozsądku. Wracajmy. Dość mam tego zielska. Te pokrzywy... Całe ręce w bąblach... Nie ma co z durniem gadać.

- Czort swajo, pop swajo - zaśmiał się urągliwie Leo. - Ja mogę powiedzieć to samo.

- Niedawno nas przepraszałeś - zauważyła Julia z wymówką.

43

- Był głupi, ot co, to i przepraszał, nie wiadomo za co.

Wydostali się wreszcie na zachwaszczony podjazd. Drzwi sieni były szeroko otwarte.

- Nie wrócisz z nami do Białegostoku? - Julia otrzepywała spodnie z czepiających się tkaniny rzepów.

-Nie.

- To kiedy się zobaczymy?

- Rad by was nigdy nie oglądać.

- Uprzejmy jesteś.

- Biedny głupiec - rzucił Edward, gdy wydostali się już z bocznej drogi na białostocką szosę. - Chytry, nieufny, wręcz; wrog.

- Nie zapominaj, kim jest i jakie było jego życie. Musimy mu wiele wybaczyć.

- Wybaczamy, wybaczamy - burknął brat. - Nic innego nie robimy. Żeby prędzej odezwała się pani Jaszuska.

- Mam ochotę zwiedzić Gdańsk - powiedziała nagle Julia. - Po co mamy sterceć tu i użerać się z tym nieszczęsnym idiotą. Wybierzmy się nad morze. Pogoda piękna... Warto zobaczyć Gdańsk, Gdynię, Sopot.

- Jak chcesz. Możemy jechać choć jutro. Zadzwonię tylko do Śliwów...

- I do sekretarki pani mecenas - dodała Julia.

- Swoją drogą co za typ - zauważył po chwili. - Jest najzupełniej dla nas obcy.

Człowiek z „innego świata”, z „nie ludzkiej ziemi”. Ciekawe, kim był jego ojciec.

Wnuk „cioci Kisi”. Aż się wierzyć nie chce.

- Córka cioci Kisi też przecież miała podobnego ojca. Nic w nich chyba nie pozostało z Sawoniewiczów.

- Co my właściwie o nich wiemy? To tylko, co on zechciał powiedzieć. Czy możemy mu jednak wierzyć? Jak dojść, czy mówi prawdę? Liczę, że pani mecenas czegoś się dowie, czegoś konkretnego.

- Zastanawia mnie jedna rzecz - Julia pokiwała głową. - Dlaczego ciocia Kisia po wojnie nie wróciła do Polski? Po pięćdziesiątym szóstym szły całe transporty więźniów odsyłanych do ojczyzny. Dlaczego ona została?

- Masz rację. Dlaczego została? Opowiadał Śliwa, jak w Białymstoku ich przyjmowano, czekali na nich na dworcu, kierowano

44

do różnych miejscowości. Niektórzy mieli rodziny, inni, ci samotni, dostawali ubranie, lekarstwa, mieszkanie i pracę, żeby mogli zacząć nowe życie. Śliwa jako chłopak też brał udział w tej charytatywnej akcji. Razem z innymi. Co ją tam zatrzymało?

- Może ten., mężczyzna?

- Ech nie... Myślisz, że go kochała? Jakiegoś ruskiego gbur, który zgwałcił ją

pewnie po pijanemu.

- Sądysz, że tak było?

- A jak mogło być inaczej? Czytaliśmy przecież. A pamiętasz, co opowiadała siostrzenica pani Luge? Ona też wówczas wróciła z Sybiru. Po piętnastu latach ciotce udało się sprowadzić ją do Francji.

- Właściwie jak to było z tym dzieckiem? - zastanowiła się Jula. - Leo mówił, że jego matka urodziła się w czterdziestym drugim.

- Mam nadzieję, że nasza adwokatka rozwikła ten węzeł. Muszę do niej zadzwonić. Powinna zwrócić uwagę na dziecko. I warto by prześledzić losy ciotki Kisi w Rosji. W jakich łagrach przebywała. I kiedy. W taki sposób może uda się dojść prawdy.

- Leo mówił, że urodził się w sześćdziesiątym ósmym. Byłby więc tylko o dwa lata starszy od ciebie. A wygląda, jak by was dzieliło co najmniej dziesięć lat.

- To jeszcze nic nie mówi. Nie zapominaj, w jakich żył warunkach. Czy zauważyłaś jednak, jakie ma piękne zęby? Mówił, że nigdy nie był u dentysty. Mimo niedożywienia, braku witamin, wapna i tak dalej... A my, całe życie jedliśmy mięso, ryby, owoce i jarzyny, a ile czasu spędziliśmy w gabinecie dentystycznym, choć jesteśmy tacy młodzi?

- Jego organizm był przystosowany do warunków. Ze strony ojca miał pewnie zdrowych przodków, którzy mimo nędzy i niedostatku...

- Mimo braku łazienki, prysznic, pachnących soli kąpielowych, czystej bielizny na zmianę - dokończył Edward. - Tak, ci prymitywni ludzie zachowali jakąś siłę. Może to wódka? Zapijali się przecież do utraty przytomności.. Nie potrzebowali żadnych innych narkotyków, żeby zapomnieć o strasznym losie, bytowaniu w głodzie i chłodzie, a przede wszystkim w ciągłym strachu. To chyba było najgorsze. Strach. Ojciec bał się syna, syn ojca. Nikt nikomu nie wierzył. Wyobrażasz sobie takie życie? I to trwało siedemdziesiąt lat. Mówił Śliwa, że niektórzy z tych wracających dopiero wówczas

45

dowiedzieli się, że wojna się skończyła. Po dziesięciu latach. Jakie straszne tajemnice ukrywają sowieckie archiwa! I może nigdy się tego nie dowiemy!

- Trzeba to wszystko powiedzieć tatusiowi.

- Dziś wieczorem...

Opowiedzieli szczegółowo. Opisali wygląd i charakter Lea. Zwrócili uwagę ojca na jego chorobliwe wprost przywiązanie do ziemi i do domu, do Bukłów, chęć zawładnięcia majątkiem, nienawiść do nich. Edward podkreślił dwuznaczne zachowanie się Śliwów, którzy najwyraźniej trzymali stronę wnuka „panny Katarzyny”.

- Może to oszust, a może nie - zakończył ojciec. - Jest to w każdym razie człowiek bardzo nieszczęśliwy. Czekajmy, czego dowie się adwokatka. Tymczasem wybierzcie się nad morze. Nigdy nie widziałem Bałtyku i naszego wybrzeża. I gdybym mógł... Niestety zostałem sam na gospodarstwie i nie mogę teraz rzucić naszej agencji. Potrzebne dokumenty wysyłam, jak mówiłeś, bezpośrednio na ręce pani mecenas Jaszuńskiej. Trzymajcie się.

Pojechali więc.

* * *

Drugi raz przyśnił ojca. Dlaczego? Co to znaczy?

I wydało mu się, że znowu jest tam, w tym pokoju oklejonym różową niegdyś tapetą, która teraz w wielu miejscach podarta i poszarpana, z zaciekami wilgoci, okrywała te brudne ściany jakąś resztką dawnej mieszczańskiej dostatniości.

Nie otwierał oczu. Bał się. Jak dawniej. Leżał nieruchomo, byle się nie zdradzić, że nie śpi, że słyszy.

Ojciec... Paweł Iwanowicz.

Nienawidził tego. Nienawidził ich wszystkich. Ojca i tych, co później i jego tak nazywali.

Miał dziesięć lat, gdy pierwszy raz zaprotestował. Mama była chora, a on... pijany, jak każdego wieczora. W bezsilnej złości, zacisnąwszy drobne pięści, plunął na niego. Wówczas ten, którego nazywał ojcem, rzucił się, wściekły, chwycił go za ramię i bił... bił gdzie popadło. Po twarzy, po głowie, po plecach, z przodu, z tyłu,

46

dowiedzieli się, że wojna się skończyła. Po dziesięciu latach. Jakie straszne tajemnice ukrywają sowieckie archiwa! I może nigdy się tego nie dowiemy!

- Trzeba to wszystko powiedzieć tatusiowi.

- Dziś wieczorem...

Opowiedzieli szczegółowo. Opisali wygląd i charakter Lea. Zwrócili uwagę ojca na jego chorobliwe wprost przywiązanie do ziemi i do domu, do Bukłów, chęć zawładnięcia majątkiem, nienawiść do nich. Edward podkreślił dwuznaczne zachowanie się Śliwów, którzy najwyraźniej trzymali stronę wnuka „panny Katarzyny”.

- Może to oszust, a może nie - zakończył ojciec. - Jest to w każdym razie człowiek bardzo nieszczęśliwy. Czekajmy, czego dowie się adwokatka. Tymczasem wybierzcie się nad morze. Nigdy nie widziałem Bałtyku i naszego wybrzeża. I gdybym mógł... Niestety zostałem sam na gospodarstwie i nie mogę teraz rzucić naszej agencji. Potrzebne dokumenty wysyłam, jak mówiłeś, bezpośrednio na ręce pani mecenas Jaszuńskiej. Trzymajcie się.

Pojechali więc.

* * *

Drugi raz przyśnił ojca. Dlaczego? Co to znaczy?

I wydało mu się, że znowu jest tam, w tym pokoju oklejonym różową niegdyś tapetą, która teraz w wielu miejscach podarta i poszarpana, z zaciekami wilgoci, okrywała te brudne ściany jakąś resztką dawnej mieszczańskiej dostatniości.

Nie otwierał oczu. Bał się. Jak dawniej. Leżał nieruchomo, byle się nie zdradzić, że nie śpi, że słyszy.

Ojciec... Paweł Iwanowicz.

Nienawidził tego. Nienawidził ich wszystkich. Ojca i tych, co później i jego tak nazywali.

Miał dziesięć lat, gdy pierwszy raz zaprotestował. Mama była chora, a on... pijany, jak każdego wieczora. W bezsilnej złości, zacisnąwszy drobne pięści, plunął na niego. Wówczas ten, którego nazywał ojcem, rzucił się, wściekły, chwycił go za ramię i bił... bił gdzie popadło. Po twarzy, po głowie, po plecach, z przodu, z tyłu,

■ m

aż nieprzytomny osunął się na ziemię i w ten sposób uniknął dalszych razów. Zachrypiły głos nie zrezygnował jednak, wykrzywione usta wyrzucały coraz plugawsze słowa-przekleństwa, słowa-obelgi, słowa wydobyte chyba z dna kloaki. I tak było co dzień.

Żeby zdechł, żeby prędzej zdechł! - miał tylko to jedno życzenie. Bo jak długo można wytrzymać!

I mama... Taka słaba, taka śliczna.

Inaczej się do niej nie odzywał, jak: ty polska dziwko, ty „bładź”!

Mama milczała. Pochylała tylko głowę nisko, coraz niżej... Cóż mogła powiedzieć? Był przecież pijany, nieprzytomny. Może nie wiedział nawet, co gada.

- Mama, dlaczego? - pytał czasem. - Co my winni?
- My nic - odpowiadała. - Ale widocznie, tak nam sążone.
- To on może nas zabić? Jemu wolno?
- Nie wolno. Ale może i zabije.
- To my razem, mama - zapłakał, tuląc się do niej.
- Razem - obejmowała go mocno. - Nigdy cię nie zostawię.

Ach, jak on ją kochał, tę swoją mamę! Boże, jak kochał! Marzył, że będzie żył tylko z nią, ona i on, nikogo więcej. Żadnego Pawła Iwanowicza! Ona Maria Sawoniewicz, jak babcia, nie żadna Maria Korsunowa. Było mu nienawistne to nazwisko. Chciał krzyczeć, gdy go tak nazywano. On był Sawoniewicz, jak babcia i jak mama. Sawoniewicz. Nie inaczej. Żaden ruski Korsunow. Nie łączyło go nic z jakimś Pawłem Iwanowiczem Korsunowem. Nic a nic. Nie miał ojca, nigdy go nie miał i nie chciał mieć. Po co był potrzebny? Żeby po pijásemu bić mamę?

- Ja tobie honor dał - mawiał niekiedy w chwilach trzeźwości. - Ty mnie ręce i nogi winna całować.

Był ohydny. A on, syn, był do niego podobny. Do niego, nie do mamy. Jak to się stało? Z jednej strony była miłość do mamy, szaleńcza, nieprzytomna, z drugiej nienawiść. Do niego. Do ojca. Ale czy to był jego ojciec? Niemożliwe. Jednakże to podobieństwo... Każdy widział.

- Wasz syn, Paweł Iwanowicz, to prosto wy, tylko ciut młodszy - mówiono ze śmiechem.

Ile razy to słyszał? A zawsze czuł tam w środku, jak gdyby jakaś ręka ścisnęła mu wnętrzności. Mocno, coraz mocniej, aż brakowało tchu i robiło się ciemno przed oczami.

Miłość. Nienawiść. Co było silniejsze? Chyba nienawiść. Dobrze pamięta radość, gdy ojciec zwał się pod stół. Martwy. Nareszcie! Nikt nie będzie bił mamy i nazywał jej „bładź”. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, co oznacza to plugawe słowo i jak jest obelżywe dla kobiety. Słyszał je przecież ciągle. Wszyscy wycierali nim sobie usta.

Umarł więc. Zdechł. Tak sobie mówił po cichu. Miał wówczas dwanaście lat. I

nareszcie byli wolni, a on miał mamę tylko dla siebie. No niezupełnie. Ale tamten się nie liczył. Nie był wart mamy.

I dopiero wówczas naprawdę odkrył babcię. To była jego druga miłość. Zaraz po mamie. Babcia otworzyła przed nim jakieś drzwi kryjące inny świat, zupełnie inny, niepodobny do tego wszystkiego, co go otaczało. Cudowny świat, nawet nie podejrzewał jego istnienia. Wspaniały świat, gdzie ludzie byli zupełnie inni, no i gdzie były Bukły. Bukły to jego trzecia miłość.

- Patrz - mówiła babcia, odkładając ołówek. - Patrz. O tu, widzisz! To dwór w Bukłach. Dom. Nasz dom. Ja się tu urodziłam. I mój ojciec tu się urodził.

Sawoniewiczze osiedli tu przed dwustu laty. A tu kaplica. Nasza. I te żelazne sztachety. To nasz cmentarzyk. Tu leżą dziadowie i pradziadowie. A my? Oni w swojej ziemi, a my... Gdzie nas położą? Pamiętaj, postawisz mi krzyż na mogile. Choć mały, ot, taki. - I znowu brała ołówek i rysowała krzyż. Prosty. Z jedną poprzeczką. Nie taki, jak u prawosławnych.

- Ja Polak, ja katolik - mówił wówczas z dumą.

- Pamiętaj - szemrał głos babci. — Pamiętaj.

Pamiętał. Każde słowo. Żył tym, co mówiła. I mama tym żyła. W szkole było tak. A w domu było tak. Dwa światy. Dwa różne światy. I wtedy zrozumiał, że duch ludzki jest wolny. Nikt mu niczego nie może nakazać, do niczego zmusić. Duch. Poznał wówczas jego siłę, moc.

A babcia mówiła. O Bukłach. O Wilnie. O Polsce. O wojnie. Mówiła o swoim świecie i o tym, w którym jemu przyszło żyć.

I już się nie bał. Gdy było mu źle, chronił się do tego innego świata, świata babci, który wkrótce stał się i jego światem.

A potem była Wiera. Wysoka, jasnowłosa, z białoróżową twarzą i niebieskimi oczami.

- Aż dziw - mówiła babcia - skąd taka szlachetna uroda u tej dziewczyny? Tak regularne, delikatne rysy.

Wiera wyglądała jak królowa. Chłopcy patrzyli na nią z podzi-

48

wem. Żaden grubiańsko nie zaczepił. Onieśmiałała. Nie wiadomo, skąd pochodziła, przyjechała pewnego dnia do wuja i ciotki. Powiedziano, że straciła rodziców.

Opiekunowie kochali ją, ciągle słyszano „Wiereczka” tu, „Wiereczka” tam...

Wiereczka... Wiereńka... A ona uśmiechała się do wszystkich i wydawało się, że nikt do niej nie dorósł, taka wysoka, prosta, pewna siebie. I łaskawa. Dla wszystkich jednakowo.

Cóż dziwnego, że się zakochał. Nie on jeden. Nie miał żadnej nadziei. Bo i skąd? Brzydki i nędzny. Co mógł jej ofiarować? Miłość? Czy miłość nakarmi, napoi, ubierze, da mieszkanie?

Wiera przyjmowała hołdy. Nie wyróżniała nikogo. Dla wszystkich była uprzejma.

Wuj i ciotka czuwali. Wiera pracowała w „urzędzie”. Zimą nosiła tę samą szarą suknię z czegoś podobnego do wełny, tylko sztywnego, co choć układało się w jakieś bezkształtne fałdy, nie potrafiło ukryć wrodzonego wdzięku zgrabnej sylwetki i niespotykanej tu elegancji.

- Żeby ją ubrać - mówiła babcia - byłaby piękną.

- I tak jest piękna - odpowiadał. - Najpiękniejsza - dodawał z zapałem i czerwienił się, bo nie chciał ujawnić swojej tajemnicy. Ale babcia wiedziała. I mama wiedziała. Choć milczał. Wiera chyba też wiedziała.

Raz zaprosił ją do kina. Dawano jakiś stary, wojenny film, który od lat obchodził cały Związek Sowiecki, trafił na Ural i hen, aż na Syberię. Tego roku trafił do nich. Przebojem stała się filmowa piosenka, nucona tęsknym barytonem „Tiomnaja nocz”. Piękna piosenka, aż dziw. Podobała się nawet babci. Zapisał słowa. Też piękne. („Tiomnaja nocz, tolko puli swistiat po stepi, tolko wietier pajot w prawadach, tuskło zwiezdy miercajut, Tiomnaja nocz, ty lubima, wieru nie spisz, i nad dieckoj krawatkoj tajkom, ty slezy otierajesz.”

I tak dalej. Pamięta do dziś. Mógłby zaśpiewać, gdyby miał ładny głos. Ale niestety. Słuch miał. To zbadała babcia. Tylko głos...

- W salonie był fortepian - opowiadała. - Czarny, lśniący. Na

49

trzech nogach. Nogi zakończone metalowymi kółkami stały w grubych szklanych miseczkach.

- Po co? - pytał.

- Żeby nie porysować posadzki - wyjaśniała.

A potem pewnego dnia zjawił się przybysz z Moskwy. W mundurze lotnika. Bardzo wysoki, ciemnowłosy. W sam raz para dla Wiery. Okazało się, że to narzeczonego. I zabrał ją. Wuj i ciotka posmutnieli. A i miasteczko wydało się jakieś bardziej szare i nędzne. I jeszcze brzydsze. On też posmutniał. Nigdy zresztą nie był wesoły. Takie miał usposobienie. Bo i jakże mogło być inaczej.

Wesołość dawała wódka. Ale babcia nie pozwalała.

- Tego tylko brakowało - trzęsła głową - żebyś i ty jak oni wszyscy... Pamiętaj, wódka upadła człowieka. Miałeś dobry przykład przed oczami. I jeśli mnie kochasz, jeśli kochasz mamę...

Pamiętał i kochał je obie. Dopiero jak ich zabrakło...

Jak ich zabrakło, skończyło się dla niego wszystko. Świat upodobił się do czarnej pustyni.

Miał osiemnaście lat. Był dorosły. Wszystko pamiętał. I miał mamę. Ale potem... gdy i ona... Wtedy już nic go nie powstrzymało, stoczył się w ową przepaść, w której tkwili inni, ci którymi pogardzał. Upodobił się do nich. Ale pewnego dnia natknął się na zeszyt i na rysunki babci.

- Pamiętaj - szemrał jej głos - wierzę, że kiedyś tam wrócisz. Zamiast mnie. Ale ja będę z tobą. To Bukły, nasz dom. Musisz tam wrócić. Wiesz, jak wszystko było. Odbudujesz. - Bukły... Bukły go uratowały. „Powrócił do człowieczeństwa” - jak mówiła babcia o innych. Czasem tylko... bo wódka pozwalała zapomnieć.

Leżał w gęstej trawie blisko źródła, skąd czerpał wodę.

Cisza drżała brzęczeniem pszczół, kwileniem ptaków. Nikt nie zapuszczał się w te zdziczałe chaszczki, w tę ruinę, którą pragnął podźwignąć, przywrócić do dawnego wyglądu. Ale jak? Za co?

I nagle spadli jak z nieba ci francuscy „kuzyni”.

- Czort ich tu przygnał - mrucał - taką zarazę!
- Czy to prawdziwi Sawoniewicze? - spytał raz Aldka.
- Prawdziwi - pokiwał głową doktor. - Wiem, Leo, co czujesz, ale jeśli oni odbudują Bukły... Skorzystasz na tym. Ich ojciec przy forsie, a ty co? Żebrak. Nie krzyw się na nich, oni chcą dobrze dla ciebie. Widzisz przecież, jak się starają.
- Nie potrzebuję ich - burczał.

50

- Potrzebujesz, potrzebujesz - perswadował doktor. - Tylko nie zaglądamy do butelki. O tu, masz, przywiozłem ci wodę mineralną. Gazowaną, jak lubisz.
- Mam lepszą ze źródła - wzruszał ramionami.
- No, no, nie złość się - doktor rzucił się na trawę obok niego. - Dzwoniła sekretarka pani Jaszuskiej. Chce cię widzieć. Mówiła, że tamci wyjechali.
- Niech jadą w czorty.
- Coś taki zły?
- Mam ich dość. Tylko łąz, cholery. Żeby ich...
- Przestań, Leo. Co cię nagle ugryzło? Edward sympatyczny facet, a dziewczyna klasa.
- Może dla ciebie.
- Chyba nie powiesz, że brzydka.
- Nic nie powiem. Co mówiła sekretarka? Kiedy mam się stawić u adwokatki?
- Nawet jeszcze dziś. Chcesz, mogę cię zawieźć. Muszę być na uniwersytecie.
- Zanim zapoznam pana Franciszka Sawoniewicza z tymi dokumentami - pani mecenas położyła na papierach świeżo wymanikiu-rowane palce - chciałam z panem porozmawiać.

Milczał i tylko patrzył na nią. Wiedział, co zawierają te papiery.

- Pan kłamał, prawda? - powiedziała cicho.
- Trochę - przyznał.
- Może nic nie łączy pana z Sawoniewiczami?
- Jakże? Przecież babcia... i mama...
- Pańska mama nazywała się Maria Korsunowa, żona Pawła Iwanowicza Korsunowa.
- Mama była córką babci... i po niej Sawoniewiczówna - zauważył.
- Urodził się pan z legalnego związku, jako syn Pawła Korsunowa i Marii Sawoniewicz.
- Sawoniewicz, widzi pani?
- Owszem, widzę. Proszę mi powiedzieć, kto to jest Leon Sawoniewicz?

Milczał.

- Nie odpowiada pan. - Podniosła na niego wzrok. - Piszą mi, że Maria Sawoniewicz, przed małżeństwem z Pawłem Korsunowem, miała nieślubnego syna. Nosi on nazwisko matki, Sawoniewicz.

51

- To swołocz! - wybuchnął. - Mielkaja swołocz!
- To pański przyrodni brat - zauważyła chłodno. - Załączono nawet jego

fotografię. Ma charakterystyczne rysy Sawoniewiczów. Bardzo podobny do pana Edwarda.

Siedział nieporuszony. Znowu czuł tę żelazną rękę ściskającą wnętrzności. Jak kiedyś, gdy był dzieckiem. I znowu brakowało mu tchu, a przed oczami było ciemno.

- Zle się pan czuje? - pochyliła się nad biurkiem.

- Nie... nie...

Wyszła. Po chwili podała mu szklanekę wody.

- Proszę wypić.

Powoli odzyskiwał jasność myśli. Znowu mógł oddychać swobodnie i powróciła ostrość widzenia.

- Pomówmy teraz o pańskim przyrodnim bracie, Leonie Sawo-niewicz - zaproponowała, tak spokojna i opanowana, jak gdyby chodziło o jakąś błahostkę. Zapadł w głąb fotela, zmały nagle, czując narastający w nim szloch i łzy, gwałtem cisnące się do oczu.

Nie opierał się rozpacz, był słaby jak dziecko. Zawładnęła nim, szarpiąc serce, rozrywając płuca, którym znów zabrakło oddechu. Skulony, z twarzą w dłoniach, poddał się bez walki. Tak płakał raz tylko w dorosłym życiu, po śmierci mamy. Jej obecność złagodziła ból po stracie babci. Było ich wówczas dwoje, a mama mówiła: „jak dwoje, to nie sieroty.” Boże! Boże!

Nie wstydził się siedzącej naprzeciw kobiety. Wiedział, że przegrał, że nie było żadnej nadziei ratunku. Bolało go tylko, że to ona jest świadkiem jego klęski, że ona widzi jego łzy i bezsilną rozpacz. I ma go za oszusta. A może za coś jeszcze gorszego.

Co z nim będzie? Co będzie? Tam nie wróci, za nic. Raczej się zabije, albo ucieknie na drugi koniec Polski, najmie się do byle jakiej roboty. Choćby najcięższej, najpodlejszej.

A jeśli ona zaraz wezwie policję? Każe go aresztować?

Nie mógł znieść tej myśli. Właściwie powinien wstać i wyjść, póki jeszcze można.

Natychmiast. Ale był tak słaby, że pewnie nie utrzymałby się na nogach.

Podniósł głowę i spotkał jej* spojrzenie.

Pani mecenas wydawała się poruszona. W oczach jej było współczucie i coś więcej. Litość. I może zrozumienie.

A on, w tej właśnie chwili, zdał sobie sprawę, że stracił nie tylko

52

Bukły, jego marzenie o innym świecie, to wszystko, czym żył dzięki babci i dzięki jej rysunkom. To marzenie pozwalało mu znosić ciężką, szarą beznadziejność tamtejszej codzienności.

Tu poznał zupełnie inny świat, świat, o którym opowiadała babcia. Ten cudowny świat, zaledwie poznany, zapadał się oto w jakąś niezgłębianą przepaść, oddalał się od niego, odchodził, by już nigdy nie powrócić.

To był koniec. Koniec wszystkiego, co piękne i dobre. Oprócz marzenia o Bukłach tracił jednak coś jeszcze, chyba coś cenniejszego niż Bukły. Miłość. A właściwie nadzieję miłości. Nie tę młodzieńczą, mającą jasnowłosą Wierę za cel wdychania. Prawdziwą miłość, jaką mężczyzna odczuwa raz w życiu. Spadło to na niego nagle, jak piorun z nieba. Od pierwszego wejrzenia. I wie, że tkwić w nim będzie zawsze,

do końca. I boleć. I wolałby natychmiast, tu, paść trupem, niż jej dać do zrozumienia. Obok współczucia i litości miałaby dla niego pogardę i wstręt.

O tak, gardziła nim i brzydziła się go. Gardziła tym nędznym głupcem, który pojawił się w cywilizowanym kraju, w sercu Europy, podobny do dzikusa, nieledwie jaskiniowca. A pragnął uchodzić za Polaka, takiego jak tu wszyscy, a nie potrafił nawet wyrażać się poprawnie i zachować się przyzwoicie.

Podniósł się ciężko i spojrzał jej prosto w oczy.

- Pójdę już - powiedział bardzo cicho. Trudno mu było nawet mówić. - Nie wiem, co pani ze mną zrobi... co postanowi... - zachwiał się i ledwie zdążył przytrzymać się biurka. Znowu brakło tchu i było czarno przed oczami.

- Nigdzie pan nie pójdzie. - Pomogła mu usiąść.

Znowu siedział w tym samym fotelu, pochylony do przodu, ze zwieszoną głową. Jak winowajca, jak prawdziwy winowajca.

- Jestem kłamcą i oszustem - wyrzucił wreszcie. - Kłamcą i oszustem. -

Powtórzył głośniejszym głosem. - Słyszysz pani?

- Czy jadł pan obiad? - spytała zupełnie niespodziewanie.

- Nie wiem. Czy to ważne?

- A śniadanie?

- Proszę nie pytać mnie o takie głupstwa. Co znaczy śniadanie, czy obiad?

Znowu wyszła. Gdy wróciła, pomogła mu wstać i poprowadziła do jadalni.

- Zaraz zjemy kolację - powiedziała spokojnie.

53

Jadł, ale nie wiedział co. Nakładała mu na talerz. Co? Nie zauważył. Widział tylko jej ręce. Piękne ręce. Na czwartym palcu nosiła pierścionek z dość dużym brylantem. W smudze zachodu, za każdym ruchem ręki kamień ożywał nagle, sypiąc iskry. Jakby tam wewnątrz coś się paliło. Jakiś nigdy nieugaszony wieczny ogień.

Nie odrywał oczu od pierścionka.

Gospoia przyniosła mu drugą szklankę herbaty.

- Lepiej panu? - spytała pani mecenas.

- Dziękuję... Przepraszam... - nie wiedział, co mówić. Nie wiedział, jak się ma zachować. Ot, prawdziwie dziki człowiek.

- Zamówiłam panu pokój w tym hotelu, gdzie pan już mieszkał z kuzynami - powiedziała w pewnej chwili. - Niedługo przyjdzie mój kolega i zaprowadzi pana. Jutro pomówimy o wszystkim. Teraz proszę połknąć tę pastylkę.

Połknął posłusznie.

Dostał ten sam pokój, w którym spędził już parę nocy. Piękny pokój. Nigdy przedtem takich nie widział. I łóżko. Doskonałe. Wygodne. Tam nie mógł nawet marzyć o podobnym łóżku, podobnej pościeli, podobnej sypialni.

Powiedział jej wszystko. Nawet sam nie wie, jak do tego doszło. Wyrzucał z siebie słowo po słowie, zdanie po zdaniu, aż nie zostało w nim nic. Pustka. W tej pustce żyła jednak Miłość. Ale to musiało już pozostać jego tajemnicą.

Raz jeszcze przeżył całe swoje życie. Straszne dzieciństwo. Mama z posiniaczoną twarzą. Wyzwiska bluzgające ze zniechęconych ust ojca-pijaka, nie ojca, nie, on przecież był Sawoniewicz. Polak i katolik. Tak mówiła babcia. I te potworne lata w

kopalni na Uralu. Szkoda, że wówczas nie zdechł. Ale zjawiła się mama, jak anioł z nieba, i zabrała go. Mama. Dlaczego był wówczas taki mały i słaby, że nie mógł obronić mamy przed pięścią pijaka? Raz tylko się odważył, tylko raz. Ach jak mama płakała, siedząc nad nim, gdy zbity i skopany omal nie wyzionął ducha.

Wszystko to powiedział, tam, w jadalni pani mecenas. Znowu czuł się sponiewierany i upokorzony. Lecz teraz sam był temu winien. Nie pasował do tego świata. Po co tu przyjeżdżał, po co pchał się w towarzystwo ludzi, do których nie pasował, którzy go nie chcieli. Nie miał z nimi nic wspólnego, on ruski cham, syn ruskiego chama.

Tak, na zewnątrz był ruskim chamem. Wiedział o tym, ale wew-

54

nętrz... Wewnątrz żyła w nim dusza polska, wewnątrz był Sawo-niewiczem.

Prawdziwym. I za to mama go kochała. A i babcia, gdy odkryła jego duszę. A teraz, gdy nie było babci ani mamy, co mu pozostało? Wódka. W niektóre dni i noce upijał się do nieprzytomności. Byle nie myśleć, nie wspominać. Zabić w sobie tę duszę, polską i Sawoniewiczowską. Zabić ją, zdeptać, zalać wódką. Żeby milczała, żeby mu nigdy nie przypominała, czym był wewnątrz, „w środku”.

Zasnął prawie od razu - tak działała pastylka pani mecenas - ale obudził się nad ranem, gdy jeszcze było ciemno i leżał wpatrzony w okno, które z każdą minutą rozjaśniał świt wstającego dnia.

Nie trzeba o tym myśleć - strofował sam siebie. - Stało się, nic nie poradzisz.

Znowu był, jak ci ludzie stamtąd, otepiali i bezwolni, pokornie poddający się fatalizmowi, z którym nie potrafili walczyć.

Zasnął, gdy na dworze był już jasny dzień.

Obudził się o dziesiątej, przerażony, wrócony nagle do strasznej rzeczywistości.

Pukanie do drzwi.

W progu stał portier.

- Przysłać panu śniadanie? - Nie powiedział, że już dwa razy dzwoniła pani mecenas i kazała dowiedzieć się o klienta.

- Proszę.

Gdy dopijał kawę, zadzwonił telefon. Sekretarka pani mecenas połączyła go ze swoją pracodawczynią.

- Jak się pan czuje?

- Dobrze. Przepraszam panią za wszystko.

- Pojedzie pan do Bukłów?

- A mogę?

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Spotkałam pana doktora Śliwę. Wraca do domu.

Wstąpi po pana - odłożyła słuchawkę, zanim mógł coś dodać, o coś zapytać.

Dzień był tak piękny, że radość wciskała się przemocą do serca, nawet do jego serca zmęczonego przeżyciami poprzedniego wieczoru.

- Jak tam nasi paryżanie? - zagadnął młody Śliwa, unikając zręcznie mijającej go nieprawidłowo ciężarówki.

- Nie wiem. Pojechali do Gdańska.

- Samochodem?

- Samochodem. Chcą po drodze zwiedzać Polskę.

55

1*

- Szkoda, że cię nie zabrali.
- Proponowali, ale nie chciałem.
- Dlaczego?
- Wolę być w Bukłach.

Nie dodał, że może to ostatnie dni jego pobytu w zrujnowanym dworze.

- Przychodź do nas - pożegnał go pan doktor, wysadzając na zachwaszczonym podjeździe. - Czy masz pieniądze?
- Mam.

Miał w kieszeni dziesięć złotych. Powinno wystarczyć. Nie miał wcale apetytu. Zresztą zjadł obfite śniadanie. Kelner oznajmił, że tak śniadanie jak i pokój, wszystko to idzie na rachunek paria Edwarda Sawoniewicza, który przed wyjazdem tak zarządził.

Są dobrzy - myślał. - Okazali mi serce. - Dlaczego więc ich nienawidził? I czy rzeczywiście czuł do nich niechęć?

Siedział w gęstej trawie, koło źródła i patrzył na mury małej kaplicy, ukrytej teraz wśród wysokich chaszczy, które zasłoniły wybite okna, wyrwane z zawiasów drzwi, przystawione do otworu przez jakieś pobożne ręce. Był już tam, widział zrujnowane wnętrza, ślad po ołtarzu, rozbite tablice na ścianach. Tam pod spodem leżeli Sawoniewiczze. Przodkowie jego babki. Jej rodzice, dziadowie, pradziadowie. Pierwszy był Franciszek. To on zbudował dom. Poprzedni. Spalili go kozacy podczas powstania styczniowego. Józef Sa-woniewicz odbudował. To ten sam, co jeszcze stoi, choć jest ruiną. I znowu go odbudują. Ale nie on, on nie będzie miał żadnego prawa do tego domu, do tej ziemi. Tylko tamci... Z Francji. Z dobrego życia, z dostatku. Co oni wiedzą o Bukłach? Czy myśleli o tym dawnym majątku dziada, który im przypadł w spadku, im, w prostej linii dziedzicach?

Po co tu właściwie przyjechali? Czego tu szukają? Dla nich to wakacyjna przygoda, nie marzenie. Nie zostaną tu przecież, odjadą do swego Paryża, do wygod, zabaw, towarzystwa, o których on, dziki człowiek, nie ma najmniejszego pojęcia. Między nim a nimi leży przepaść nie do przebycia. Nigdy się nie zrozumieją. To niemożliwe. Dwa światy, dwa różne światy. On tu obcy. Nikt tu go nie chce. Nawet Śliwowie... Zrazu życzliwi, pomocni, ale teraz, skoro zjawili się ci „legalni”... Jeden Aldek się nie zmienił, przyjazny i serdeczny jak dawniej.

Aldek... Podoba mu się ta Jula, od razu to zauważył. Bardzo mu

56

się podoba. Jego kuzyni, ona i ten Edward. Jego kuzyni, choć oni Sawoniewiczze a on, Korsunow. Ale on Polak... Bardziej Polak niż oni z tej Francji. Pierwszy raz tu przyjechali. Zapisani jako Francuzi, a on Polak, choć tak źle mówi.

Krzyczałyby z rozpacz i wściekłości. Ach, żeby babcia żyła! Wytłumaczyłaby tym durniom... Ważne jest, co człowiek ma w środku, w duszy, a nie na zewnątrz, jakie nosi ubranie i jak gada.

Pani mecenas... Co o nim myśli? Czy już go osądziła?

Zdechnie z głodu, ale nie poprosi nikogo o pomoc. Ani Śliwów, ani Aldka, ani tych paryżan, gdy wrócą znad morza. Właściwie znalazłby sobie pracę w Białymstoku.

Przechodził raz z Edkiem koła zakładu, gdzie poddają renowacji stare meble. Piękne

meble. Antyki. Oryginały. Widzieli. Wystawione w witrynach. Krzesła... kanapy... fotele... Przyjęliby go, gdyby zobaczyli, co potrafi. Zapamiętał ulicę i dom. Podniósł się i rozchylając krzaki i chwasty utorował sobie drogę do kaplicy. Podniósł się i rozchylając krzaki i chwasty utorował sobie drogę do kaplicy.

I

- Nigdy nie widziałam równie wspaniałego miasta jak Gdańsk! -Jula opadła na fotel przed biurkiem pani mecenas.

- Więc zadowoleni państwo z wycieczki?

- O tak - skwapliwie potwierdził Edward. - Objechaliśmy całą tę część wybrzeża. Aż do Helu. Bardzo przyzwoite hotelą.

- Tylko mało turystów - zauważyła Jula. - Zamiast tabunów z całej Europy... Pustka...

- Jeszcze za wcześnie - uśmiechnęła się pani mecenas. - Proszę poczekać do wakacji.

- Nas wówczas tu nie będzie. Musimy wracać. Czy... coś pani już wie? A jak ministerstwo...?

- Ministerstwo jak najbardziej życzliwe. Chcą przecież państwo własnym kosztem odbudować dom, podnieść majątek z ruiny. Z tej strony nie będzie zbyt wiele trudności, chociaż... Nie należy liczyć na odzyskanie wszystkiego. Co innego, jeżeli chodzi o... pana Leona.

- Co się pani dowiedziała?

- Różnych rzeczy. - Pani mecenas odchyliła się na oparcie fotela. - O, tu są dokumenty i polski przekład. - Posunęła papiery w ich stronę. - Są jednak pewne... komplikacje - dodała.

- Jakie?

- Maria Sawoniewicz, podobnie jak jej matka, padła ofiarą gwałtu. Owocem tego jest syn, Leo Sawoniewicz.

- Więc to jednak prawda.

- Owszem, prawda. Oto jego zdjęcie.

- To wcale nie jest Leo! - wykrzyknęła Jula, ujmując fotografię.

- Podobny do Sawoniewiczów - Edward pochylił się nad biurkiem.

- Tak. Podobny nawet do pana. Ten sam kształt głowy, wykrój oczu... usta...

58

- Ależ to nie Leo! - powtórzyła Jula, wpatrzona w zdjęcie.

- Leo, tylko nie ten, którego znamy.

- A więc to oszust!

- I tak i nie.

- Co to znaczy?

- Maria Sawoniewicz wyszła potem za męża, za Rosjanina, niejakiego Pawła Iwanowicza Korsunowa. Z nim też miała syna.

- A ten fałszywy Leo? Któż to taki?

- To właśnie ten syn. Wasyl Pawłowicz Korsunow.

- Wasyl! - prychnęła Jula.

- Tak, Wasyl. Po francusku Basile - dodała pani mecenas z uśmiechem! - Po

polsku Bazyli.

- A co z tym prawdziwym Leonem? - zainteresował się Edward. - Gdzież on?
- Chyba w Rosji - odparła obojętnie, jak im się zdawało, adwo-katka.
- A może nie żyje?
- Może. Proszę, niech pan nie buduje kryminalnej intrygi z tych paru danych, które uzyskałam. Leo, ten fałszywy, odbył tu u mnie spowiedź. Wiem o nim wszystko.
- Oszukał panią.
- O nie, nie łatwo mnie oszukać.
- Więc pani wierzy temu oszustowi, a może mordercy, który podszył się pod przyrodniego brata?
- Po co te wielkie słowa? Ten człowiek powiedział mi prawdę.
- Prawdę! Tylko kobieta może być tak łatwowierna!
- Jest p'an jeszcze bardzo młody, panie Edwardzie - pani mecenas pochyliła się nad biurkiem. - Wiele osób przewinęło się przez ten gabinet. Wiele ludzkich tragedii słyszały te ściany. Wiele dramatów rozegrało się przy moim udziale na sądowej sali. Potrafię ocenić człowieka. Proszę też nie zapominać, że ten fałszywy Leo jest wnukiem Katarzyny Sawoniewicz.
- Udało mu się przekabacić panią - wybuchnął Edward.
- Nie wiem, co pan ma na myśli - pani mecenas zmarszczyła brwi. - Po prostu opowiedział mi całe swoje życie, nic nie ukrywając. Całą prawdę o sobie i swoim przyrodnim bracie.
- 1 pani uwierzyła?
- Uwierzyłam.
- Nie trudno mu było panią przekonać.

59

ś

- Owszem, trudno.
- I chce nam pani wmówić...
- Niczego państwu nie wmawiam. Prowadzę sprawę, którą zleciliście mi, sprawę niezwykłą i skomplikowaną, z uwagi na oddalenie i w czasie, i w przestrzeni. Mam nadzieję, że uda mi się rozwiązać tę zagadkę. Jeśli chodzi o człowieka, który podał się za Leona Sawoniewicza, wiemy o nim wszystko. Natomiast ten drugi... prawdziwy...
- Właśnie, ten drugi, prawdziwy...
- Wiemy o nim niewiele. Brat nazwał go po rosyjsku „swołoczą”. Wysłałam już pismo w tej sprawie do Moskwy, do mego korespondenta. Czekam na odpowiedź.
- Nie chcę, by ten oszust przebywał w Bukłach - powiedział Edward. - Nie chcę go w ogóle widzieć. Przekażę sprawę policji.
- Zapomina pan, że to wnuk Katarzyny Sawoniewicz.
- Kto mi to zaręczy? Wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, że nie ma nic wspólnego z naszą rodziną. Jak pani powiedziała? Korsunow? To Rosjanin i nie chcemy mieć z nim nic wspólnego.

- Zamierza pan przekazać sprawę poliği'i?
- Zamierzam oddać sprawę do sądu, oskarżyć tego... Korsunowa o kłamstwo, o podszywanie się pod naszego kuzyna. Musiał go w jakiś sposób usunąć, żeby móc zabrać jego dokumenty i wystąpić pod jego nazwiskiem. Może jest groźnym przestępcą poszukiwanym przez tamtejsze organy ścigania. Nie wiemy przecież, nic o nim nie wiemy.
- Nie chce więc pan wziąć pod uwagę, że on też jest pańskim kuzynem? Jeśli poda go pan do sądu, ja podejmę się jego obrony. Staniemy wówczas po przeciwnych stronach barykady, pan i ja.
- W takim razie zwalnim panią z tej sprawy. Potrzebujemy pani pomocy jedynie w odzyskaniu praw do Bukłów dla mego ojca. Reszta już do pani nie należy.
- Dobrze.
- Bardzo pani dla niego łaskawa - wtrąciła milcząca dotąd Julia. -A mnie nie podobał się od pierwszej chwili. Okazało się więc, że mam większą intuicję w osądzaniu człowieka, niż pani. Od początku czułam do niego niechęć. Od razu wydał mi się podejrzany. To jednak zręczny oszust, wyzyskał panią.
- Mnie? W jaki sposób?
- Nie powiedział pani? Nam zwierzył się pierwszego wieczoru.

60

- Z czego miał się zwierzać?
- Z miłości do pani - uśmiechnęła się Julia. - Przecież się w pani zakochał. Nie radziłabym dawać wiary takiej „miłości od pierwszego wejrzenia”.
- Podziwiam pani doświadczenie! - pokręciła głową pani mecenas. - Taka młoda i taka ładna - dodała. - Nic dziwnego, że dużo pani wie o miłości. - Obrzuciła Julę uważnym spojrzeniem. -Z pewnością ma pani wielu wielbicieli - stwierdziła. - Jest pani bardzo szczęśliwa.
- Co to ma do rzeczy? - zauważył Edward.
- O, ma, i to wiele. Pani dzieciństwo było dobre i radosne. Kochający rodzice, piękny, wygodny dom, pieniądze na niewinne zachcianki. Wolność, poczucie bezpieczeństwa. Świat otworem. Podróże, zwiedzanie cudownych zakątków Europy... Cóż może pani wiedzieć o tym innym świecie? Chociażby o naszym przez ostatnie pół wieku, nie mówiąc już o tamtym, strasznym, nieludzkim? Nawet pani o tym nigdy nie myślała, prawda?
- O czym pani mówi? Co to ma do rzeczy? - powtórzył Edward zniecierpliwiony.
- Zaraz się pan przekona. - Pani mecenas była w tej chwili zupełnie inna. Tak musiała wyglądać na sądowej sali. - Dlaczego dopiero teraz, po dziesięciu latach od odzyskania niepodległości, przypomnieli sobie państwo o Bukłach? Franciszek Sawoniewicz miał dziesięć lat, lub niewiele więcej, gdy opuścił Polskę. Wychował się we Franği'i. Matce zawdzięcza znajomość języka. Jest francuskim obywatelem, Francja okazała mu dużo więcej przychylności, niż własna' ojczyzna, powalona butem najeźdźcy, zaatakowana od tyłu zdradziecko, wzięta w dwa ognie, bez możliwości ratunku, pozostawiona bez pomocy przez tak zwanych aliantów.
- Niepotrzebnie nam to pani przypomina - zmarszczył się Edward.
- Bardzo potrzebnie. Żyli państwo w takiej izolacji, w zupełnej ignorancji tego,

co się tu działo, że należy otworzyć wam oczy na rzeczywistość, na naszą rzeczywistość. A także na rzeczywistość, w jakiej żyła ciotka pańskiego ojca, jej córka i wnukowie.

- Wracając do naszej sprawy - przerwała Jula. - Ten nieszczęsny oszust wzbudził i moje współczucie. Litowałam się nad nim. Rozumiem panią, rozumiem, że go pani broni...

- Nic pani nie rozumie. Jeszcze go nie bronię, nie stoi przecież przed sądem. Jeżeli pan go oskarży oficjalnie, dopiero wtedy stanę

61

w jego obronie. Kuzyn państwa, pan Korsunow, jest i będzie dla mnie wyłącznie klientem, niczym innym.

- Myślałam...

- Źle pani myślała. Wybaczam niewłaściwość wypowiedzi. Jest pani jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona. Ja zaś muszę być sprawiedliwa. Tego wymaga funkcja, jaką piastuję. Myślę, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Moja sekretarka przekaże państwu decyzję ministerstwa. To wszystko. Żegnam.

* * *

Zbudził go warkot samochodu.

Przez otwarte drzwi wlewało się słońce.

Powiódł oczami po bielonych ścianach „swojej” sieni. Swojej... Jak długo jeszcze pozwoli mu tu zostać? Stracił chęć, do pracy, w ogóle do życia. Leżał tak już trzeci dzień, głodny, tracąc resztki nadziei. Żeby jeszcze choć butelka wódki...

Nie miał zamiaru wstawać, najlepszy był taki półsen, aż tu ten samochód...

- Co z tobą, Leo? - ton głosu doktora Śliwy był jak zwykle przyjazny. - Nie pokazujesz się... Myślałem, że siedzisz w Białymstoku... ale właśnie dowiedziałem się...

- Wiem, czego się dowiedziałeś. - Spuścił nogi i siadł.

Smuga słońca zamigotała, ożywiając barwy babcinego dywanu.

- Chory jesteś? Bardzo źle wyglądasz. I chyba jeszcze schudłeś.

Śliwa sadowił się ostrożnie na delikatnym krzeselku.

- Nie jestem chory - mruknął, nie podnosząc oczu na gościa. - Pora zdychać.

- Nie pleć głupstw. Przyjechałem cię zabrać. Powiedzieli mi wszystko, całą prawdę.

Milczał. Cóż oni wiedzieli? Ich prawda była zupełnie inna od jego prawdy. A i ten Aldek... dobry... Ale czy potrafi zrozumieć?

- Zbieraj się.

- Nigdzie nie pojedę.

- Nie możesz tu zostać. Chcą cię stąd wykurzyć.

- Niech spróbują.

- Oszalałeś? Będziesz z nimi walczył? Wezwą polię, chcą oddać sprawę do sądu.

62

- Do sądu? - zatrząsł się.

- Tak. Są na ciebie wściekli. Kłamca, oszust, nieledwie morderca... Gadali i gadali. Prawie wyprosili mnie z pokoju, gdy usiłowałem im tłumaczyć... przedstawić

pobudki, które cię skłoniły... Jak groch o ścianę. Ale ja ciebie rozumiem. I pomogę ci.

- Pomożesz?

- Zresztą nie ja jeden. Wyobraź sobie, mecenas Jaszuska oświadczyła im, że w razie procesu, podejmie się twojej obrony. No, chłopie, głowa do góry, co u licha, podobnie jak twój przyrodni brat i ty jesteś rodzonym wnukiem „panny Katarzyny”.

- Ale nie nazywam się Sawoniewicz.

- To nieważne. Po matce jesteś Sawoniewicz. No zbieraj manatki i jedźmy.

- Poczekaj chwilę. - Stał i rozejrzał się po „swojej” sieni. - Nie chciałbym, aby to wszystko przepadło - powiedział cicho.

- Co ma przepadać? Zostanie tu. Zamkniesz drzwi. Nie będą przecież wyłamywać zamka.

- Licho ich wie. - Zbierał swoje osobiste drobiazgi do zniszczonej walizki, gdzie porządnie ułożone w tekturowych teczkach spoczywały rysunki babci.

Wydało mu się, że jak i ona niegdyś, tak i on teraz, w tej chwili, traci Bukły. Na zawsze. Ona tu przecież nigdy nie wróciła. A on? Co z nim się stanie? Czy ciągle istnieć będzie jakaś potęga, która przemocą wygnania z jakiegoś raju tych, co ten raj ukochali?

- Poszukam pracy w Białymstoku - powiedział, gdy zbliżali się do domu Śliwów. - Widziałem taką pracownię... pamiętam ulicę... Odnawiają stare meble... Piękne meble.

- Pójdziemy tam jutro - ofiarował się skwapliwie doktor. - A już ty im pokażesz, co potrafisz. Jesteś prawdziwym artystą.

- A... oni?

- Czy mówisz o tych z Francji?

-Tak.

- Ciekawym, co zrobi mecenas Jaszuska. Odebrali jej prowadzenie twojej sprawy, zostawili tylko starania w ministerstwie. To, że ich ojciec jest właścicielem Bukłów, to zupełnie słuszne. Mój stary też jest tego zdania. Ach, jakże oni na nią wygadywali! Powiedzieli, że była niegrzeczna, ale mnie się wydaje, że to raczej oni... szczególnie panna Julia... bardzo na ciebie zła.

- Julia - uśmiechnął się gorzko.

63

- Tak, kobiety bywają bardziej zawzięte.

- A... ty?

- No cóż... ja...

- Jesteś po ich stronie, prawda?

Doktor milczał.

- Wiem, starasz się być dla mnie dobry.

- Wcale się nie staram. Ale musi być jakaś sprawiedliwość.

- Nie ma sprawiedliwości. Tam, gdzie ja żyłem, był tylko „ukaz”, partia i KGB, i strach. Ludzie się nie liczyli. Za dużo ich było. Dla wszystkich nie wystarczało ani mieszkań, ani jedzenia, ani ubrania...

- Zapomnij o tym. Tam nie wrócisz.

- Tego nie można zapomnieć!

- Wiesz co? - doktor spojrzął z ukosa na swego pasażera. -Dużo lepiej mówisz.

Poprawniej.

- Myślałem o tym i staram się.
- To dobrze. A teraz powiedz mi o swoim bracie.
- Co o moim bracie?
- Czy mówi po polsku?
- Lepiej ode mnie. Wszystko robił lepiej ode mnie. Swołocz.
- Dlaczego tak się o nim wyrażasz? Nie lubisz go?
- Nie pytaj.
- Gdzie on teraz?
- Czort go wie.
- Słuchaj, Leo, to trzeba wyjaśnić. Ja, w każdym razie, żeby cię bronić, muszę znać prawdę. A chwilowo prawda jest taka: zabrałeś dokumenty brata, zresztą może ci je dał, po woli czy po niewoli. Nie wiem. Znajdujesz się w złej pozycji i musisz o tym pamiętać.

- I co z tego?

- Jak to co z tego? Nie rozumiesz? Póki nie odnajdzie się prawdziwy Leon Sawoniewicz, możesz być oskarżony o najgorsze.

- I co z tego? - powtórzył z uporem.

- Nie ma co z tobą gadać. Może potem, w domu...

Ale potem „Leo” nie okazał chęci do zwierzeń. Jadł i milczał.

- To co z panem będzie? - zagadnął wreszcie stary Śliwa. Siedzieli na werandzie wychodzącej na ogród. - Czy nie lepiej pogodzić się z kuzynami?

- Nie kłóciłem się z nimi. Dawno ich nie widziałem.

- Adwokatka dowiedziała się... Pan nam skłamał...

- Czy będąc na moim miejscu postąpiłby pan inaczej?

64

g I

- Nie wiem, jak bym postąpił. Ale ja też przeszedłem niejedno... Znajdowałem się w różnych sytuacjach... czasem trudnych... bardzo trudnych... Będąc panem nie podszywałbym się chyba pod brata. Pan też jest wnukiem panny Katarzyny... Chyba że pan nim nie jest... chyba, że jest pan kimś zupełnie obcym i nie ma żadnych praw do tej rodziny.

- Jakim obcym? A mama? A babcia?

- No właśnie. W takim razie, jeśli ma pan brata, dlaczego nie przyjechaliście obaj razem?

- Pan tego nie rozumie.

- Czego nie rozumiem? Pan przecież nic nie powiedział, nie wyjaśnił. Sprawa wydaje się prosta: panna Katarzyna miała dwóch wnuków. Po jej śmierci i po śmierci matki nic nie trzymało ich w Rosji. Jeżeli pan mógł przyjechać, mógł to samo zrobić pański brat. Dlaczego tego nie zrobił?

- Może nie chciał. Zresztą nie wiem.

- Jeśli pan nie wie...

- Gdybym powiedział, znalazłbym się w więzieniu.

- Nie wiadomo.

- Deportowano by mnie do Rosji... a tam...

- Słuchaj Aldek - Śliwa przywołał syna. - Dureń ze mnie. Może ty coś wyrozumiesz.
- W razie procesu pani mecenas oznajmiła „Francuzom”, że będzie go bfonić.
- No, no - pokręcił głową stary. - W takim razie nie będzie z panem tak źle. W tym momencie zadzwonił telefon i doktor pospieszył do wnętrza domu. Wrócił po dłuższej chwili.
- Edward Sawoniewicz chce cię widzieć - spojrzął na „Leona”. -Ojciec zabronił wszczynania jakichkolwiek kroków sądowych. Sam skontaktował się z panią Jaszuską, prosił ją, by dalej zajmowała się wyświeceniem tej sprawy. To co, Leo, pojedziesz do Białegostoku?
- Pojadę i poszukam sobie pracy.
- Hotel drogo kosztuje - zauważył Śliwa. - Pamiętasz, Aldek, Zanieckich? Mają duży dom i biorą lokatorów. Spytaj, czy jest tam jakiś wolny pokój. Leo wyprostował się i podniósł głowę.

65

k

- Ojciec tych „Francuzów” to Franciszek Sawoniewicz? - spojrzął pytająco na Śliwę. - Bratanek babci?
- Tak. „Panicz Franio”, mój kolega, znaczy się cioteczny brat pańskiej matki, dla pana wuj.
- Wuj - powtórzył głucho Leo. - Mam więc wujka.
- Wydaje mi się - dodał doktor - tak przynajmniej wywnioskowałem z rozmowy, że ten wuj bierze cię w opiekę. Jedźmy.
- Franek to porządny chłop i radzę panu - Śliwa dotknął ramienia Leona - powiedzieć adwokatce całą prawdę. Ot co.
- Ojciec dobrze radzi - zauważył doktor, gdy już wydostali się na białostocką szosę. - Zdobądź się, choć wobec niej, na zupełną szczerłość, jeśli ma ci pomóc...
- Gdybym od początku był szczerzy, nie wiem, czy zechcielibyście ze mną gadać.
- Czy masz coś aż tak ciężkiego na sumieniu?
- Mam wiele na sumieniu, ale nie to, o czym myślisz.
- O niczym nie myślę - mruknął doktor, naciskając pedał.
- Mam przeprosić tę babę? - Edward był wściekły.
- Ojciec prosił.
- Prosił... Kazał.
- Prawdę powiedziawszy obraziliśmy ją.
- Niech to diabli...
- Nie złość się. Trzeba się dowiedzieć. Zadzwoń do Śliwów.
- Po co? Dzwoniłem wczoraj. Czekaliśmy, a on się nie zjawił.
- Ojciec pytał, czy ma pieniądze?
- Wiadomo, że nie ma.
- Doprawdy, doktor Śliwa mógłby być na tyle uprzejmy, by nas zawiadomić...
- Przypomnij sobie jak uprzejmie potraktowałaś doktora Śliwę.
- To ty jesteś winien. Omal nie wyrzuciłeś go za drzwi.
- Po co bronił tego... Ojciec też... Wszyscy go bronią.

- Ja go nie chcę widzieć. Najchętniej wróciłabym do Paryża.
- Masz więc dość Bukłów? „Nasz dom... nasze gniazdo.” - zadrwił.
- Nie sądziłam, że czekają nas takie komplikacje.
- A w ogóle po co ojcu ten kłopot? Utopić całe nasze oszczędności w tej beczce bez dna...? I co dalej? Na wsi trzeba gospodarzyć, żeby coś z tego mieć. I trzeba się znać na rolnictwie.

66

- Może Śliwa zechciałby...
- Śliwa? Brać na głowę taki kłopot? Poza tym, co zrobić z tym rosyjskim „kuzynkiem” spadłym jak z nieba?
- Mógłby tu zostać...
- Zostać... Właśnie o to mu chodzi. Ojciec postawi majątek na nogi, a on sprzeda i tyle go będziemy widzieli.
- Jakże mógłby sprzedać? Cudzą własność?
- To oszust. Zrozum... Może niejedną ciemną sprawkę ma na sumieniu. Co my wiemy? Co my w ogóle o nim wiemy? Same kłamstwa. Łgał jak z nut.
- Żałuję, że przyjechaliśmy.
- Weź pod uwagę jego spryt. Jak łatwo udało mu się omotać Śliwów. Tak tańczyli, jak on grał. Pomagali mu, naturalnie w dobrej wierze. A jak on sam powiedział „zapisali w gminie”. Gdybyśmy nie przyjechali, uznano by go za prawowitego dziedzica.
- Wiesz co, Edek, po co mamy siedzieć w tym nudnym Białymstoku. Nie znamy tu nikogo, w kinach filmy, które dawnośmy widzieli. Pojedźmy na wieś.
- Do Śliwów?
- Nie, do Bukłów.
- A jeżeli on tam jest?
- No to co? Wszystko mi już jedno. Gdyby ten dom odbudować... To bardzo piękny stary dom. Te wysokie pokoje... Żeby skosić wszystkie chwasty, wypłenić zielsko... Trzeba wynająć jakiegoś wieśniaka z kosą. Znowu byłby ogród. Widziałeś, jak pięknie u Śliwów? Ile kwiatów? Całe kwatery bratków i stokrotek. A przecież to nie żaden dwór...
- Widzę, że Bukły założyły ci za skórę - zauważył cierpko.
- Może i założyły. Gdybym teraz wróciła do Paryża, nie przestałabym myśleć o tym domu..
- Co w nim takiego widzisz? Przecież to rudera!
- Nie wiem. Widzę go takim, jakim był dawniej. Przypomnij sobie zdjęcia. Trzeba będzie zrobić powiększenia... Chciałabym, żeby po odbudowaniu był taki sam jak kiedyś.
- I po co ci to? Będziesz tu mieszkać?
- Będę co roku spędzać wakacje.
- Wówczas, gdy najwięcej roboty w agencji!
- Ojciec kogoś zatrudni.
- Ee, gadasz głupstwa. A potem pojedziesz jak zwykle do Włoch.

67

- To co, jedziemy?

- Jak chcesz.

Pojechali.

W Bukłach było cicho i pusto. Jak na cmentarzu. Dom zamknięty nie wpuścił ich do wnętrza. Pobocza oczyszczono, uprzątnięto śmieci. Ścięto najbardziej rozrosłe pokrzywy. Podjazd wyglądał porządnie, z daleka robił nawet wrażenie normalności. O kuchenny ganek opierała się taczka, a z niej sterczała łopata ubrudzona ziemią i grabie z resztką trawy na zębach.

- Siądźmy w cieniu - zaproponowała rozkładając koc pod wielkim dębem i zabrała się do rozpakowania koszyka z podwieczorkiem.

- Zrobił tu jednak coś niecoś - Edward wrócił z obchodu.

- Jak tu musiało być pięknie! - westchnęła.

- Ano było.

Podawała mu kanapkę.

- Tatusz opowiadał, jakie pyszne wędliny robiono w domu. Wszystko mieli własne.

- Majątek był uprzemysłowiony. Przynosił dobry dochód. Młyn, tartak, serowarnia, dwa stawy rybne.

- Babcia wspominała wspaniałe karpie.

- I pomyśleć, że jednego dnia wszystko diabli wzięli. To był prawdziwy koniec świata dla tej ziemi. Francuzi skapitulowali, Pe-tain zdradził... a zresztą może i dobrze zrobił.

- Coś ty?

- Bo oni ocaleli. Ocalili kraj. Wspaniałe zabytki.

- Oni nie mieli bolszewików, którzy nam wbili nóż w plecy. Zostaliśmy wzięci w dwa ognie. Co prawda i Francuzi zaznali wojny. Widziałeś te miasta na północy zbombardowane... tam, gdzie wylądowali alianci w czterdziestym czwartym. Były same ruiny.

- Plan Marshalla pozwolił im odbudować to wszystko w szybkim tempie. A tu co? Druga niewola... A jeszcze rodzimi barbarzyńcy zniszczyli do reszty to, co ocalało. A najgorsze, że wykreślono ziemiaństwo z listy obywateli. Tym, co zostali, kazano opuścić dom z jedną walizką. Opowiadał Śliwa! Wymieciono ich z polskiej rzeczywistości, wydarto z korzeniami, pozbawiono ziemi, ich własnej ziemi. I jak słyszę teraz, władze robią wielkie trudności z oddawaniem majątków spadkobiercom lub ich dawnym właścicielom. A nawet każą płacić ogromne sumy jakoby za „zaległe podatki”,

68

- To co, jedziemy?

- Jak chcesz.

Pojechali.

W Bukłach było cicho i pusto. Jak na cmentarzu. Dom zamknięty nie wpuścił ich do wnętrza. Pobocza oczyszczono, uprzątnięto śmieci. Ścięto najbardziej rozrosłe pokrzywy. Podjazd wyglądał porządnie, z daleka robił nawet wrażenie normalności. O kuchenny ganek opierała się taczka, a z niej sterczała łopata ubrudzona ziemią i grabie z resztką trawy na zębach.

- Siądźmy w cieniu - zaproponowała rozkładając koc pod wielkim dębem i

zabrała się do rozpakowania koszyka z podwieczorkiem.

- Zrobił tu jednak coś niecoś - Edward wrócił z obchodu.

- Jak tu musiało być pięknie! - westchnęła.

- Ano było.

Podawała mu kanapkę.

- Tatuś opowiadał, jakie pyszne wędliny robiono w domu. Wszystko mieli własne.

- Majątek był uprzemysłowiony. Przynosił dobry dochód. Młyn, tartak, serowarnia, dwa stawy rybne.

- Babcia wspominała wspaniałe karpie.

- I pomyśleć, że jednego dnia wszystko diabli wzięli. To był prawdziwy koniec świata dla tej ziemi. Francuzi skapitulowali, Pe-tain zdradził... a zresztą może i dobrze zrobił.

- Coś ty?

- Bo oni ocalili. Ocalili kraj. Wspaniałe zabytki.

- Oni nie mieli bolszewików, którzy nam wbili nóż w plecy. Zostaliśmy wzięci w dwa ognie. Co prawda i Francuzi zaznali wojny. Widziałeś te miasta na północy zbombardowane... tam, gdzie wylądowali alianci w czterdziestym czwartym. Były same ruiny.

- Plan Marshalla pozwolił im odbudować to wszystko w szybkim tempie. A tu co? Druga niewola... A jeszcze rodzimi barbarzyńcy zniszczyli do reszty to, co ocalało. A najgorsze, że wykreślono ziemiaństwo z listy obywateli. Tym, co zostali, kazano opuścić dom z jedną walizką. Opowiadał Śliwa! Wymieciono ich z polskiej rzeczywistości, wydarto z korzeniami, pozbawiono ziemi, ich własnej ziemi. I jak słyszę teraz, władze robią wielkie trudności z oddawaniem majątków spadkobiercom lub ich dawnym właścicielom. A nawet każą płacić ogromne sumy jakoby za „zaległe podatki”,

68

czy coś w tym rodzaju, a może po prostu jako wykup ziemi, ich własnej ziemi.

Ponadto, jak słyszałem, jeśli nawet i oddadzą, będzie to jedynie połowa tego, co zostało odebrane.

- Mam nadzieję, że adwokatka załatwi co trzeba w Warszawie. Ojciec odzyska rodzinną posiadłość.

- Nazywasz to posiadłością? - zatoczył ręką krąg obejmujący chaszczę i nieużytki nietknięte ręką człowieka. - Spójrz tylko, ile tu ziemi leży odłogiem. Dawny ogród zniszczony, zarosły zielskiem, po sadzie nawet nie zostało śladu, jeśli nie liczyć tych kilku zdziczałych jabłonek, które tak pięknie kwitły. A przecież było tu tego pięć hektarów, dwa sady, jeden na same jabłka, drugi na grusze i śliwy. Nie mówiąc o całych rzędach malin, porzeczek i agrestu.

- Zapomniałeś, co mówił Śliwa. Pierwszej wojennej zimy większość drzew owocowych wymarzała, tak nisko spadła temperatura.

- Pamiętam, wszystko pamiętam. Mówił też, że gdy weszli bolszewicy, każdy rwał, łamał, obrywał i niszczył. Śliwa widział to wszystko, był dzieckiem, ale wraziło mu się to w pamięć. Mówił też, że po wojnie nie było w Polsce tych wszystkich przedwojennych gatunków jabłek czy gruszek. Zniszczono całe sadownictwo,

sadzono tylko drzewa niskopienne, a chłopci hodowali najprostsze gatunki: papierówki, antonówki, klapsy. Dziś to już nie do odrobienia. Trzeba by ogromnych nakładów. I to właściwie niepotrzebne, sprowadza się owoce z całego świata.

- Ryby tu drogie, jak słyszałam. Można by oczyścić stawy i założyć nową hodowlę.

- Jedynie chyba stawy dałoby się przywrócić do dawnego stanu. Bo poza tym...

- Co? O czym myślisz?

- Śliwa mówi, że ziemia tu dość kiepska, łąki za to były pierwszorzędne.

Oplącałyby się może hodowla bydła. Rolnictwo w Polsce leży i chłopci się buntują, odwykli od pracy. Zresztą te ich gospodarstwa... Przedpotopowe! Jak wejdziemy do Unii Europejskiej, może coś się ruszy. Nie warto nam otwierać tu nowego warsztatu pracy. Za duże koszty i za wielkie ryzyko.

- A jeśli ojciec zechce?

- Nie zechce, zobaczysz. Chyba że ten... jak mu tam, zawsze zapominam to rosyjskie nazwisko.

- No właśnie. Coś z nim trzeba będzie zrobić. Choć oszust, ale wnuk „panny Katarzyny”.

69

- Niestety.

- Chwała Bogu, że to zrozumiałeś.

- Zrozumieć zrozumiałem, tylko nie wiem, czy jest tym, za kogo się podaje. I co się stało z prawdziwym Leonem Sawoniewiczem. Póki tego nie wyjaśnimy...

- A to wyjaśni pani Jaszuska. Bez niej nie damy rady. Chyba że weźmiemy innego adwokata i wszystko zaczniemy od początku.

- Do licha, trzeba jakoś babę ugłaskać.

- Poślij jej kwiaty z bilecikiem. Napisz, że ci przykro...

- Chyba tak zrobię.

Warkot silnika skierował ich uwagę w stronę drogi.

Poznali samochód doktora.

- A ten tu czego - mruknął Edward.

- Bardzo dobrze - rzuciła Jula wstając. - Chodź przywitać gościa - dodała głośniej.

Gość był nieco zdziwiony ich widokiem.

- Wyobrażamy sobie, jak tu niegdyś było pięknie - powiedziała stając na stopniach ganku.

- Nieraz się zabawiałem - odparł doktor - podobnymi marzeniami. Mamy trochę zdjęć.

- Nie pokazał pan...

- Zawładnął nimi Leo. Muszę zrobić odbitki.

- A gdzie ten... Leo? - spytał Edward.

- Przeniósł się do Białegostoku. Ma tam pracę.

- Pracę? Jaką pracę? Cóż on potrafi?

- Zapomniał pan, co widzieliśmy w tej jego sieni. To utalentowany artysta, a renowacja starych mebli to dziś niezły interes. Zatrudniono go od razu. Brak takich uzdolnionych rzemieślników.

- A mieszkanie?
- Wynajął pokój u naszych znajomych. Da sobie radę.
- O... Nie wątpię.
- A... to? - Edward wskazał drzwi.
- Właśnie przyjechałem po jego dokumenty. Zapomniał w szufladzie komódki. Zamówiłem na jutro ciężarówkę. Opróżnimy sień, wówczas oddam państwu klucz.
- Widzę, że wziął go pan pod swoje skrzydła? - uśmiechnęła się z przymusem Jula.
- Jakoś tak od początku przypadła mi rola opiekuna.
- Raczej Anioła Stróża.

70

- Nie mam aż tak wielkich ambicji.
- Więc on myśli osiąść w Białymstoku? - Edward strząsnął gąsienicę sunącą powoli po prawej nogawce spodni.
- Nie wiem, czy tu osiądzie, chwilowo nie ma innego wyjścia. Nie zna nikogo prócz nas... dostał pracę.
- Czekamy na dalsze odkrycia pani Jaszuskiej. Zależy nam przede wszystkim na ustaleniu, co się stało z prawdziwym Leonem Sa woniewiczem.
- Poprzez swoje moskiewskie kontakty pani mecenas z pewnością go odnajdzie. A co ojciec państwa?
- Ojciec marzy o odbudowaniu Bukłów - zapewniła gorąco Jula.
- Nie byłbym taki pewien - zauważył sceptycznie brat. - W każdym razie zależy mi na oficjalnym stwierdzeniu jego praw do tego majątku.
- Nie wątpię, że pani Jaszuska to załatwi. Podejmowała się o wiele trudniejszych spraw, zawsze z pomyślnym skutkiem. Państwo pozwolą - dodał sięgając do kieszeni. Słońce musnęło blaskiem nowiutki klucz. Szeroko otwarte drzwi ponownie ukazały zdumiewające wnętrze sieni. Z dolnej szuflady komódki doktor wyjął niewielki pakiecik, owinięty w plastik. - Gapa! - mruknął, zaglądając do pozostałych szuflad, przetrząsnął stolik i biurczko.
- Swoją drogą to zdumiewające! - stwierdził po raz drugi Edward, wskazując meble.
- Nieprawdaż? - zauważył doktor. - Dlatego tak szybko dostał pracę.
- No, dzięki pańskiej rekomendacji...
- Niewątpliwie jest w tym i trochę mojej zasługi. Opowiedziałem - jako wiarogodny naoczny świadek - co widziałem, a widziałem, jak pracował i z tych połamanych gratów zrobił stylowe cacka. Jutro to wszystko zabieram. Zadzwoń do hotelu.
- Nie spieszno nam.
- Ale jemu spieszno. Bardzo to wszystko przeżywa. Wstyd mu teraz. Szczególnie wobec pani Jaszuskiej.
- Ma w nim gorącego wielbiciela - powiedziała Jula.
- Co też pani?
- Sam nam mówił. Ostrzegłam nawet naszą adwokatkę i stąd jej obraza.

71

- Powiedziała jej pani?

- Naturalnie. Nie chcemy, żeby była stronnicza. Myśmy wynajęli jej usługi, a ona stanęła po stronie tego oszusta, tylko dlatego, że robił do niej słodkie oczy.
- Ależ nic podobnego!
- Co pan wie? On się nam zwierzył ze swojej „miłości”. Panią mecenas bardzo to wzruszyło. Oświadczyła, że w razie sprawy sądowej podejmie się jego obrony.
- Bardzo to ładnie z jej strony.
- Ładnie? Uważa pan, że to ładnie zdradzić interesy klientów?
- Nie widzę, w czym by pani Jaszewska zdradziła interesy państwa. - Wzruszył ramionami doktor. - Odwrotnie, zrobiła bardzo wiele, wyjaśniając różne fakty, a zrobi jeszcze więcej, jestem tego pewien. Ojciec państwa będzie zadowolony z jej usług. '
- Ojciec już jest zadowolony - mruknął Edward.

Pożegnanie było nieco chłodne.

- Wiesz co - zauważyła Jula, gdy dojeżdżali do miasta - zrozumiałam, dlaczego Śliwowie stanęli murem za tym oszustem. Gdybyśmy nie przyjechali, władze uznałyby go za prawowitego właściciela Bukłów, a on nie mógłby się obejść bez ich pomocy. Oni też wyciągnęliby z tej sytuacji wielkie korzyści.
 - Nie wyglądają na interesownych.
 - Jak to nie? Wzbogacili się dzięki komunizmowi. Jestem pewna, że z żalem wspominają PRL. Zobacz, jaki mają dom i cały ten „fol-warek”. Wykształcili syna. „Pan doktor” nigdy nie wróci do pracy na roli, chyba że jako „dziedzic”.
 - Ech, Jula, tak ich czarno malujesz...
 - Masz bardzo krótką pamięć. Przypomnij sobie, jak nas przyjęli. Wcale nie byli zachwyceni, gdy nagle pojawiły się dzieci „pana Franciszka” i okazało się, że on sam też żyje.
 - Byli zdumieni, przyznają, ale żeby ich posądzać...
 - O nic złego ich nie posądzam. Są ludźmi, takimi samymi jak wszędzie, czy to Francuzi, czy Polacy... Tu przecież chodzi o pieniądze, a ta posiadłość z biegiem lat nabierze być może dużej wartości.
 - Ta posiadłość, jak ją nazywasz, jest ruiną i w obecnym stanie nie ma żadnej wartości. Dopiero gdy się w nią włoży odpowiedni kapitał... bo i ziemia, wyjałowiona, nie przyciągnie kupca.
 - A kto ci mówi, że oni tego kapitału nie włożą? Nie podniosą Bukłów z ruiny?
- 72
- Oni? Mieliby takie pieniądze?
 - Czemu nie? Kwitł czarny rynek, spekulacja... Na handlu walutą ludzie zbijali majątek.
 - Potrafiliby? To przecież prostacy.
 - Czy myślisz, że aby handlować na czarnym rynku trzeba skończyć prawo? Głupi jesteś.
 - Ależ Śliwowie to nasi przyjaciele.
 - Dawniej, nie dziś. Słyszałeś, jak stary Śliwa wspominając wspólne zabawy chłopców, dodał: „on był panicz”, czyli nasz tatuś. Nielekko przez pół wieku podsycano tu „walkę klas”, rozpalano nienawiść chłopca do „pana” i „dziedzica”.
 - Ależ to porządni ludzie.
 - Porządni, zgadzam się, ale to w nich tkwi, to poczucie odrębności. Franek i

Janek bawili się razem, ale losy ich okazały się zupełnie różne.

- I były różne - Edward nagle zahamował przed hotelem.
- Sawoniewiczze stracili wszystko. Nawet życie. A oni poszli w górę. Dorobili się, wzniesli się na wyższy szczebel społecznej drabiny. „Pan doktor” - prychnęła pogardliwie.
- Jula, nie poznaję cię!
- To się u nich nazywało „awans społeczny”.
- Doprawdy, Jula...
- Ojciec tak się wzruszył... „Janek”! A ten „Janek” ostrzy zęby na Bukły.
- Po cóż mu Bukły? Zastanów się. Ma swój kawałek ziemi, a nawet jeśli i posiada jakieś oszczędności, to przecież nie utopi ich w tej ruinie.
- Chciałabym się dowiedzieć, jak to było, gdy na początku wojny weszli bolszewicy.
- Babci z dzieckiem udało się wyjechać.
- Wiem, uciekli na Litwę, a stamtąd przedostali się do Szwecji. To ich uratowało.
- No właśnie. A tu wszystko zostawili. Klucze od domu dali staremu Śliwie.
- Chłopom nie były potrzebne klucze. Rozbili drzwi i rozgrabili wszystko. Całe urządzenie dworu. Fortepian ocalał, zabrano go potem do tutejszego „Domu Kultury”.
- Wszystko więc wiemy. Czego ci jeszcze potrzeba?

73

- Wiemy bardzo mało. Coś niecoś w ogólnych zarysach. Śliwa był dzieckiem i nie widział wszystkiego, co się tu działo.
- Ee, taki wyrostek, ciekawy, wszędzie się wciśnie. Uważam, że on najwięcej wie o tym, co się tu działo w czasie wojny.
- Nie bardzo jednak lubi o tym mówić. Jestem pewna, że wiele z naszych rzeczy, mebli, porcelany, znalazło się w jego domu. Gdy inni grabili, dlaczego oni nie mieli pójść w ich ślady.
- Bo to byli uczciwi ludzie.
- To nie ma nic wspólnego z uczciwością. Mogli przecież wynieść wiele rzeczy właśnie przez uczciwość. Przechować je u siebie, żeby kiedyś oddać właścicielom.
- Dla nas wojna i jej skutki nie skończyły się w czterdziestym piątym roku. Nic nie wróciło do dawnego porządku. Nie było właścicieli, nie było komu oddawać tego, co być może zabrali. Ale jeśli coś zabrali, uczynili to, wierzę święcie, z najczystszych pobudek.
- Być może. Słuchaj, Edek, wstąpmy do tej kwiaciarni. Widzę tu piękne róże. Czy masz przy sobie bilety wizytowe? Napiszesz parę słów, uderzysz się w piersi i tak dalej. Pamiętasz jej adres? Poślemy tuzin róż, to powinno ją udobruchać.

V

Był chory, bardzo chory, wiedział o tym od dawna, a ta pewność nie skłaniała do radosnych myśli, nie wzbudzała chęci do życia.

A teraz ta podróż... Idiotyczny pomysł.

Nigdy by nie ruszył się z domu, gdyby nie naleganie Nadieżdy Nikołajewny. To ona go zmusiła. Pożyczyła pieniądze na bilet, odprowadziła na dworzec. I po co? Czy nie wszystko jedno, gdzie człowiek zdechnie? W Beriańsku, plugawej dziurze pod

Uralem, czy w Polskiej Ambasadzie w Moskwie? W brudnym pokoju zastawionym kulawymi sprzętami, jakie przystoją nędzarzom, czy w eleganckich salonach ambasady? Bo każda ambasada ma chyba eleganckie salony. Widział w kinie i babcia opowiadała.

Babcia...

Monotonne dudnienie kół przerywają świsty lokomotywy. Nikt tu jeszcze nie słyszał o elektrycznych pociągach, tu na krańcach świata, tysiące kilometrów oddalonych od Europy. Tej prawdziwej, o której opowiadała babcia.

Wagon trzeciej klasy kołysał się gwałtownie, rzucając upchanymi na twardych ławkach pasażerami to w jedną, to w drugą stronę.

- Daleko jeszcze do Świerdłowska? - jękliwy kobiecy głos dobiega z kąta przedziału.

- Daleko - odpowiada mężczyzna w odrapanej skórzanej kurtce, uchodzącej niegdyś za ostatni krzyk sowieckiej mody.

Człowiek ćmi bez przerwy najplugawsze papierosy, a ohydny odór machorki dławi w gardle, pozbawia nieledwie przytomności.

- Pamiętaj, Leo - szemrze gdzieś z oddali głos Nadieżdy Nikołajewny. - Nie zgub biletu i pieniędzy. I od razu jedź na lotnisko.

- Tak, na lotnisko - mruczy półsennie.

- Trzy razy podchodziłam pod twoje drzwi - skarżyła się Nadieżda Nikołajewna. - Trzy razy stukalam. A ty nic.

75

- Przepraszam, Nadieżdo Nikołajewna.

Póki żyła Jekatierina Francewna, „polskaja barynia”, jak ją tu nazywano, Nadieżda Nikołajewna często bywała u sąsiadki. Zaprzyjaźniły się już dawno temu, szczególnie zbliżyła je choroba i śmierć syna Nadieżdy, kiedy to Polka pospieszyła jej z pomocą. Czuwała przy chorym, robiła wszystko, by ulżyć jego cierpieniom. Ale na raka nie było ratunku. Wypisano go ze szpitala. „Niech zdycha w domu”, zdecydowano. Lekarz wyjaśnił: „Nie potrafimy nic więcej zrobić”, i mówiąc tak starał się nie patrzeć na zalaną łzami twarz matki „niewinnie skazanego na śmierć”. Nic więc dziwnego, że Nadieżda Nikołajewna była niespokojna i zdenerwowana. W mieszkaniu Sawoniewiczów panowała cisza, nikt się nie ruszał, a przecież wiedziała, że Leo był w domu.

- To ja - wołała - otwórz, kochany, to ja, Nadieżda Nikołajewna. Czwarty raz przychodzę...

Drzwi się uchyliły, gdy prawie już utraciła nadzieję.

- Co z tobą, moje dziecko? Chory jesteś? Jadłeś co?

O tak, był chory i nic nie jadł. Gdy wstał, by otworzyć drzwi, ból wzmógł się, rozrywał nieledwie klatkę piersiową.

Wpuścił gościa, po czym z małego pudełeczka wydobyl pastylkę. Włożył ją do ust, pod język.

- Zaraz będzie lepiej - szepnął bardziej do siebie niż do nowoprzybyłej, a ona rozejrzała się po pokoju, kiwając głową na nieład, na dawno niezamiataną podłogę, na brudne naczynia piętrzące się na stole.

Wszędzie dawał się we znaki brak gospodyni, która by w tej nędzy potrafiła

zaprowadzić jaki taki porządek, a przynajmniej utrzymać wszystko w czystości.

- Biedny ty - zaszeptala, zatrzymując się przy stole. - Biedny. Taki sam.

Leo siadł na łóżku i potarł niegolony od kilku dni policzek.

- Wasia nie wrócił?

- Nie wrócił.

- To gdzież on?

- Nie wiem. Pojechał.

- Pojechał? Dokąd pojechał?

- Nie wiem. Nie mówił.

- Toż on twój brat. I tak zostawił ciebie?

- Cóż ja...

76

- Wie przecież, że ty chory.

- Chyba wie.

- To cóż on myśli?

- Nie wiem

- Oj, ty, Leo, i tak leżysz, sam, bez jedzenia... Dlaczego nie zastukasz do mnie?

- Po co panią trudzić?

- Jakież to trud? Ty dla mnie jak swój.

- Dziękuję, bardzo pani dobra.

- Jaka dobra! My z twoją babcią byłyśmy przyjaciółki.

- Wiem, babcia bardzo panią lubiła.

- A ja... ach, jak mnie ciągle jej brak. Na każdym kroku. Tyle to już lat minęło, a mnie bez niej tak ciężko... - westchnęła

- Ciężko - przytaknął.

- Jeszcze póki żyła twoja mama...

- Tak, póki żyła mama...

W tej chwili zastukano do drzwi.

Nadieżda Nikołajewna pospieszyła otwierać.

- Telegram do was, Leonie Sawoniewicz, z Moskwy, ot tu pokwitujcie.

- Z Moskwy! - zdumiała się Nadieżda Nikołajewna. - Czytaj, Leo, czytaj!

Telegram, choć pisany cyrylicą, zredagowano wyraźnie w języku polskim. Podpisał go niejaki Waclaw Ołoński, pracownik polskiej ambasady. Pan Ołoński donosił, że rodzina w kraju poszukuje Leona Sawoniewicza. Dodawał, że na lotnisku w Świerdłowsku będzie na niego czekał bilet na samolot do Moskwy. Do Świerdłowska musi jednak dojechać koleją. Podał telefon ambasady i prosił o rychłą odpowiedź.

- Dzwon, kochany, dzwon zaraz. Pójdziemy na pocztę - przynaglala Nadieżda Nikołajewna. - To szczęście, że masz tam rodzinę i że oni cię szukają.

- Nie wiem, czy mnie szukają - burknął.

- No jakże, przecież piszą...

- Nigdzie nie pojedę - rzucił telegram na stół. - Nie mam siły, ani chęci, ani pieniędzy. A w ogóle to jak ja teraz wyglądam? Wstyd pokazać się ludziom.

- Pieniądze będą, wszystko będzie. Ogolisz się, umyjesz, włożysz czystą koszulę. Ja odprasuję ubranie. Musisz jechać.

77

- Po co?
 - Po to, żeby żyć.
 - Po co mnie żyć?
 - Nie mów tak. Żeby babcia słyszała... Ona taka była mocna. Stara i słaba... ale jaki duch...
 - Tak, wiem, babcia miała bardzo mocnego ducha, dlatego mogła to wszystko znieść. Ale ja...
 - Co ty? Ty młody... Ach, żeby babcia widziała - omiotła ręką pokój...
 - Tak, żeby widziała, że ja tu jak świnia... żeby prędzej zdechnąć.
 - Nie, Leo, nie, nie mów tak... Chodź, idziemy na pocztę, do telefonu.
- Pan Ołoński okazał się uprzejmy i energiczny. Rozmawiano po polsku.
- Pojutrze czekam na pana na moskiewskim lotnisku. Ma pan rodzinę, bliską rodzinę...
 - A mój brat...? - zaczął Leo.
 - Właśnie. Pański brat podał się za pana.
 - To co z nim będzie? Nie chciałbym, żeby...
 - Proszę być spokojny. On wszystko wyznał. Zabrał pana dokumenty, ale znajdzie pan chyba jakąś legitymację, poświadczającą pańską tożsamość?
 - Może i znajdę.
 - Resztę tu załatwimy. Ma pan pieniądze na drogę? Jeśli nie, proszę pożyczyć.
- Natychmiast odeśle.
- Tak...
 - Czy nie jest pan chory?
 - Jestem chory... Gdyby nie sąsiadka, przyjaciółka babci... Nigdy bym się nie odważył na podróż.
 - Proszę więc słuchać sąsiadki. Do zobaczenia w Moskwie.
- Leo wyszedł z kabiny slaniając się, z trudem łapał oddech.
- No i co?
 - Pojutrze - powiedział niepewnie. - Pojutrze mam być w Moskwie.
 - I będziesz - oświadczyła kategorycznie Nadieżda Nikołajewna.
- Stało się, jak powiedziała. Pojutrze, ku swemu najwyższemu zdziwieniu, znalazł się w Moskwie.
- Pan Ołoński był sympatycznym, młodym człowiekiem, zatrudnio-

- Pojutrze czekam na pana na moskiewskim lotnisku. Ma pan rodzinę, bliską rodzinę...
- A mój brat...? - zaczął Leo.
- Właśnie. Pański brat podał się za pana.
- To co z nim będzie? Nie chciałbym, żeby...
- Proszę być spokojny. On wszystko wyznał. Zabrał pana dokumenty, ale znajdzie pan chyba jakąś legitymację, poświadczającą pańską tożsamość?
- Może i znajde.
- Resztę tu załatwimy. Ma pan pieniądze na drogę? Jeśli nie, proszę pożyczyć. Natychmiast odeślę.
- Tak...
- Czy nie jest pan chory?
- Jestem chory... Gdyby nie sąsiadka, przyjaciółka babci... Nigdy bym się nie odważył na podróż.

- Proszę więc słuchać sąsiadki. Do zobaczenia w Moskwie.

Leo wyszedł z kabiny ślaniając się, z trudem łapał oddech.

- No i co?
- Pojutrze - powiedział niepewnie. - Pojutrze mam być w Moskwie.
- I będziesz - oświadczyła kategorycznie Nadieżda Nikołajewna.

Stało się, jak powiedziała. Pojutrze, ku swemu najwyższemu zdziwieniu, znalazł się w Moskwie.

Pan Ołoński był sympatycznym, młodym człowiekiem, zatrudnio-

78

nym w biurze radcy prawnego ambasady, kolegą ze studiów pani mecenas Jaszuskiej.

- To ona pchnęła mnie na właściwe tory - mówił, nalewając gościowi drugą filiżankę herbaty - ona kierowała moimi krokami, jeżeli pan mnie dobrze rozumie. Niełatwo was było odszukać w tej dziurze pod Uralem. Na szczęście przyjechały do Polski dzieci bratanka pańskiej babki, mieszkający stale w Paryżu. Zapragnęły zobaczyć, co się stało z Bukłami, rodzowym majątkiem Sawoniewiczów. To właśnie one zaangażowały do poszukiwań panią Jaszuską. Należało przeprowadzić uznanie praw Franciszka Sawoniewicza, bratanka „panny Katarzyny”, do tego majątku.
- Czy to jeszcze możliwe? - spytał nieśmiało gość.
- Jak najbardziej możliwe. Bratanek pańskiej babki, liczący w dniu wybuchu wojny dziesięć lat, był synem obywatela polskiego, a tym samym również obywatelem polskim, choć wówczas nieletnim. Ma więc pełne prawo do spadku po ojcu.
- Bardzo się cieszę.
- Sprawę skomplikowało pojawienie się pańskiego brata, który podał się za Leona Sawoniewicza. Ale i to się już wyjaśniło.
- On kochał Bukły... Godzinami mógł słuchać opowiadania babci.. Wypytywał o wszystko. I jej rysunki...
- Tak, wiemy o tym. Bukły leżą niedaleko Białegostoku, pani Jaszuska mieszka w tym mieście. Tam też zatrzymali się pańscy kuzyni: Edward i Juliana Sawoniewiczowie. Teraz chodziło tylko o odszukanie pana. Ale i to zostało dokonane

- dokończył z uśmiechem.
- Tak - zgodził się gość. - Wszystko zostało dokonane. Ale ja...
- Pan jest chyba chory, co?
- Serce... Niewiele czasu już mi zostało.
- To nigdy nie wiadomo. Doskonale mówi pan po polsku - szybko zmienił temat.
- Babcia uczyła. Recytowała wiersze. Całe poematy. Miała wspaniałą pamięć. Myślę, że i to pomogło jej przetrwać... Ta nasza wielka poezja... Zapisywałem. I też uczyłem się na pamięć. Pana to pewnie dziwi... Ale my nie mieliśmy żadnej polskiej książki, tylko babcia... I dzięki niej...
- A... pański brat?
- On biedny.
- Wasyl Korsunow. O ile pamiętam, tak się nazywa.
- Dobrze pan pamięta. Jestem o trzy lata starszy od Wasi, a te

79

pierwsze lata mego życia były chyba najszcześniejsze. Między mamą i babcią... Otoczony miłością... Jak jakaś wyspa na oceanie zła, przemocy i nędzy. Coś zupełnie nieprawdopodobnego w tym straszliwym świecie... Wśród tych ludzi tak nam obcych... I tak często dobrych.

- Rozumiem.
- Mama miała nieszczęście spodobać się temu bydlęciu, Korsunowowi. Był tam sekretarzem partii, panem życia i śmierci. Nie dawał jej spokoju, nękał bezustannie, wreszcie zagroził, że mnie odda do „domu dziecka” - tak tam nazywają sierocińce.
- A mógłby to zrobić?
- Wtedy z łatwością. Dziś jest może trochę lepiej. I proszę nie zapominać, kim były te kobiety... babcia więźniarka, skazana na łagier... Nie chroniło ich żadne prawo.
- Tak, wiem.
- Wyszła więc za niego i urodził się Wasia. Ja miałem szczęście. Zostałem z babcią. Korsunow już wówczas pił, ale jeszcze trzymał się jako tako. Potem było z nim coraz gorzej. Upijał się co wieczór, a wtedy stawał się niebezpieczny. Bił mamę i znęcał się nad nią i nad dzieckiem. Porzuciłaby go, gdyby nie Wasia.
- O tak - westchnął Ołoński. — Alkoholizm to plaga nie tylko Rosji, u nas też...
- Gdy Wasia miał cztery lata, złamał mu rączkę i naderwał ucho. W owym czasie to był mały męczennik. I rósł tak z nienawiścią w sercu. Z nienawiścią do ojca. Zdaje pan sobie sprawę, jak taka atmosfera domowa wpłynęła na jego charakter?
- Tak.
- Zazdrościł mi... byłem przecież „szczęśliwy”. A potem zaczął i mnie nienawidzić... jak ojca. Wydawało mu się, że mama i babcia mnie bardziej kochają, a przecież mama dla niego zносиła to piekło.
- Może pan odpocznie... Wypije jeszcze herbaty...
- Nie, nie, dziękuję. Chcę panu wyjaśnić sytuację, żeby pan napisał pani mecenas... nie można winić Wasi... Po takim dzieciństwie... Po śmierci Korsunowa zamieszkaliśmy wszyscy czworo razem. Ale Wasia nie był szczęśliwy, choć mógłby.
- Biedny. Czy myśli pan, że dobre warunki życia pozwolą mu pozbyć się tych uprzedzeń wobec pana?

- Może nie jest jeszcze za późno. Wasia niestety ma bardzo niekorzystny wygląd, wrodził się w ojca, ale jest w nim dużo do-
80

brego. Kochał do szaleństwa mamę i gdy miał dziesięć lat, stanął w jej obronie. Ojciec skatował go tak, że wąpiliśmy w jego życie. A potem babcia otworzyła przed nim drzwi innego świata, naszego świata. I Bukły... Żył tym... Ma wybitne poczucie piękna... aż dziw, bo przecież od urodzenia otaczała go brzydota najstraszliwsza, najbardziej odpychająca. Odziedziczył to pewnie po babci. Gdyby nie wojna zostałyby może znaną malarką... miała talent i też czuła piękno... Tak i on... I tu widzę dla niego ratunek: piękno. Przyroda, wytwory ludzkiej ręki, inny świat, inne życie.

- Ileż takich tragedii kryje ta „niehumanitarna ziemia” - wzdrygnął się Ołowski. - Zbrodnie popełnione na naszym narodzie nie zostały dotąd w pełni ujawnione. Świat o nich nie słyszał. Sprawy czekają jeszcze, by stanąć przed jakimś nowym „trybunałem norymberskim”.

- Najsprawiedliwszy będzie trybunał boski - tak zawsze mówiła babcia. - I niezawodny. Każdy z nas przed nim stanie. A ja już niedługo...

- Proszę odrzucić te czarne myśli! Zacznie pan dopiero żyć. Telefonowałem do naszego lekarza, jutro pana zbada. Z pewnością są dobre leki na pańską dolegliwość. Wiele osób żyje przecież z chorobami serca. W Beriańsku nie miał pan żadnej szansy na wyleczenie, ale w Warszawie...

Pobył w Moskwie, w mieszkaniu Ołowskiego, który udzielił Leonowi gościny, był pobytem w raju. Załatwiano różne sprawy związane z jego wyjazdem do Polski - a mimo trudności - wszystko jakoś potrafiono załatwić w rekordowym tempie.

- Wystarczy mieć odpowiednie znajomości - mówił Ołowski - a rzeczy niemożliwe z punktu widzenia biurokracji stają się dziecinnie łatwe i proste. Należy tylko wiedzieć, który klawisz nacisnąć, żeby zagrał...

Pan Ołowski okazał się skończonym wirtuozem.

- Twoi francuscy kuzyni odjechali do Paryża - oznajmił któregoś dnia wróciwszy po pracy. - Telefonowała pani Jaszuńska.

- A... Wasia?

- Wasia miał szczęście spodobać się niejakiemu Śliwom.

81

- Śliwom? Babcia opowiadała o takim pracowniku w Bukłach. Znał się na koniach.

- Ten sam - przytaknął Ołowski. - Tyle że to jego syn. Dobrze im się widać powiodło, mają ładny dom i kawałek ziemi. I syna na uniwersytecie.

- Na uniwersytecie - powtórzył Leo, a w jego głosie zabrzmiało coś jak gdyby żal czy gorycz.

- Jest pracownikiem uczelni - pospieszył z wyjaśnieniem Ołowski. - Chyba adiunktem. Ma tytuł doktorski. Studiował filologię klasyczną... Nie wiem, czy to coś ci mówi... Greka, łacina i literatura tych starożytnych narodów.

- Greka, łacina - powtórzył znowu Leo. - Starożytność... U nas w szkole tego nie uczono. Wzmiankowano tylko. Tam to nie było potrzebne, przeciwnie - mogło się stać niebezpieczne... Cała ta mitologia... Babci zawdzięczam wiadomości. Moi

koledzy w szkole nic nie słyszeli o Jowiszu czy o Pallas Atenie. A babcia przestrzegała: nie mów o tym, Leo, nie trzeba, żeby wiedzieli, że ty wipsz więcej niż oni. A przecież nasi wielcy poeci ciągle wzmiankowali... O, babcia nauczyła mnie wszystkiego chyba, co sama wiedziała. A wiedziała wiele. Była taka czytana! W Bukłach pozostało moc książek... Gromadzono je od kilku pokoleń... Było dużo powieści francuskich z ubiegłego wieku... Babcia wszystko czytała. Wówczas ludzie czytali, szczególnie na wsi... Nie było telewizji, tylko radio. I fortepian. Babcia narysowała kiedyś... Wasia dostał gdzieś kawał tektury i zrobił fortepian. Pomalował na czarno. Był to naturalnie fortepian w miniaturze, ale jakże podobny do tego z salonu w Bukłach. Mój brat miał talent do różnych robót ręcznych.

- Właśnie go teraz wykorzystuje - zauważył Ołowski. - Odnawia, reperuje stare meble w specjalnej pracowni stolarskiej w Białymstoku. Śliwowie pomogli mu znaleźć mieszkanie. Jest więc chwilowo urządzony. Pani Jaszuska nie spuszcza go z oka. Na szczęście przestał pić, bo po przyjeździe nie mógł obyć się bez wódki.
- Tak. Od śmierci mamy były z nim kłopoty. Cieszę się, że to minęło.
- Chwilowo minęło, nie wiadomo tylko na jak długo.
- Wasia jest inteligentny i może zrozumiał...
- Może.
- A co pani Jaszuska?
- Wspaniała babka. Poznaliśmy się na studiach, w Warszawie.

Jej rodzina pochodzi z Wileńszczyzny. Dziadek miał tam majątek. Ja-szuny. Szczęście, że wasze Bukły leżą w Polsce, obecnej Polsce - poprawił się - pojałtańskiej.

- Czy rząd sowiecki wypłacił jakieś odszkodowanie?
- Oni? Zabrali i koniec. Zniszczyli wszystko. Rząd polski, znaczy PRL, miał jakoby rekompensować straty, to co ludzie zostawili za Bugiem. Wieśniakom dano ponemieckie gospodarstwa na tak zwanych „ziemiach odzyskanych”. Byli tacy, co nie chcieli brać. Mówili: „To cudza własność. Tych Niemców wyrzucono z ich domów”. Wyrzucono lub sami uciekli, bojąc się bolszewików. Tak było i z dziadkiem Flory, pani Jaszuskiej. W urzędzie repatriacyjnym w Łodzi zaproponowano mu 50 hektarów na ziemiach zachodnich. Tyle wolno było posiadać prywatnym właścicielom. Musiałby jednak sam uprawiać tę ziemię, nie mógł zatrudniać żadnych parobków.
- To i tak nadzwyczajne - zauważył Leo. - W Rosji chłopci kołchozowi na własność nic nie posiadali, mogli najwyżej uprawiać na swój użytek przydomowy ogródek, bardzo zresztą niewielki. Sadzili przeważnie kartofle.
- W Polsce było nieco lepiej. Państwo Jaszuscy nie przyjęli jednak tej oferty. Flora opowiadała, jak dziadek powiedział: „Przecież tym właścicielom zabrano tę ziemię. To nic, że to byli Niemcy, a więc sprawcy całego naszego nieszczęścia. Nie chcę cudzej własności”. I chyba miał rację. Ja zrobiłbym to samo na jego miejscu.
- I nic nie otrzymał? Żadnego ekwiwalentu w naturze czy w pieniądzu?
- Żadnego.
- Tam w Rosji wszystko było bezprawiem. Tak samo i babcia. Wbrew wszelkim powojennym układom nie pozwolono jej wrócić.

- Właśnie. Jak to było z twoją babką...? Dlaczego została?
- Przecież nie z własnej woli.
- Domyślam się. W pięćdziesiątym szóstym wróciło sporo Polaków zwolnionych z łagrów. Niektórzy w tym piekle spędzili piętnaście lat. Wreszcie wrócili. Dlaczego więc „panna Katarzyna”...?
- Z powodu mamy. Gdy się urodziła, oddano ją do sierocińca. Babcia mogła wyjechać po wojnie, była taka krótka chwila odetchnienia. Gdy generał Sikorski zawarł pakt ze Stalinem. Generał Anders...
- Otóż to - przerwał Ołoński. - Anders wyprowadził z Rosji wielu

więźniów, nawet tych z Kołymy, były tam kobiety i dzieci. Skierowano ich do Teheranu i dalej aż do Południowej Afryki. Dlaczego więc babcia...?

- Mama urodziła się w roku czterdziestym drugim. Po paru miesiącach odebrano ją babci i wywieziono do takiego właśnie „domu dziecka”. Parokrotnie potem zmieniano miejsce jej pobytu, przenosząc do coraz gorszych i nędzniejszych zakładów. Babcia nie mogła wyjechać i pozostawić dziecka na zginienie. Wyobrażasz sobie jej niepokój, gdy wreszcie mogła opuścić łagier i oddać się poszukiwaniom? Jak odnaleźć taką kruszynę w morzu niedoli, w kraju przeoranym wojną, rządzonym przez okrutnego satrapę, dla którego życie ludzkie nie miało żadnej wartości?

- Tak, rozumiem.

- Mama miała siedem lat, gdy babcia wreszcie ją odnalazła. Świat powracał do nowego życia, normalnego życia. Europa podnosiła się z wojennych zniszczeń. Ludzie żyli nadzieją i radością, mimo poniesionych strat, ale tam nic się nie zmieniło. Tam było dawne piekło, nędza, strach i upodlenie. I to wszystko babcia przeżyła. A potem było już za późno.

- Dlaczego za późno? Mówiłem przecież, że w pięćdziesiątym szóstym wróciła ostatnia fala wywiezionych.

- Dobrze nie wiem. Pamiętam tylko, że babcia się naraziła. Jakiemuś partyjnemu dygnitarzowi, z którym zetknęła się w czasie tych poszukiwań. Została skazana na dziesięć lat „posielenia” na Sybirze, bez prawa opuszczania miejsca pobytu. Ale miała już ze sobą dziecko.

- Ciekaw jestem, jak rozpoznała, że to jest jej córka?

- Babcia zawsze mówiła, że to Matka Boska Ostrobramska, której opiece poleciła córeczkę po urodzeniu. Dziecko było naznaczone z natury. Urodziło się z wielką czerwoną plamą na prawej stopie, taki jakiś podskórny wylew, czy coś w tym rodzaju, czego nie dało się usunąć. Mama miała to do śmierci. Babcia więc nie mogła się pomylić. Dziecko było zastraszone, chude, wynędzniałe, ale podobne do babci. Nazywano je „Masza”. Z początku nieufne, patrzyło na matkę spode łba. Po roku było nie do poznania, jak wspominała babcia, a i mama opowiadała o tych przerażających latach pierwszego dzieciństwa. Babcia nazywała ją „Marysia” i nawet Korsunow, gdy wreszcie zgodziła się zostać jego żoną, tak ją nazywał. Myślę, że był z niej dumny i kochał ją po swojemu. Może,

84

gdyby nie wódka... No i mama nie mogła być dla niego miła... Kiedyś mi opowiedziała... Wzbudzał w niej wstręt. A musiała znosić jego bliskość... Przecież

urodził się Wasia. Biedna mama. Czasem nawet żal mi tego... Korsunowa. Mama nie przypominała żadnej z Rosjanek. Były wśród nich ładne, nawet bardzo ładne, ale czymś się różniły... od mamy i babci. Nie wiem sam, na czym to polegało. Babcia i mama były przecież biedniejsze od nich, gorzej ubrane, a jednak... Coś w spojrzeniu, w sposobie bycia... Szczególnie babcia. Gdy była już stara budziła szacunek. I sam Korsunow nigdy się nie ośmielił jej obrazić wulgarnym słowem. Chyba jej się bał, jakoś tak podświadomie... Rozumiesz choć trochę z tej mojej bezładnej gadaniny?

- Wszystko rozumiem - skinął głową Ołowski. - Rozumiem i podziwiam twoją babkę i matkę... i ciebie, Leo.

- Mnie? A cóż ja?

- Udało ci się pozostać tym, czym one chciały, żebyś był.

- To ich zasługa. One mnie tak wychowały.

- Właśnie, wychowały - powtórzył Ołowski. - A Wasia? Czy i on tak został wychowany?

- Myślę, że tak. Proszę tylko, nie zapominaj o jego pierwszych dziesięciu latach dzieciństwa. Żył w ciągłym strachu.

- A potem?

- Potem...

- Jaki był potem? Pytam, bo rozmawiałem o nim z Florą, znaczy mecenas Jaszuska. Ona wzięła go w obronę przed francuskimi kuzynami. Nazwali go oszustem, złodziejem, a nawet pomówili o zamordowanie ciebie.

- Mój Boże, ależ to niemożliwe!

- Pani J. szuska to niezły psycholog. To zresztą konieczne w jej zawodzie. Jest doskonałą adwokatką. Ona rozgryzła Wasię. Lituje się nad nim.

- Wasia pod brzydką powłoką kryje piękną duszę - powiedział poważnie Leo. - Tak twierdziły one, babcia i mama.

- Tak też sądzi pani Jaszuska. To jego zamiłowanie do pięknych rzeczy...

- Z rysunków babci znał każdy mebel w Bukłach.

- Zatrudniono go w pracowni nieledwie konserwatorskiej przy odnawianiu starych mebli. Ma talent.

- Ma talent - powtórzył Leo. - I żeby mógł się kształcić... Nie-

85

gdyby nie wódka... No i mama nie mogła być dla niego miła... Kiedyś mi opowiedziała... Wzbudzał w niej wstręt. A musiała znosić jego bliskość... Przecież urodził się Wasia. Biedna mama. Czasem nawet żal mi tego... Korsunowa. Mama nie przypominała żadnej z Rosjanek. Były wśród nich ładne, nawet bardzo ładne, ale czymś się różniły... od mamy i babci. Nie wiem sam, na czym to polegało. Babcia i mama były przecież biedniejsze od nich, gorzej ubrane, a jednak... Coś w spojrzeniu, w sposobie bycia... Szczególnie babcia. Gdy była już stara budziła szacunek. I sam Korsunow nigdy się nie ośmielił jej obrazić wulgarnym słowem. Chyba jej się bał, jakoś tak podświadomie... Rozumiesz choć trochę z tej mojej bezładnej gadaniny?

- Wszystko rozumiem - skinął głową Ołowski. - Rozumiem i podziwiam twoją babkę i matkę... i ciebie, Leo.

- Mnie? A cóż ja?

- Udało ci się pozostać tym, czym one chciały, żebyś był.

- To ich zasługa. One mnie tak wychowały.
- Właśnie, wychowały - powtórzył Ołowski. - A Wasia? Czy i on tak został wychowany?
- Myślę, że tak. Proszę tylko, nie zapominaj o jego pierwszych dziesięciu latach dzieciństwa. Żył w ciągłym strachu.
- A potem?
- Potem...
- Jaki był potem? Pytam, bo rozmawiałem o nim z Florą, znaczy mecenas Jaszuska. Ona wzięła go w obronę przed francuskimi kuzynami. Nazwali go oszustem, złodziejem, a nawet pomówili o zamordowanie ciebie.
- Mój Boże, ależ to niemożliwe!
- Pani Jaszuska to niezły psycholog. To zresztą konieczne w jej zawodzie. Jest doskonałą adwokatką. Ona rozgryzła Wasię. Lituje się nad nim.
- Wasia pod brzydką powłoką kryje piękną duszę - powiedział poważnie Leo. - Tak twierdziły one, babcia i mama.
- Tak też sądzi pani Jaszuska. To jego zamiłowanie do pięknych rzeczy...
- Z rysunków babci znał każdy mebel w Bukłach.
- Zatrudniono go w pracowni nieledwie konserwatorskiej przy odnawianiu starych mebli. Ma talent.
- Ma talent - powtórzył Leo. - I żeby mógł się kształcić... Nie-

gdyby nie wódka... No i mama nie mogła być dla niego miła... Kiedyś mi opowiedziała... Wzbudzał w niej wstręt. A musiała znosić jego bliskość... Przecież urodził się Wasia. Biedna mama. Czasem nawet żal mi tego... Korsunowa. Mama nie przypominała żadnej z Rosjanek. Były wśród nich ładne, nawet bardzo ładne, ale czymś się różniły... od mamy i babci. Nie wiem sam, na czym to polegało. Babcia i mama były przecież biedniejsze od nich, gorzej ubrane, a jednak... Coś w spojrzeniu, w sposobie bycia... Szczególnie babcia. Gdy była już stara budziła szacunek. I sam Korsunow nigdy się nie ośmielił jej obrazić wulgarnym słowem. Chyba jej się bał, jakoś tak podświadomie... Rozumiesz choć trochę z tej mojej bezładnej gadaniny?

- Wszystko rozumiem - skinął głową Ołowski. - Rozumiem i podziwiam twoją babkę i matkę... i ciebie, Leo.
- Mnie? A cóż ja?
- Udało ci się pozostać tym, czym one chciały, żebyś był.
- To ich zasługa. One mnie tak wychowały.
- Właśnie, wychowały - powtórzył Ołowski. - A Wasia? Czy i on tak został wychowany?
- Myślę, że tak. Proszę tylko, nie zapominaj o jego pierwszych dziesięciu latach dzieciństwa. Żył w ciągłym strachu.
- A potem?
- Potem...
- Jaki był potem? Pytam, bo rozmawiałem o nim z Florą, znaczy mecenas Jaszuska. Ona wzięła go w obronę przed francuskimi kuzynami. Nazwali go oszustem, złodziejem, a nawet pomówili o zamordowanie ciebie.
- Mój Boże, ależ to niemożliwe!

- Pani Jaszuńska to niezły psycholog. To zresztą konieczne w jej zawodzie. Jest doskonałą adwokatką. Ona rozgryzła Wasię. Lituje się nad nim.
- Wasia pod brzydką powłoką kryje piękną duszę - powiedział poważnie Leo. - Tak twierdziły one, babcia i mama.
- Tak też sądzi pani Jaszuńska. To jego zamiłowanie do pięknych rzeczy...
- Z rysunków babci znał każdy mebel w Bukłach.
- Zatrudniono go w pracowni nieledwie konserwatorskiej przy odnawianiu starych mebli. Ma talent.
- Ma talent - powtórzył Leo. - I żeby mógł się kształcić... Nie-

gdyby nie wódka... No i mama nie mogła być dla niego miła... Kiedyś mi opowiedziała... Wzbudzał w niej wstręt. A musiała znosić jego bliskość... Przecież urodził się Wasia. Biedna mama. Czasem nawet żal mi tego... Korsunowa. Mama nie przypominała żadnej z Rosjanek. Były wśród nich ładne, nawet bardzo ładne, ale czymś się różniły... od mamy i babci. Nie wiem sam, na czym to polegało. Babcia i mama były przecież biedniejsze od nich, gorzej ubrane, a jednak... Coś w spojrzeniu, w sposobie bycia... Szczególnie babcia. Gdy była już stara budziła szacunek. I sam Korsunow nigdy się nie ośmielił jej obrazić wulgarnym słowem. Chyba jej się bał, jakoś tak podświadomie... Rozumiesz choć trochę z tej mojej bezładnej gadaniny?

- Wszystko rozumiem - skinął głową Ołowski. - Rozumiem i podziwiam twoją babkę i matkę... i ciebie, Leo.
- Mnie? A cóż ja?
- Udało ci się pozostać tym, czym one chciały, żebyś był.
- To ich zasługa. One mnie tak wychowały.
- Właśnie, wychowały - powtórzył Ołowski. - A Wasia? Czy i on tak został wychowany?
- Myślę, że tak. Proszę tylko, nie zapominaj o jego pierwszych dziesięciu latach dzieciństwa. Żył w ciągłym strachu.
- A potem?
- Potem...
- Jaki był potem? Pytam, bo rozmawiałem o nim z Florą, znaczy mecenas Jaszuńska. Ona wzięła go w obronę przed francuskimi kuzynami. Nazwali go oszustem, złodziejem, a nawet pomówili o zamordowanie ciebie.
- Mój Boże, ależ to niemożliwe!
- Pani Jaszuńska to niezły psycholog. To zresztą konieczne w jej zawodzie. Jest doskonałą adwokatką. Ona rozgryzła Wasię. Lituje się nad nim.
- Wasia pod brzydką powłoką kryje piękną duszę - powiedział poważnie Leo. - Tak twierdziły one, babcia i mama.
- Tak też sądzi pani Jaszuńska. To jego zamiłowanie do pięknych rzeczy...
- Z rysunków babci znał każdy mebel w Bukłach.
- Zatrudniono go w pracowni nieledwie konserwatorskiej przy odnawianiu starych mebli. Ma talent.
- Ma talent - powtórzył Leo. - I żeby mógł się kształcić... Nie-

Cieężko pracować. Bo ja...

Przerwał im dzwonek telefonu.

Ołowski wyszedł i wrócił po dłuższej chwili.

- Dzwoniła Flora - powiedział siadając i zapalając papierosa. -Rozmawiała z waszym wujem, owym Franciszkiem Sawoniewiczem z Paryża.

- To bratanek babci.

- Tak.

- I kuzyn mojej mamy.

- Owszem.

- Miał dziesięć lat, gdy wybuchła wojna. Wiem to od babci. Jego ojca wywieziono i gdzieś zmarł na Sybirze.

- Podobno widziano go na Kołymie.

- Biedny.

- Tak, biedny. Cała wasza rodzina została zniszczona. Troje rodzeństwa Sawoniewiczów. Uratował się tylko ten mały chłopiec. Udało się jego matce uciec do Francji.

- Szczęśliwi.

- Rzeczywiście można ich tak nazwać. Nie zaznali powojennej biedy w Polsce oraz niebezpieczeństw związanych z życiem w naszej ojczyźnie. Więc twój wuj, ów Franciszek Sawoniewicz z Paryża, oznajmił Florze, że zaopiekuje się swymi młodymi kuzynami, czyli tobą i Wasią. Flora mówi, że z rozmowy z nim wywnioskowała, że to bardzo porządny człowiek, pełen współczucia dla innych, szczególnie dla was obu. Pytał, kiedy przyjedziesz do Polski. Prosił, by go natychmiast o tym zawiadomić.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że jest ktoś tak życzliwy, kto interesuje się naszym losem.

- Nie tylko życzliwy - zauważył z naciskiem Ołowski - ale i bliski.

Spotkali się na dworcu w Białymstoku. Wasia z miną obitego psa czekał na peronie.

- Trudno cię poznać - przywitał brata, wysiadającego z wagonu pierwszej klasy.

- Ciebie też.

- Daj walizkę.

86

- Nie jest ciężka.

-Daj!

Wyszli z dworca. Wasia od razu skierował się do zielonej Toyoty, stojącej nieco na uboczu.

- Oto Leo - powiedział tonem, który usiłował być swobodny, ale nie wyszedł. - Ten prawdziwy - dodał, spuszcżając głowę.

- Bardzo się cieszę. - Z Toyoty wychylił się młody człowiek w jasnej kurtce. - Wsiadajcie.

- To doktor Śliwa - zaprezentował kierowcę Wasia. - Był tak dobry, że przyjechał po ciebie.

- To nie żadna dobroć - wzruszył ramionami doktor, włączając stacyjkę.

Ruszyli.

- Moja gospodyni wstawiła do pokoju połowe łóżko - mówił Wasia. - I zgodziła

się, byś u niej jadał.

- Robię ci kłopot.
- Żaden kłopot - mruknął brat.
- Wszystko o panu wiemy - doktor skręcił w boczną ulicę. -Pani mecenas opowiadała.

- A ci francuscy kuzyni? — zainteresował się Leo.
- Wyjechali - burknął Wasia. - Niech ich...
- Cicho - zgromił doktor.
- Myśleli, że cię zamordowałem - rzucił Wasia ze złością - że poćwiartowany spoczywasz w jakimś kufrze, walizie, czy skrzyni. Czy nie tak było, Aldek?
- Było i minęło. Dość już o tym.
- Dla mnie nie dość.
- Zostaw to.

Po moskiewskim mieszkaniu Ołońskiego pokój brata wydał się bardziej niż skromny.

- Będiesz tu spał - Wasia położył walizkę na tapczanie. - Ho, ho - gwizdnął nagle. - Taka walizka! Nie to co moja.
- Wyekwipowano mnie. Wuj przysłał jakieś pieniądze. Nie nadawałem się do podróży do Europy. Wyglądałem okropnie. Wiesz zresztą...
- Myślisz, że ja wyglądałem lepiej? Ty jeszcze z twoją twarzą Europejczyka... Ale ja...

- Nie pleć. Wyglądasz bardzo porządnie.
- Czy... ciągle jesteś zły?

87

- Zły? Dlaczego?
- No, na mnie, za to wszystko... Zabrałem twoje dokumenty, uciekłem... Nic ci nie powiedziałem... Byłeś chory...
- Byłem.
- A... teraz... Jak się czujesz?
- Chyba lepiej. Dostałem leki. Tu wszystko jest.
- Tak. - Wasia siadł na tapczanie. - Tu wszystko jest. Szczęśliwy naród. A narzekają. Chcą pieniędzy. Wszystkiego im mało. Ze wszystkiego niezadowoleni. Zobaczysz...

- A ty... Jesteś zadowolony?
- Też pytanie! Pomieszkasz tu, to i ty będziesz zadowolony.
- Cały czas myślę o nich.

-O kim?

- O mamie i o babci. Żeby mogły z nami być... tutaj... w Polsce... w Bukłach...
- Gdyby wiedziały! - wybuchnął Wasia. - Spać nie mogę, gdy o tym myślę...
- O czym?
- No o tym, że ja... jak ja... z tobą...
- Nie myśl o tym.
- Kiedy nie mogę. - Wasia spojrział na brata. Leo był bardzo blady, a ciemne cienie pod oczami zachodziły na policzki.
- Uspokój się.
- Jesteś zmęczony...

- Trochę.
- Po obiedzie odpoczniesz... położysz się. Ja muszę do roboty. Zwolniłem się na parę godzin.
- O której kończysz?
- Dziś o siódmej. - Wasia wstał. - Słuchaj Leo...
- Słucham.
- Powiedziałem wszystko pani Jaszuskiej... Wszystko... jak na spowiedzi... Ja... Wstydę się... Doprawdy wstyd mi... ale tam w Beriańsku... coś mnie opętało... byłem chyba szalony... i nienawidziłem cię... byłem wściekły... że ty Sawoniewicz... że wyglądasz jak panicz... tak mówiła babcia... pamiętasz?
- Wasia!
- Tak, to prawda... zazdrościłem ci. Teraz wiem, że byłem podły... Wyjaśniła mi pani Jaszuska... to bardzo mądra kobieta... Myślałem, że mama... ja ją tak kochałem... Boże, jak kochałem mamę!

88

- Zły? Dlaczego?
- No, na mnie, za to wszystko... Zabrałem twoje dokumenty, uciekłem... Nic ci nie powiedziałem... Byłeś chory...
- Byłem.
- A... teraz... Jak się czujesz?
- Chyba lepiej. Dostałem leki. Tu wszystko jest.
- Tak. - Wasia siadł na tapczanie. - Tu wszystko jest. Szczęśliwy naród. A narzekają. Chcą pieniędzy. Wszystkiego im mało. Ze wszystkiego niezadowoleni. Zobaczysz...
- A ty... Jesteś zadowolony?
- Też pytanie! Pomieszkasz tu, to i ty będziesz zadowolony.
- Cały czas myślę o nich.
- O kim?
- O mamie i o babci. Żeby mogły z nami być... tutaj... w Polsce... w Bukłach...
- Gdyby wiedziały! - wybuchnął Wasia. - Spać nie mogę, gdy o tym myślę...
- O czym?
- No o tym, że ja... jak ja... z tobą...
- Nie myśl o tym.
- Kiedy nie mogę. - Wasia spojrzał na brata. Leo był bardzo blady, a ciemne cienie pod oczami zachodziły na policzki.
- Uspokój się.
- Jesteś zmęczony...
- Trochę.
- Po obiedzie odpoczniesz... położysz się. Ja muszę do roboty. Zwolniłem się na parę godzin.
- O której kończysz?
- Dziś o siódmej. - Wasia wstał. - Słuchaj Leo...
- Słucham.
- Powiedziałem wszystko pani Jaszuskiej... Wszystko... jak na spowiedzi... Ja... Wstydę się... Doprawdy wstyd mi... ale tam w Beriańsku... coś mnie opętało...

byłem chyba szalony... i nienawidziłem cię... byłem wściekły... że ty Sawoniewicz... że wyglądasz jak panicz... tak mówiła babcia... pamiętasz?

- Wasia!

- Tak, to prawda... zazdrościłem ci. Teraz wiem, że byłem podły... Wyjaśniła mi pani Jaszewska... to bardzo mądra kobieta... Myślałem, że mama... ja ją tak kochałem... Boże, jak kochałem mamę!

88

- Wiem, Wasia, wiem, i mama to wiedziała. Czy pomyślałeś kiedy, jak ona ciebie musiała kochać, żeby zostać przy Korsunowie i znosić to, co znosiła i widzieć, jak on cię dręczył?

- Tak, wiem... teraz wszystko rozumiem...

- Dla ciebie to znosiła. Gdyby odeszła, Korsunow nigdy nie oddałby jej dziecka.

- To samo mówiła pani Jaszewska.

- Mama za bardzo nas kochała. Nas obu. Mnie i ciebie. Wyszła za Korsunowa, bo groził, że zabierze jej syna i odda do „domu dziecka”, a wiesz dobrze, że mógł to zrobić, był w Beriańsku najwyższą władzą, a mamy i babci nie chroniło żadne prawo. Ja miałem wówczas trzy lata.

- Wiem, wiem wszystko! - krzyknął Wasia. - Wszystko! Byłem podły! Pani Jaszewska powiedziała, że to podłość zostawić chorego brata, ograbić go i uciec. Uciec do innego świata, do naszych Bukłów... bo Bukły są nasze. Ci z Franq'i nie mają do nich prawa!

- Nie, Wasia, nie, właśnie oni mają prawo. Wuj jest obecnym właścicielem... choć może nic nie dostanie... Teraz podobno rząd ma zwracać tylko połowę wartości zagrabionego przez komunistów majątku... Ale i to będzie dobrze. Mówił mi Ołowski, wiesz kto to taki, że wuj chciałby odbudować dom, założyć ogród, sad, no i stawy. To przynosiłoby dochód... Podobno chce się też nami zająć.

- Nie potrzebuję ich łaski, mam pracę, nie zginę i ty nie zginiesz ze mną. Ciebie będę leczyć.

- Nie mów o nich tak źle, o tych z Francji. To przecież nasza bliska rodzina. Wuj to bratanek babci, znała go dzieckiem... od urodzenia... Pomyśl... znała go i on ją znał i na pewno pamięta. Była wtedy młoda, śliczna i szczęśliwa...

- Tak, a potem, co z nią zrobiono?

- Potem miała nas. Mamę, mnie i na końcu ciebie. I wiem, jak nas kochała.

Dzięki niej przeżyliśmy... dzięki niej jesteśmy dziś w Polsce. Mówił Ołowski, że pani Jaszewska obiecała w ciągu roku wyrobić nam obywatelstwo polskie. Wyobrażasz to sobie?

- Wiem, ona wszystko potrafi. Nigdy nie wrócimy do tamtego piekła.

- W tamtym piekle żyją ludzie i nie zapominaj, jaka dobra była dla nas Nadieżda Nikołajewna. Ona mnie zmusiła do wyjazdu, wsadziła do pociągu. Byłem tak chory i bezsilny...

- A ja... ja rzuciłem ciebie i uciekłem. Okradłem cię jeszcze...

89

- Po co o tym mówisz?

- Muszę. Ciągle o tym myślę.

- Nie trzeba.

- Pani Jaszuńska...
- Co pani Jaszuńska?
- Ona pokazała mi, jaki jestem. Wiem, że mną gardzi i tylko z litości...
- O czym ty bredzisz?
- Muszę jej pokazać... Musi mnie zobaczyć takim, jakim widziały mnie one, mama i babcia.
- O czym ty mówisz?
- Inaczej oszaleję! - krzyknął Wasia i wypadł z pokoju.

VI

- Więc to Bukły, nasze Bukły - szeptał do siebie Leo, stojąc przed zrujnowanym domem, z którego dawno już uszło życie, a najcieńsza nawet smuga dymu nie chwiała się nad wygasłym od lat kominem.

Tak chyba wyglądała śmierć, śmierć domu i rodziny.

- Widzisz, co zostało - Wasia przerwał zadumę brata.
- Widzę. Ogrodu też nie ma?
- Nie ma.
- Więc nic nie zostało?
- Nic.

Zamilkli i długą chwilę patrzyli na obdarte jak gdyby ze skóry ściany, na oślepie, bo zabite deskami okna, na walący się ganek, podparty byle jak resztkami kolumny.

- Jak dobrze, że babcia tego nie widzi - jęknął Leo. - Dla niej dom pozostał nietknięty czasem, ani ręką barbarzyńcy, takim, jakim go zapamiętała.
- My też znamy go takim, jakim był. - Wasia podszedł do drzwi.
- Czy to nie cud - Leo wpatrywał się w zapadnięty dach, w odrapane ściany - czy to nie cud - powtórzył - że my, ty i ja, tu jesteśmy, że stoimy na naszej ziemi, w Bukłach?
- Cud - przyznał Wasia.
- I to twoja zasługa - podjął Leo. - Gdybyś tu nie przyjechał, nie poznalibyśmy naszych kuzynów z Paryża, a i oni też nic by o nas nie wiedzieli.
- Może tak byłoby i lepiej - burknął Wasia.
- To babcia nas tu sprowadziła. - Leo nie słyszał uwagi brata. - Zawsze mówiła, że powinniśmy „wrócić do domu”. Bo to nasz dom, ta ziemia. I ta ruina... I jeżeli „francuski wuj” ją odbuduje...
- Podobno ma taki zamiar.
- Zostaniemy tu, będziemy pracować.
- Jeżeli nam pozwoli. Nie zapominaj, że on jest prawnym właścicielem.

91

- Cóż z tego? Nie będzie przecież tu siedział, ma swój interes w tym Paryżu. Mnie może zatrudnić jako dozorcę...

- Licho go wie, co zechce zrobić.
- Nie mów tak. Wierzę, że będzie nam życzliwy.
- Młodzi mnie nienawidzą. Jestem dla nich złodziejem i oszustem, jeśli nie czymś o wiele gorszym.
- Przyznaj, że sam jesteś temu winien. Podszedłeś się pode mnie, a mnie też nienawidziłeś.

- Nienawidziłem.
- Choć nie uczyniłem ci nic złego.
- Owszem, uczyniłeś.
- Co? Mów!
- Eech...
- Mów, chcę wiedzieć.
- Po co ci to?
- Czy nie rozumiesz, nie czujesz, że nareszcie musimy wyjaśnić nasz wzajemny stosunek... Jesteśmy braćmi, ale ty...
- Tak ja, zawsze ja! Spójrz na mnie, czy pasuję do ciebie?
- Wasia.J
- Przestań! Prześladowuje mnie to obmierzłe imię.
- Tak nazywały cię one...
- Cóż z tego? Tak mnie zapisano i nie mogły mnie nazywać inaczej. Wasia Korsunow... - wstrząsnął się. - Czy nie rozumiesz, co musiałem dźwigać? Jaki ciężar? Patrzysz na mnie i udajesz, że nie rozumiesz, a przecież wiesz... Wy troje Sawoniewiczze, a ja... ja kacapski cham. A przecież też jestem Polak i katolik, jak one. Dlaczego więc?
- Uspokój się. Co ty wygadujesz. Głupi jesteś. Może mój ojciec był o wiele gorszym „kacapskim chamem” niż twój? Może był łotrem i mordercą? Mama go przecież nie знаła. Napadł na nią i zniewolił... Czymże ona była wśród tej czerni odczłowieczonych bestii, zepchniętych na dno nędzy i upodlenia, powodowanych najniższym instynktem w walce o przetrwanie? Kim była ona, „polska panienka”, podobnie jak babcia, wydana na łup nieludzkiej dziczy, pozbawiona opieki prawa? Czy ty nic nie rozumiesz? My też jesteśmy ofiarami tego systemu i gdyby nie one, byłibyśmy może gorsi i podlejsi od tych tam... Łajdaczylibyśmy się jak oni... pijani i bezmyślni... Czy zdałeś sobie kiedy sprawę z tego, co my im zawdzięczamy? Jeśli jesteśmy tym, czym jesteśmy, to ich zasługa,

92

nie nasza. A bydlę Korsunow nie był jeszcze najgorszy z nich. Ożenił się z mamą, chciał mieć do niej prawa legalnie... Myślę, że ją kochał. I gdyby mogła odpowiedzieć na jego uczucie...

- Gadasz bzdury! Bił ją, znęcał się nad nią. Wyzywał od najgorszych...
- Właśnie dlatego, że ją kochał, a ona nim wzgardziła. Wiem, nie mogło być inaczej, ale on spodziewał się... To, że ty przyszedłeś na świat, to też było coś w rodzaju gwałtu... Gdyby okazała mu wzajemność, może nie piłby...
- Śmiesz oskarżać mamę? Ona z nim przeżyła piekło!
- Wiem i wcale jej nie oskarżam. Ale i jego rozumiem. Był w rozpacz, to rozpacz popchnęła go do wódki. Wiedział, że go nie kocha, zgodziła się zostać jego żoną pod groźbą odebrania jej dziecka, czyli mnie... Ale on miał nadzieję. Spodziewał się, że potrafi uzyskać jej wzajemność. Nie rozumiał, jaka dzieliła ich przepaść i nie zdawał sobie sprawy, co reprezentował w jej oczach. Cały ten przerażający, obcy świat. Ją też powołała do życia podłość przedstawiciela owego wrogiego świata. Ale mnie ich żal. Żal mi tych niewolników, wśród których są i dobrzy ludzie, niejeden z nich okazał nam serce.

- Są podli, dali się zniewolić, tchórze...!
- Rosjanie są niestety narodem niewolników. Zawsze żyli w strachu przed batem, kiedyś carowie, potem Stalin i jego klika... Wszyscy ci komisarze, pierwsi sekretarze i aż do najniższego szczebla... Ten, co dzierżył władzę, był panem i wyzywał się, dręcząc podległych sobie. Jaka różnica między nimi a Europejczykami! Pamiętasz, co mówiła babcia? Rewolucja spodliła Francuzów, bo tak się zawsze dzieje z narodem rządzonym terrorem. Ale u nich to krótko trwało. Pięć lat. Zrzucili Robespierre'a, zrobili to bojąc się o własne głowy, ale jednak zrobili. A tu co? Siedemdziesiąt lat niewoli, straszliwego ucisku i terroru. O tym ci w Europie nie mają nawet pojęcia! A oni to znosili i hzali łapy oprawców. Ale cóż oni wiedzą? Odcięci od świata, zakneblowani, z kajdanami na rękach i nogach. Biedni!
- Co ty? Żałujesz ich?
- Żałuję.
- A ja nienawidzę. Gardzę nimi.
- Nie, Wasia, nie...
- Za to nienawidzę i gardzę, że jestem Wasia, że nazywam się Korsunow, że moja mama...
- Nasza mama. Nigdy o tym nie zapominaj.

93

- Co ty o niej wiesz? Co ty wiesz, jakie było jej życie. Mieszkałeś z babcią, ale ona i ja...
- Wiem wszystko. Nie bardzo wówczas rozumiałem, ale płakałem razem z babcią nad jej losem i nad tobą. Dopiero potem pojąłem ogrom jej cierpień i poświęcenia.
- Ty jesteś szczęściarz.
- Pewnie, że tak, ale ty taki sam szczęściarz. Obaj mieliśmy naszą mamę i babcię. Ty, jak widzę, stale o tym zapominasz. A może nie chcesz pamiętać?
- Nie chcę.
- Jednakże my bracia i chciałbym, żeby to była ostatnia rozmowa na ten temat między nami.
- Więc boisz się?
- Czego?
- Nie wiem. Może tego, że mnie skrzywdziłeś. *
- Ja? Ciebie?
- Tak.
- Znowu wracamy do początku. Powiedz wreszcie wyraźnie, czego ode mnie chcesz?
- Twojej twarzy i twego nazwiska.
- Wierz mi, gdyby to było możliwe, chętnie bym ci je odstąpił. Razem z moim sercem do niczego. Dlaczego nie poradzisz się mecenas Jaszuskiej? Nazwisko można zmienić! Co do twarzy, z tym już byłoby trudniej. Ale po co ci to?
- Nie wspominaj o tym, nigdy o tym nie wspominaj... szczególnie pani Jaszuskiej.
- Trudno cię zrozumieć...
- Gdybyś chciał...

- Chcę, jak najbardziej.
- Tu, wobec tego domu, domu naszej babci, powiedz szczerze, co o mnie myślisz?
- Gdy umarła mama i zostaliśmy sami - zaczął Leo...
- To ja zostałem sam - przerwał Wasia.
- Chciałeś być sam. Usunąłeś mnie ze swego życia. Zacząłeś pić...
- Byłem w rozpacz.
- A czy myślisz, że ja nie byłem w rozpacz? Miałem brata-wroga i też byłem sam, do tego chory i żeby nie Nadieżda Nikola-jewna, nie wiem, co by ze mną było. Ty przecież uciekłeś.
- Uciekłem, tak, musiałem uciec z tego piekła.

94

- A ja? Czy pomyślałeś o mnie?
- Ty... Zawsze byś sobie dał radę.
- Jak?
- Eech... Nie zdechłeś z głodu.
- Nie zdechłem i nie twoja w tym zasługa. Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie mecenas Jaszuska. To ona mnie odnalazła przez swego kolegę z polskiej ambasady w Moskwie. On mnie wyciągnął z Beriańska, pomógł wyrobić papiery potrzebne do paszportu. Ja też tam nie wrócę, ale dla mnie nie ma przyszłości. Za to ty...
- Co ja?
- Ty jesteś młody i względnie zdrowy, jeśli można być zdrowym po takim życiu, jak twoje. I ja chcę, żebyś został przyzwoitym człowiekiem, tak, jak to one sobie wyobrażały... I zrobię wszystko, żeby tak się stało.
- Łżesz.
- Wasia!
- Nie wierzę ci.
- Jeśli mi nie wierzysz, nic z ciebie nie będzie. Nic dobrego, a przecież ty mój brat...
- Chciałem się zmienić, chciałem cię polubić... ale nie mogę, nie mogę...
- Czemu?
- Nie wiem. Taki już jestem.
- Dobrze. Zostawmy to. Postaram się zejść ci z oczu. Pani Jaszuska mówiła, że wuj wybiera się tego lata do Polski. Jakoś się urządę, znajdę pracę, nie jestem niestety tak utalentowany jak ty. Ale do czegoś się przecież nadam. Pomówię ze Śliwą, może on coś dla mnie wymyśli.
- Nic nie wymyśli i nie będziesz z nim o tym gadał. Zostaniesz u mnie.
- Nie chciałbym ci przeszkadzać.
- Nie przeszkadzasz mi.
- Wasia...
- Czego?
- Tak mi ciężko z tą twoją niechęcią... Gdy byłem mały, cieszyłem się, że mam braciszka. Babcia cały czas martwiła się o ciebie. Za każdym widzeniem się z mamą, pytała: „Jak Wasia?” Mama chyba nie wszystko babci mówiła, nie chciała jej

martwić... Ale wówczas, gdy Korsunow tak strasznie cię skatował, pamiętam, trząsałem się cały

95

z oburzenia, chciałem biec, ratować cię, wyrwać z jego rąk. „Żabie rzmy go do siebie” - mówiłem, ale babcia kręciła głową. „Nie możemy, nie mamy prawa”. Całą noc płakałem, dostałem gorączki, nie mogłem pójść do szkoły. Boże, co to były za straszne dni... A ty mnie nienawidzisz...

- Nie gadaj o tym, chcę zapomnieć.

- Nie uciekniesz od wspomnień. Pamięć przechowuje to wszystko, o czym chcielibyśmy zapomnieć. Ale ja pragnę pamiętać... To pozwoli mi cieszyć się tym, co nastąpi. A trwać będzie krótko.

- Dlaczego krótko? Może przed tobą długie życie.

- To niemożliwe. Zapomniałeś o moim sercu. Ja wszystko odczuwam inaczej... wszystko mnie rani... boli... bardzo boli.

- Mówiłeś, że badał cię lekarz ambasady polskiej w Moskwie, że dał ci leki...

- Tak, mam leki... Chciałbym doczekać zmartwychwstania domu... i ogrodu... tylko tego... Żeby zobaczyć... tak jak było dawniej... kiedyś... przed wojną. Wuj będzie pamiętał... miał dziesięć lat, gdy opuścił Bukły. Dzieci zapamiętują wszystko lepiej niż dorośli. Różne szczegóły, na które dorośli nie zwracają uwagi, za to taki chłopiec... Wspominałeś, że pani Jaszewska uważa go za sympatycznego człowieka.

- Nie zna go, rozmawiała z nim tylko przez telefon.

- Jej to pewnie wystarczy. Wacek Ołowski uważa ją za dobrego psychologa. Nie lubisz jej?

- Ależ nie! To wspaniała kobieta.

- Bardzo chcę ją poznać.

- Ona też. Słuchaj...

- Co takiego?

-Nic.

- Chciałeś coś powiedzieć.

- Chciałem, ale już mi się odechciało.

- Coś przede mną ukrywasz.

- Ukrywam to nawet przed sobą, szczególnie przed sobą.

- O co chodzi?

- Nie chcę być śmieszny. Muszę zachować choć tę resztkę godności...

- Co to znaczy? Jaką resztkę godności?

- Boję się narazić na drwiny. Ty pierwszy kpiłbyś ze mnie, gdybyś wiedział.

96

- Nigdy z ciebie nie kpiłem, w ogóle nie ma w tobie nic śmiesznego. Jesteś postacią tragiczną. My obaj pasujemy do tragedii.

- Może.

- Z pewnością. Więc nie masz klucza do domu?

- Nie mam. Aldek oddał go tym „Francuzom”.

- Trzeba czekać na przyjazd wuja, a tak chciałbym zobaczyć...

- Opatrzyłem się i tam mieszkałem. Wstawiłem w drzwi nowy zamek.

Znalazłem u wieśniaków kilka sztuk mebli pasujących do domu. Może i pochodziły

stał. Wyremontowałem je. Widziałeś, są u mnie w pokoju.

- Widziałem. Piękne sztuki. A ty jesteś prawdziwy artysta.

- Ee... jaki tam artysta.

- Tak cię nazwał młody Śliwa. Mnie to zresztą nie dziwi, sam tak uważam.

Obeszli dom i siedli na stopniach kuchennego ganku.

- Co wieczór babcia odmawiała pacierze - zaczął nagle Leo. -Gdy byłem mały, sadzała mnie sobie na kolanach i modliła się głośno. Potem, gdy byłem starszy, siadywałem przytulony do niej i trzymałem ją za rękę. I tak było co dzień. Lubiłem te chwile. Czuję się zjednoczony z nią i tylko żałowałem, że nie ma tu przy nas mamy i ciebie. Wyobrażałem sobie niebo jako miejsce, gdzie będę siedział między wami, trzymając za rękę mego młodszego brata. -Głos Lea zcichł. Był to głos z przeszłości, dobiegał z nędznego domu w poduralskim miasteczku i przemierzając stopy i równiny Rosji docierał do nich echem jakże dawno słyszanej modlitwy.

Wasia siedział skurczony, tak nisko schyliwszy głowę, że czołem dotykał kolan.

- Najbardziej lubiłem modlitwę do Duchy Świętego - mówił Leo. - „Przybądź Duchu Święty i ześlij z niebiosów promień Twojej Światłości...” Tak się zaczynała.

Zamilkł i nastąpiła cisza. Wydawało się, że Leo na coś czeka.

- A potem były tam niezapomniane dla mnie słowa:

„Zmyj to, co nieczyste, Zroś to, co jest oschłe, Ulecz, co zranione, Ugnij, co niechętnie, Ogrzej, co jest zimne, Prostuj, co zawile

I daj wiernym Twoim, Tobie ufającym,

97

świętych siedem darów, daj cnoty zasługę, daj szczęsne konanie, daj wieczystą radość. Amen. Alleluja”.

Znowu zamilkł i znowu cisza trwała, długo, bardzo długo.

- Pamiętam, wszystko pamiętam - wyszlochał nagle Wasia. - Ja też siedziałem przytulony do babci i mama... razem z nami i ty...

- Tak, ja wówczas zawsze byłem przy tobie. Chciałem ci wynagrodzić te straszne lata. I ty garnąłeś się do mnie. Dopiero potem...

Wasia długo płakał. Jak dziecko, nie jak mężczyzna. Leżał twarzą do ziemi, a plecy dygotały mu od łkań.

Leo się nie ruszał. Może modlił się słowami, jakie mu przekazała babcia? Siedział zapatrzony w splątany gąszcz tego, co niegdyś było ogrodem.

Tak zastał ich doktor Śliwa.

- Dzwoniłem do was - usprawiedliwiał się. — PoW'iedziano mi, że nie ma was od rana. Domyśliłem się, że tu jesteście.

- Tak, tu jesteśmy - przytaknął Leo. - Gdzież indziej moglibyśmy być, jeśli nie w Bukłach.

- Racja - przyznał Śliwa. - Przyjechałem, żeby was zabrać do domu. Rodzice chcą pana poznać - zwrócił się do Leona.

- I mnie spieszno ich powitać - zapewnił Leo. - Babcia tyle opowiadała o pańskim ojcu i dziadku... Poza tym był pan tak dobry dla Wasi... Zajął się nim... Jak prawdziwy przyjaciel.

- Nie ma o czym mówić - machnął ręką doktor. - Jestem przecież jego przyjacielem. Wstawaj, Wasia. Jedziemy.

Podczas jazdy Leo nie odrywał oczu od okolicy. Chłonał wszystko i te przeredzone laski i zapuszczone łąki, i pola, gdzie ładnie wschodziło żyto. Słońce upiększało cały świat, rzucało blask na młode listowie, wysuwając jak gdyby na pierwszy plan jedynie te fragmenty pejzażu, które były godne podziwu.

- Bukły... Bukły - szeptał chwilami.

- To już nie Bukły - oznajmił w pewnej chwili doktor. - Tu się zaczyna folwark mego ojca.

- Dużo ma ziemi?

- Czterdzieści hektarów. Dokupił niedawno kawałek łąki i zagajnik, należący dawniej do Pegeeru. Teraz to wszystko leży odłogiem.

98

świętych siedem darów, daj cnoty zasługę, daj szczęsne konanie, daj wieczystą radość. Amen. Alleluja".

Znowu zamilkł i znowu cisza trwała, długo, bardzo długo.

- Pamiętam, wszystko pamiętam - wyszlochał nagle Wasia. - Ja też siedziałem przytulony do babci i mama... razem z nami i ty...

- Tak, ja wówczas zawsze byłem przy tobie. Chciałem ci wynagrodzić te straszne lata. I ty garnąłeś się do mnie. Dopiero potem...

Wasia długo płakał. Jak dziecko, nie jak mężczyzna. Leżał twarzą do ziemi, a plecy dygotały mu od łkań.

Leo się nie ruszał. Może modlił się słowami, jakie mu przekazała babcia? Siedział zapatrzony w splątany gąszcz tego, co niegdyś było ogrodem.

Tak zastał ich doktor Śliwa.

- Dzwoniłem do was - usprawiedliwiał się. - Posiedziano mi, że nie ma was od rana. Domyśliłem się, że tu jesteście.

- Tak, tu jesteśmy - przytaknął Leo. - Gdzież indziej moglibyśmy być, jeśli nie w Bukłach.

- Racja - przyznał Śliwa. - Przyjechałem, żeby was zabrać do domu. Rodzice chcą pana poznać - zwrócił się do Leona.

- I mnie spieszno ich powitać - zapewnił Leo. - Babcia tyle opowiadała o pańskim ojcu i dziadku... Poza tym był pan tak dobry dla Wasi... Zajął się nim... Jak prawdziwy przyjaciel.

- Nie ma o czym mówić - machnął ręką doktor. - Jestem przecież jego przyjacielem. Wstawaj, Wasia. Jedziemy.

Podczas jazdy Leo nie odrywał oczu od okolicy. Chłonał wszystko i te przeredzone laski i zapuszczone łąki, i pola, gdzie ładnie wschodziło żyto. Słońce upiększało cały świat, rzucało blask na młode listowie, wysuwając jak gdyby na pierwszy plan jedynie te fragmenty pejzażu, które były godne podziwu.

- Bukły... Bukły - szeptał chwilami.

- To już nie Bukły - oznajmił w pewnej chwili doktor. - Tu się zaczyna folwark mego ojca.

- Dużo ma ziemi?

- Czterdzieści hektarów. Dokupił niedawno kawałek łąki i zagajnik, należący dawniej do Pegeeru. Teraz to wszystko leży odłogiem.

98

świętych siedem darów, daj cnoty zasługę, daj szczęsne konanie, daj wieczystą radość. Amen. Alleluja".

Znowu zamilkł i znowu cisza trwała, długo, bardzo długo.

- Pamiętam, wszystko pamiętam - wyszlochał nagle Wasia. - Ja też siedziałem przytulony do babci i mama... razem z nami i ty...

- Tak, ja wówczas zawsze byłem przy tobie. Chciałem ci wynagrodzić te straszne lata. I ty garnąłeś się do mnie. Dopiero potem...

Wasia długo płakał. Jak dziecko, nie jak mężczyzna. Leżał twarzą do ziemi, a plecy dygotały mu od łkań.

Leo się nie ruszał. Może modlił się słowami, jakie mu przekazała babcia? Siedział zapatrzony w splątany gąszcz tego, co niegdyś było ogrodem.

Tak zastał ich doktor Śliwa.

- Dzwoniłem do was - usprawiedliwiał się. - Posiedziano mi, że nie ma was od rana. Domyśliłem się, że tu jesteście.

- Tak, tu jesteśmy - przytaknął Leo. - Gdzież indziej moglibyśmy być, jeśli nie w Bukłach.

- Racja - przyznał Śliwa. - Przyjechałem, żeby was zabrać do domu. Rodzice chcą pana poznać - zwrócił się do Leona.

- I mnie spieszno ich powitać - zapewnił Leo. - Babcia tyle opowiadała o pańskim ojcu i dziadku... Poza tym był pan tak dobry dla Wasi... Zajął się nim... Jak prawdziwy przyjaciel.

- Nie ma o czym mówić - machnął ręką doktor. - Jestem przecież jego przyjacielem. Wstawaj, Wasia. Jedziemy.

Podczas jazdy Leo nie odrywał oczu od okolicy. Chłonał wszystko i te przeredzone laski i zapuszczone łąki, i pola, gdzie ładnie wschodziło żyto. Słońce upiększało cały świat, rzucało blask na młode listowie, wysuwając jak gdyby na pierwszy plan jedynie te fragmenty pejzażu, które były godne podziwu.

- Bukły... Bukły - szeptał chwilami.

- To już nie Bukły - oznajmił w pewnej chwili doktor. - Tu się zaczyna folwark mego ojca.

- Dużo ma ziemi?

- Czterdzieści hektarów. Dokupił niedawno kawałek łąki i zagajnik, należący dawniej do Pegeeru. Teraz to wszystko leży odłogiem.

98

- Dlaczego?

- Są trudności z odzyskaniem ziemi. Właściciele nie żyją.

- Ale spadkobiercy...

- Tak, spadkobiercy - mruknął doktor. - Wielu mieszka za granicą, jak pański wuj, ponadto dwory są ruiną, nie każdy zechce pakować pieniądze w podniesienie ruiny.

- Ale nasz wuj zechce.

- Tak twierdzi mecenas Jaszuńska.

- Uważa pan, że ona się myli?

- Nie. Chyba na to za mądra.

- Więc... dlaczego?

- Widzi pan, ziemia tu raczej marna.
- Ale przecież Bukły...
- Tak. Bukły to był majątek uprzemysłowiony, jak większość posiadłości ziemskich. Młyn, tartak, serowarnia, wędliniarnia, pszczelarstwo, sady... gorzelnie - to wszystko kiedyś dawało dobry dochód. Ale dziś...
- Co dziś?
- Dziś to nie istnieje. Reżim komunistyczny zniszczył wszystko. Czy pan wie, że u nas nie było młynów i dla zmielenia zboża ziarno wysyłano do Czech? Tak zwana gospodarka przestała istnieć. Pegeery były interesem deficytowym. Wymagały wiele pieniędzy. Na pensje dla pracowników, na remonty, na maszyny, na hodowlę... Na wszystko. Panu zresztą nie potrzebuję tego wyjaśniać. Zna pan system.
- Znam.
- Właśnie. Rosja, taki bogaty kraj, a ludzie żyli w nędzy. W czasie głodu wymierały miliony mieszkańców, jak na przykład na Ukrainie w latach dwudziestych.
- Pamiętali o tym nawet ci spod Uralu.
- Widzi pan. A przecież Ukraina niegdyś uchodziła za spichlerz Europy, pod rządami komuny jednak zmarło tam z głodu ponad dwadzieścia milionów osób.
- Była to praktyka eksterminacyjna Stalina.
- Tak, dziś jednak jest tam podobnie. Bieda z nędzą. Przyjeżdżają tu na pracę, żeby zarobić. Ładne dziewczęta wychodzą za mąż za Polaków. To dla nich wielka szansa na dobre życie. Żyzna dawniej ziemia Ukrainy jest zniszczona i trzeba wiele dziesiątków lat, żeby uczynić ją zdatną do wydawania plonów. No, oto i jesteśmy.

99

- Ładnie tu u pana, tyle kwiatów.
- Kwiaty hoduje moja matka. Zna się na tym.
- Mój Boże! - wyszeptał Leo. - Mój Boże!

* * *

- Oto Leo, ten prawdziwy - Wasia chrząknął i poprawił krawat.
- Ten prawdziwy - powtórzyła pani mecenas, wyciągając rękę do Leona. - Witam pana w domu.
- Wreszcie mogę podziękować za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Mówił Wacek Ołoński...
- Och, Wacek...
- To pani gorący wielbiciel. Dzięki pani mądrości i talentom... Salonik nie przypominał dziś poczekalni. Był znowu przytulnym pokojem ze stylowymi meblami, pięknym pejzażem na ścianie i pękiem czerwonych tulipanów na okrągłym stoliku. Pani mecenas wyglądała niezwykle powabnie. Na jedwabnej sukni w kolorze seledynu lśnił długi sznur pereł. Wasia nie odrywał od niej oczu, ale ona zdawała się go nie zauważać, zajęta wyłącznie Leonem.
- Cieszę się, że udało się nam wydobyć pana z tego Beriańska - mówiła, uśmiechając się do gościa - a nie było to łatwe. Wacek Ołoński wiele się musiał natrudzić. Jemu więc przede wszystkim należy się pańska wdzięczność.

- To wspaniały człowiek. Zajął się mną jak brat.
- Wasia poruszył się niespokojnie.
- Nie tak, jak ja - mruknął.
 - Ty przecież udzielasz mi gościny - Leo uspakajającym gestem dotknął ramienia brata.
 - Wasia niecierpliwie czekał pańskiego przybycia - dodała ad-wokatka.
 - Wczoraj byliśmy w Bukłach - zaczął Leo. - Na razie zobaczyłem dom naszej babci. Jeżeli wuj odbuduje...
 - Ma ten zamiar. Pan Sawoniewicz wybiera się tu już niedługo. Na miejscu zadecyduje, czy podejmie się remontu.
 - Gdy zobaczy tę ruinę - wmieszał się Wasia - odechce mu się pakować w to pieniądze.

100

I

- Skąd ten pesymizm? Dotąd wierzył pan w dobre intencje wuja.
- Sam nie wiem, czy mogę wierzyć. Pochłonie to ogromne sumy. Tym bardziej że wuj nie ma zamiaru tu się osiedlić. Tak słyszałem.
- Proszę się nie obawiać. Na razie musimy przeprowadzić uznanie prawa własności wuja do majątku Bukły.
- Do byłego majątku Bukły - sprostował Leo.
- Tak. Ziemia jednak pozostała. Nie wróci w całości do właścicieli, jedynie jej część... Oby udało się dostać stawy. Te najłatwiej będzie doprowadzić do takiego stanu, by zaczęły przynosić dochód.
- Mam nadzieję, że wuj zatrudni mnie jako dozorcę - zauważył Leo. - Niestety nie jestem zdolny do ciężkiej pracy i nie mam takich talentów jak Wasia.
- Wasia już zyskał sławę w Białymstoku. Ktokolwiek ma jakiś sprzęt z dawnych czasów, pragnie by on go restaurował. Doktor Hu-lanowski nie może się pana nachwalić. Widziałam ten sekretarzyk, istne cacko. I podobno odnalazł pan tam skrytkę.
- Tak, sekretną szufladkę, o której obecni właściciele nic nie wiedzieli.
- Było w niej coś?
- Spłowiła wstążka i bukietik zasuszonych kwiatów.
- Nie wiadomo, jak długo tam leżało?
- Myślę, że bardzo długo. Doktor Hulanowski kupił ten mebelek od rzeźnika, który na blacie rąbał mięso, a rzeźnik dostał go od znajomego wieśniaka. Podobno pochodzi z jakiegoś pałacu, który już nie istnieje.
- Tak. Wiele u nas budowli już nie istnieje. Zniszczył je nie tyle czas - ten by tak szybko nie zdążył - ile ludzie. Barbarzyńskie ręce, nie dbające o piękno, pragnące jedynie niszczyć, dewastować - westchnęła. - Pan pewnie dużo tego widział w Rosji?
- Widzieliśmy tylko nędzę i brzydotę - powiedział Wasia. - Ta nędza i brzydota zakrywała nawet piękną przyrodę, jeśli gdzieś taka była. Nędza i niedola ludzi skazanych na straszliwe bytowanie nie pozwalała dojrzeć niczego innego.
- Wzruszyła mnie też bardzo ta tablica wmurowana w ścianę kościoła - zaczął Leo. - Ta pamięć o naszym dziadku, bo to był brat babci, prawda?
- Prawda - potwierdził Wasia - a także ojciec naszego francus-

- Skąd ten pesymizm? Dotąd wierzył pan w dobre intencje wuja.
- Sam nie wiem, czy mogę wierzyć. Pochłonie to ogromne sumy. Tym bardziej że wuj nie ma zamiaru tu się osiedlić. Tak słyszałem.
- Proszę się nie obawiać. Na razie musimy przeprowadzić uznanie prawa własności wuja do majątku Bukły.
- Do byłego majątku Bukły - sprostował Leo.
- Tak. Ziemia jednak pozostała. Nie wróci w całości do właścicieli, jedynie jej część... Oby udało się dostać stawy. Te najłatwiej będzie doprowadzić do takiego stanu, by zaczęły przynosić dochód.
- Mam nadzieję, że wuj zatrudni mnie jako dozorcę - zauważył Leo. - Niestety nie jestem zdolny do ciężkiej pracy i nie mam takich talentów jak Wasia.
- Wasia już zyskał sławę w Białymstoku. Ktokolwiek ma jakiś sprzęt z dawnych czasów, pragnie by on go restaurował. Doktor Hu-lanowski nie może się pana nachwalić. Widziałam ten sekretarzyk, istne cacko. I podobno odnalazł pan tam skrytkę.
- Tak, sekretną szufladkę, o której obecni właściciele nic nie wiedzieli.
- Było w niej coś?
- Spłowiła wstążka i bukietik zasuszonych kwiatów.
- Nie wiadomo, jak długo tam leżało?
- Myślę, że bardzo długo. Doktor Hulanowski kupił ten mebelek od rzeźnika, który na blacie rąbał mięso, a rzeźnik dostał go od znajomego wieśniaka. Podobno pochodzi z jakiegoś pałacu, który już nie istnieje.
- Tak. Wiele u nas budowli już nie istnieje. Zniszczył je nie tyle czas - ten by tak szybko nie zdążył - ile ludzie. Barbarzyńskie ręce, nie dbające o piękno, pragnące jedynie niszczyć, dewastować - westchnęła. - Pan pewnie dużo tego widział w Rosji?
- Widzieliśmy tylko nędzę i brzydotę - powiedział Wasia. - Ta nędza i brzydota zakrywała nawet piękną przyrodę, jeśli gdzieś taka była. Nędza i niedola ludzi skazanych na straszliwe bytowanie nie pozwalała dojrzeć niczego innego.
- Wzruszyła mnie też bardzo ta tablica wmurowana w ścianę kościoła - zaczął Leo. - Ta pamięć o naszym dziadku, bo to był brat babci, prawda?
- Prawda - potwierdził Wasia - a także ojciec naszego francuskiego wuja.

101

- Skąd ten pesymizm? Dotąd wierzył pan w dobre intencje wuja.
- Sam nie wiem, czy mogę wierzyć. Pochłonie to ogromne sumy. Tym bardziej że wuj nie ma zamiaru tu się osiedlić. Tak słyszałem.
- Proszę się nie obawiać. Na razie musimy przeprowadzić uznanie prawa własności wuja do majątku Bukły.
- Do byłego majątku Bukły - sprostował Leo.
- Tak. Ziemia jednak pozostała. Nie wróci w całości do właścicieli, jedynie jej część... Oby udało się dostać stawy. Te najłatwiej będzie doprowadzić do takiego stanu, by zaczęły przynosić dochód.
- Mam nadzieję, że wuj zatrudni mnie jako dozorcę - zauważył Leo. - Niestety nie jestem zdolny do ciężkiej pracy i nie mam takich talentów jak Wasia.
- Wasia już zyskał sławę w Białymstoku. Ktokolwiek ma jakiś sprzęt z dawnych

czasów, pragnie by on go restaurował. Doktor Hu-lanowski nie może się pana nachwalić. Widziałam ten sekretarzyk, istne cacko. I podobno odnalazł pan tam skrytkę.

- Tak, sekretną szufladkę, o której obecni właściciele nic nie wiedzieli.
- Było w niej coś?
- Spłowiła wstążka i bukietik zasuszonych kwiatów.
- Nie wiadomo, jak długo tam leżało?
- Myślę, że bardzo długo. Doktor Hulanowski kupił ten mebelek od rzeźnika, który na blacie rąbał mięso, a rzeźnik dostał go od znajomego wieśniaka. Podobno pochodzi z jakiegoś pałacu, który już nie istnieje.
- Tak. Wiele u nas budowli już nie istnieje. Zniszczył je nie tyle czas - ten by tak szybko nie zdążył - ile ludzie. Barbarzyńskie ręce, nie dbające o piękno, pragnące jedynie niszczyć, dewastować - westchnęła. - Pan pewnie dużo tego widział w Rosji?
- Widzieliśmy tylko nędzę i brzydotę - powiedział Wasia. - Ta nędza i brzydota zakrywała nawet piękną przyrodę, jeśli gdzieś taka była. Nędza i niedola ludzi skazanych na straszliwe bytowanie nie pozwalała dojrzeć niczego innego.
- Wzruszyła mnie też bardzo ta tablica wmurowana w ścianę kościoła - zaczął Leo. - Ta pamięć o naszym dziadku, bo to był brat babci, prawda?
- Prawda - potwierdził Wasia - a także ojciec naszego francuskiego wuja.

101

- Nie wiedziałem wprost, jak dziękować panu Śliwie - podjął Leo. - Nie każdy chciałby wydać tyle pieniędzy na ten cel, bo to chyba bardzo dużo kosztowało i obawiam się...
- Proszę się nie obawiać, pan Śliwa to zamożny człowiek i stać go było na ten piękny gest.
- Mam jeszcze do pani pewną prośbę - Leo wydawał się zakłopotany. - Chodzi mi o... Wasię...
- A cóż on takiego zrobił?
- Pani przecież wie... Podszywał się pode mnie. Nie chciałbym, by pani go źle sądziła...
- Wiem, co myśleć o Wasi, mam o nim swoje zdanie.
- Tak, rozumiem... ale...
- Proszę się nie martwić. Gdy w pewnym momencie kuzyni panów chcieli wytoczyć mu sprawę, byłam gotowa podjąć się jego obrony. Na szczęście do tego nie doszło.
- To też pani zasługa.
- O nie, to zasługa „paryskiego wuja”, który nawet słyszeć nie chciał o tak drastycznych krokach. Ucieszył się z odnalezienia panów. Rozmawiałam z nim kilkakrotnie przez telefon i za każdym razem zapewniał mnie, że zajmie się losem swoich „siostrzeńców”, jak ich nazywa.
- To bardzo pięknie świadczy o jego sercu. Babcia знаła go, gdy był dzieckiem, dobrym dzieckiem - tak mówiła.
- Bądźmy więc jak najlepszej myśli. A teraz przejdźmy do jadalni. Zdaje mi się, że kolacja na stole.

* * *

- Dlaczego nie śpisz?
- Nie mogę.
- Już drugą noc... Co cię dręczy?
- Coś, co będzie dręczyć do końca... aż zadręczy.
- Nie bądź głupi. - Leo zapalił lampkę przy tapczanie. - Mów, chcę wiedzieć.
- Po co ci to?
- Mów.
- Doprawdy...

102

- Mów. - Leo siadł i opuścił nogi na dywan babci.
- A dlaczego ty nie śpisz?
- Mnie czasem trudno... to serce.

Wasia wtulił twarz w poduszkę, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru otwierać duszy przed bratem.

- Czasem trzeba podzielić się z drugim człowiekiem - zaczął Leo. - Pamiętasz babcię... Mówiła, jak straszliwie ciążyła jej samotność. Znalazła się sama pośród stada wilków. I żeby to były wilki! Myślę, że wilki okazałyby jej wiele miłosierdzia. Zwierzęta czują to, co uchodzi uwadze człowieka. Potem miała mamę... i nas... I Nadieżda Nikołajewna... taka serdeczna... Pamiętasz?

- Pamiętam.
- Ten dywan - Leo przejechał bosą stopą po miękkiej puszystości buchary. - Jedyna to rzecz, która stamtąd przyjechała do Bukłów. Wiesz, od kogo to babcia dostała?

- Nie wiem.
- Od wysokiego dygnitarza. Była skazana na dziesięć lat łagru. Potem zwolnili ją i kazali zamieszkać w nędznej sybirskiej wiosce. Nie miała prawa wyjechać poza obręb kolchozu... bo tam był kolchoz... Badał ją taki jeden... nie wiem, prokurator, czy inny partyjny dygnitarz. Groziło jej więzienie, ale on ulitował się i zesłał ją do tej wsi... Wówczas to odszukała dziecko. Ten sowiet rozmawiał z nią jak z człowiekiem i sam też okazał się godnym tego miana. Współczuł jej. Przysłał jej potem ten dywan, gdy opuszczała kolchoz i kilka słów zrozumienia. Babcia nigdy go nie zapomniała. Mówiła, że często się za niego modli. Powiedział jej, że z pochodzenia był Polakiem, potomkiem zesłańca z sześćdziesiątego trzeciego roku... Biedny człowiek. Nie miał nadziei wyzwolenia i powrotu. Jak my... - zamilkł.

Wasia głębiej wtulił twarz w poduszkę.

- Czy miałeś kiedy nadzieję, że my... że wrócimy...?
- Tylko o tym marzyłem.
- A ja... już w to przestałem wierzyć. Bo to wygląda na cud.
- To jest cud. - Wasia wygrzebał się spod kołdry.
- A mnie... Zostawiłeś na zginienie.
- Była przecież Nadieżda Nikołajewna. Ona cię tak lubiła.
- Ale to stara kobieta.
- Oszalałbym, gdybym został dłużej.
- Wiem. Nie chowam do ciebie urazy. Rozumiem... Ja byłem szczęśliwy z babcią... a ty... ty do śmierci ojca przechodziłaś piekło.

Bo przecież mama... I nic nie mogłeś zrobić, żeby ją ratować... Mały chłopiec... Tak cię wówczas skatował... Teraz powinieneś mu wybaczyć.

- Nigdy.

- Ale mama wybaczyła. Pamiętasz, co mówiła przed śmiercią? Wszystko wybaczyła. I ty musisz...

- Nie chcę.

- On nie miał takiej mamy i babci, które by go tak wychowały, jak nas wychowano. On nie słyszał nic o dobroci, o miłosierdziu, o litości. Opowiedział kiedyś mamie swoje dzieciństwo. Gorsze od twego. Sierota, nie wiadomo czyj, nigdy nie znał prawdziwego domu, nawet najbiedniejszego. Nikt go nigdy nie kochał. Od maleńkości znał tylko sierociniec. „Dom dziecka”, jak to u nich nazywają. Mamie było go żal, ale nie mogła... nie mogła...

- Ale on... Żebyś słyszał, co gadał.

- Był pijany.

- Jak był trzeźwy, zachowywał się podobnie plugawie. Ja... ja... Mama zawsze mnie chroniła...

- Nikt go nie kochał. Czy pomyślałeś kiedy, jak nieszczęśliwy jest człowiek, którego nikt nie kocha?

- Żeby był inny...

- Nie wiadomo, jaki był kiedyś, dawniej? Mamę kochał. Było więc w nim coś dobrego, szlachetnego.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mama mogła pokochać podobne bydlę.

- Może i ciebie kochał. Byłeś do niego podobny...

- Zwariowałeś! Nienawidził mnie.

- Nie, nie, myślę, że było inaczej.

- A w ogóle, to jak mama mogła wyjść za takiego...

- Prześladował ją swoją miłością. A potem groził. Zapomniałeś, że groził, że mnie zabierze i odda do „domu dziecka”. Był zazdrosny, wiedział, czym byłem dla mamy. Musiała się zgodzić.

- Cholera!

- Czy zauważyłeś, jaki miał respekt przed babcią? Byłeś zresztą zbyt mały, by zrozumieć... I ja dopiero potem... Można by powiedzieć, że bał się jej...

- Może i tak.

- Biedny. W innym otoczeniu i w innych warunkach może byłby z niego całkiem przyzwoity człowiek.

Bo przecież mama... I nic nie mogłeś zrobić, żeby ją ratować... Mały chłopiec... Tak cię wówczas skatował... Teraz powinieneś mu wybaczyć.

- Nigdy.

- Ale mama wybaczyła. Pamiętasz, co mówiła przed śmiercią? Wszystko wybaczyła. I ty musisz...

- Nie chcę.

- On nie miał takiej mamy i babci, które by go tak wychowały, jak nas wychowano. On nie słyszał nic o dobroci, o miłosierdziu, o litości. Opowiedział

kiedyś mamie swoje dzieciństwo, Gorsze od twego. Sierota, nie wiadomo czyj, nigdy nie znał prawdziwego domu, nawet najbiedniejszego. Nikt go nigdy nie kochał. Od maleńkości znał tylko sierociniec. „Dom dziecka”, jak to u nich nazywają. Mamie było go żal, ale nie mogła... nie mogła...

- Ale on... Żebyś słyszał, co gadał.

- Był pijany.

- Jak był trzeźwy, zachowywał się podobnie plugawie. Ja... ja... Mama zawsze mnie chroniła...

- Nikt go nie kochał. Czy pomyślałeś kiedy, jak nieszczęśliwy jest człowiek, którego nikt nie kocha?

- Żeby był inny...

- Nie wiadomo, jaki był kiedyś, dawniej? Mamę kochał. Było więc w nim coś dobrego, szlachetnego.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mama mogła pokochać podobne bydlę.

- Może i ciebie kochał. Byłeś do niego podobny...

- Zwariowałeś! Nienawidził mnie.

- Nie, nie, myślę, że było inaczej.

- A w ogóle, to jak mama mogła wyjść za takiego...

- Prześladował ją swoją miłością. A potem groził. Zapomniałeś, że groził, że mnie zabierze i odda do „domu dziecka”. Był zazdrosny, wiedział, czym byłem dla mamy. Musiała się zgodzić.

- Cholera!

- Czy zauważyłeś, jaki miał respekt przed babcią? Byłeś zresztą zbyt mały, by zrozumieć... I ja dopiero potem... Można by powiedzieć, że bał się jej...

- Może i tak.

- Biedny. W innym otoczeniu i w innych warunkach może byłby z niego całkiem przyzwoity człowiek.

104

- Wątpię.

- Ale to twój ojciec.

- Cóż z tego?

- Nie możesz tak żyć z nienawiścią... to straszne... A jeżeli on to... czuje?

- Dobrze, niech czuje.

- Babcia mówiła, że Bóg wszystko człowiekowi wybaczy, ale człowiek jest zawzięty, okrutny i drugiemu człowiekowi nie przepuści. Tak i ty...

- To co, mam łotrowi przebaczyć, dlatego, że mnie spółdził?

- Nie, dlatego, że ten łotr był nieszczęśliwy, bo go nikt nie kochał.

- Ty znowu swoje.

- Wierzę, że kiedyś zrozumiesz i nauki babci nie pójda w las. Przecież nas uczyła. Czasem myślę, że to, co się z nią stało, było jednak dobre. Miała nas. Nie była samotna. A myśmy ją kochali. Była dla nas jak... jak... Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Zresztą wiesz, co chcę powiedzieć. Przecież i ty ją kochałeś.

- Zawsze ją kocham.

- Ta miłość... to jest w nas najlepsze... bez tego bylibyśmy jak oni... jak nieociosane kamienie... Ale ty się dręczysz. Wiem, masz czym.

- Nic nie wiesz, nie możesz wiedzieć. A w ogóle to przestań gadać.

Leo zgasił lampkę.

I znowu była cisza. Ale w tej ciszy coś się działo. Bezgłośnie rozgrywał się jakiś dramat, aktorzy, nieruchomi, nie uczynili najmniejszego gestu, a jednak niewidzialni widzowie odczuliby napięcie. Jak przed burzą.

- Nie śpisz?

-Nie.

-1 myślisz...

- ... — <

- O niej?

- O kim?

- Wiesz o kim.

- Do licha, Leo...

- Nie jesteś jej obojętny.

- Czy wróżysz z kart czy z ręki? Czy to Nadieżda Nikołajewna nauczyła cię stawiać kabałę?

- Nie kpij. Mówię poważnie.

- Nie można poważnie traktować głupiego gadania.

105

- Jak chcesz. Dobranoc.

Bezsenna noc ciągnęła się powoli do wczesnego świtu i dopiero wschodzące słońce przyniosło ulgę.

Wasia krzątał się cicho, by nie obudzić śpiącego. Pierwszy raz dobrze przyjrzał się bratu. Zaniepokoiła go bladość zapadniętych policzków, ciemne cienie pod oczami, chudość ręki, a przede wszystkim nierówny oddech unoszący przód piżamowego kaftana.

- Już wstałeś?

- Czemu nie śpisz?

- Daj ten mały flakonik. Muszę wziąć lekarstwo.

- Zaraz przyniosę wody.

- Nie trzeba. To się bierze pod język.

- Czy to... nitrogliceryna?

- Tak.

-1... boli cię?

- Trochę. Zaraz przejdzie.

- Pójdę teraz do kuchni coś zjeść - i nie wstawaj. Pani Zaniecka zrobi ci śniadanie.

Leżał więc i rozmyślał.

- Miał pan złą noc, mówił brat. - Pani Zaniecka ustawiała tacę na stoliczku. - Jak się pan czuje?

- Dobrze, zupełnie dobrze. Wszystko minęło.

- Brat pański niespokojny, bardzo się o pana martwi.

- Doprawdy niepotrzebnie. A pani robię tylko kłopot.

- Żaden kłopot.

Wypił kawę z mlekiem, zjadł dwie kanapki. I myślał o Wasi. O jego problemach. O

jego miłości. I o Bukłach.

Wasia bał się „Francuzów”.

- Czego? - uspokajał brat, gdy wczoraj o tym rozmawiali. - Ja odwrotnie, czekam z niecierpliwością przybycia wuja. To przecież bratanek naszej babci, syn jej rodzzonego brata, tego z tablicy w kościele. To męczennik, wart, by jego imię wypisano na kościelnym murze. Jego syn nie może być złym człowiekiem. Dzięki niemu mamy rodzinę, nie jesteśmy sami na świecie.

- Ta rodzina zanadto ważna, by nas uznać. Zobaczysz. Mnie potraktowali jak przybłądę, jak oszusta i złodzieja.

- Sam jesteś winien, bo oszukałeś ich. Dlaczego skłamałeś?

- Z taką gębą jak moja i do tego ruskim nazwiskiem... Wyrzuciliby mnie za drzwi, gadać by nie chcieli.

106

- Nie wiadomo. Może właśnie uznaliby w tobie kuzyna. Jesteś wnukiem naszej babci i nikt nie może temu zaprzeczyć.

- Zobaczysz ich, jacy są. Edward i Jula...

- Zobaczę. Pani Jaszewska mówiła, że Edward zostanie w Paryżu. Przyjedzie tylko wuj z Julą.

- Wolałbym wuja bez Juli.

- Dlaczego?

- Zobaczysz.

VII

- Więc tyle tylko zostało z Bukłów... Ta ruina...

- Odbudujemy - Jula przytuliła policzek do ojcowskiego ramienia.

- Mój Boże! A tak wszystko pamiętam... Jakby to było wczoraj... Tu, na gazonie, na postumencie była taka szklana kula... Wielka, złocista... Jakież blaski wydobywało z niej słońce! Trzeba było oczy mrużyć... A tu - wskazywał ręką - stała olbrzymia agawa. Na zimę zabierano ją do domu. Dwóch mężczyzn z trudem dźwigało drewnianą donicę. Na kolcach babcia nasadzała specjalne kulki. A tam rósł klon. Wdrapywałem się na niego... Ścieli... Takie wielkie stare drzewo...

Franciszek Sawoniewicz stał i patrzył. Nie spuszczał oczu z otworów okiennych, gdzie zamiast szyb były deski.

I tak patrzyli na siebie. On i dom. Zdawali się mierzyć wzrokiem nawzajem.

Mimo ruiny dom stał mocno na głęboko wkopanych fundamentach. Rozpierał się na tej ziemi, jego ziemi i wcale nie miał zamiaru ginać. Cóż z tego, że przez dziurawy dach lały się deszcze? Ściany pięły się prosto ku górze w oczekiwaniu, że nakryją je nowe gonty czy dachówki.

Dom patrzył na swego właściciela, który nareszcie wrócił. Patrzył i czekał. Cekał na decyzję.

- Nigdy nie przypuszczałem, że nasz dom tak może wyglądać... Tu, w Bukłach.

Ale czy to są Bukły? Nic w nich nie zostało z tych prawdziwych Bukłów... Nic...

Goła ziemia... Biedna ziemia... aż się prosi, żeby coś tu zrobić... coś siać... sadzić...

A potem tak jak stał, runął na tę spustoszoną ziemię, wstrząsany szlochem.

- Tatusiu! - przestraszyła się Jula.

Ale on jej nie słyszał. Niczego nie słyszał, chyba tylko te głosy z tamtych lat

dzieciństwa.

108

»2 fW

Leżał tak, przytulony twarzą do tej ziemi, swojej ziemi, która tyle lat na niego czekała. Na niego i na jego miłość. Bo przez te lata nikt jej nie kochał, ani jej ani tego domu. A przecież i dom czekał.

Franciszek Sawoniewicz z trudem oderwał się od swojej ziemi i powoli dźwignął się na nogi.

- Tatusiu, tatusiu - niepokoiła się Jula.
- Nic, dziecko, nic. Wrażenia były zbyt silne, nawet dla mnie. Bałem się tego... tego spotkania z Bukłami. Dlatego przyjechaliśmy tu sami. Nie chciałem świadków swojej słabości.
- Tak mnie przestraszyłeś...
- Już dobrze. - Uśmiechnął się. - Ale widzisz, ta tablica w kościele i ten dom...

To wszystko, co pozostało...

- A my? A ja? - Jula zajrzała ojcu w oczy.
- Wy jesteście tym, co mam najdroższego... Teraźniejszością i przyszłością... ale to jest przeszłość. A czymże jest człowiek bez przeszłości, bez wspomnień? Kiedyś to zrozumiesz.

- I teraz doskonale cię rozumiem. Przecież cię kocham. Nie wiedziałam tylko, że aż tak... tak bardzo przeżyjesz to spotkanie z Bukłami.

- Ja też nie wiedziałem. Tymczasem dość tych wzruszeń. Jedźmy do Śliwów.

Czekają nas. Dzwoniłaś, prawda?

- Tak. Czekają. Ale też czekają cię dalsze wzruszenia.
- Nie bój się, nie będę płakał.

Śliwowie od poprzedniego wieczoru żyli w gorączce.

- Helciu, co dasz na obiad?
- Kaczkę, mówiłeś, że Franek lubił...
- A na zupę?
- Cytrynową z ryżem. I upiekłam tort czekoladowy. Mówiłeś, że to były ulubione przysmaki „panicza” — dodała z przekąsem.

- Tak, tak - łagodził Śliwa. - Żeby tylko Aldek zjawił się, zanim przyjadą...

Syn był jego największą dumą. „Pan doktor”...

Franek i Janek padli sobie w objęcia i uściskali się jak bracia.

Pani Helena rozchmurzyła się, widząc serdeczność, z jaką dawny „panicz” przywitał Janka. Jak równego sobie.

I znowu byli dwaj rówieśnicy, towarzysze zabaw, których wojna rozdzieliła na wiele lat, ale którzy wreszcie się spotkali. I ten

109

dzielący ich czas i przestrzeń przestały istnieć. Znowu byli Frankiem i Jankiem, jak niegdyś.

- Cóż to za wspaniały obiad! - unosił się gość nad talentem kulinarnym pani domu. - Ta kaczką ze śliwkami... Żeby to Francuzi spróbowali!
- Kuchnia francuska słynna w świecie - zauważyła pani Helena. - Z pewnością lepiej tam przyrządzają kaczkę niż tu u nas.

- Nie wiem czy lepiej, inaczej. Ale taka po naszymu najlepsza.
- Po obiedzie Śliwa poprowadził gościa, by mu pokazać swoje gospodarstwo.
- Syn nie miał chęci do pracy na roli - mówił z niejaką goryczą. - On bardzo uczony, doktor, nie mogłem zmuszać... Poszedł drogą, którą chciał. Ale ot, tak mi smutno. Stary jestem, kto po mnie będzie tu pracował?
- O to się nie martw. W każdym razie dziś twój folwark jest w kwitnącym stanie, nie to co Bukły - dodał ciszej.
- Bukły - zaczął Śliwa.
- Bukłów już nigdy nie będzie, bo to co zostało..., Chciałbym tylko odbudować dom. No i ogród... sad... Może nawet stawy... Nie wiem, ile to wszystko wyniesie, pewnie ogromne sumy... Musiałbym zaciągnąć pożyczkę w jakimś tutejszym banku... Porozmawiam o tym z mecenas Jaszuską. Wydaje mi się bardzo kompetentna. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie z tych kilku rozmów telefonicznych. No i ci moi kuzynkowie... Wnukowie cioci Kisi. Aż się wierzyć nie chce...
- Starszy, wykapany Sawoniewicz. Podobny do was. Za to ten młodszy... syn kacapa...
- Zobaczmy. Bardzo jestem ich ciekaw. Ale muszę powoli zapoznawać się na nowo z ojczyzną... i ze wszystkimi...

Zapoznawał się też powoli. Spotykał się nie ze wszystkimi naraz.

„Kuzynków” zaprosił na wieczór do hotelowego pokoju.

Leo był ciekaw wuja, ale Wasia bał się. Bał się tego pierwszego spotkania, które miało zadecydować o ich przyszłości, o stosunku wuja do tych wydziedziczonych, rzecz można cudem wróconych do życia. Od tego pierwszego wrażenia, jakie wywrą na „francuskim wuju”, zależało wszystko.

Wasia pewien był pełnej akceptacji takiego krewniaka jak Leo. Jego wygląd świadczył jak najwyraźniej o przynależności młodego

110

fiF

człowieka do szacownej rodziny Sawoniewiczów. Ale on, Wasia... On, Korsunow, z tą brzydką gębą ruskiego muzyka... Jak wuj go przyjmie?

Przekonał się o tym od razu, od progu. Wuj, po kolei, każdego z nich brał w objęcia i ściskał jak syna.

- Biedacy... kochani... - mówił nie odrywając od nich oczu. - Więc jesteście wnukami mojej cioci Kisi... Mój Boże! Mój Boże! Kto by się spodziewał...

Wydawało się, że utracił ją na zawsze i że już nigdy... na tej ziemi... Aż oto wy, jej wnuki, stoicie tu przede mną... to jakby ona zmartwychwstała... Bo przecież wy z niej... Leo i Wasia. Drodzy, kochani. No, Juleczko, uściskaj kuzynów... Oni dla ciebie jak bracia.

Jula wyciągnęła rękę do Lea i nadstawiła policzek do pocałunku.

Tej chwili Wasia bał się chyba jeszcze bardziej, niż spotkania z wujem.

- Jak się masz? - Julia kiwnęła głową i odwróciła się do Leona.

Wasia najchętniej wyszedłby z tego pokoju, tymczasem Julia mówiła do ojca:

- Nieprawdaż, tatusiu, że Leo podobny do Edka?
- Bardzo podobny. Ma wszystkie zewnętrzne cechy Sawoniewiczów. Podobny

też do mnie, gdy byłem młody.

- Wuj i teraz jest młody - zauważył Leo.
- Co mówisz, chłopcze?
- Wuj jest młodszy od nas, nieprawdaż, Wasia?
- Prawda. Nasze lata należy liczyć podwójnie, jeśli nie potrójnie. Od początku, od urodzenia.
- Doskonale mówicie po polsku. - Franciszek Sawoniewicz odczuł gorycz tych upośledzonych, „okutych w powiciu”.
- My Polacy i katolicy - powiedział z dumą Leo. - Babcia nauczyła nas wszystkiego.
- Mówcie o niej, mówcie. Zaraz pokażę fotografie. Na szczęście moja matka wszystkie wywiozła.

Pochylili się nad zdjęciami sprzed wojny, z tego czasu, gdy babcia była młoda i śliczna. Boże, czego tam nie było, wśród tych fotografii? Bukły - całe i zdrowe, dom taki, o jakim opowiadała babcia.

Wasię dławiło w gardle. Nie mógłby teraz wymówić ani jednego słowa. Więc tak to wyglądało kiedyś, naprawdę, nie tylko w jego marzeniach czy rysunkach babci. Oto nareszcie widzi Bukły, prawdziwe, żywe, nie tę opuszczoną rudere, której nikt już nie chciał.

111

Zdjęcie z salonu. Fortepian. Wydaje się, że na lśniącym kartonie wiatr porusza białe firanki w oknach, a w lustrze, za chwilę, zamajaczy czyjaś twarz, któregoś z domowników.

Czy tutejsi mieszkańcy myśleli kiedykolwiek, że to będzie trwać tak krótko? Jedną chwilę, zaledwie tchnienie. A potem zawali się wszystko, zmiecione huraganem jakiejś kosmicznej zawieruchy. I przepadnie. Na zawsze.

A tu jadalnia. Przy długim stole siedzą domownicy, zwrócenii twarzą do aparatu. Od razu poznaje babcie, w lekkiej sukni z krótkimi rękawkami i z wisiorkiem na szyi. Babcia opowiadała, że po maturze dostała od rodziców duży topaz oprawny w złoty filigran, delikatny jak koronka. I bransoletkę. Zawsze ją nosiła. Zdarli ten klejnocik z jej ręki enkawudziści podczas aresztowania.

Babcia rysowała bransoletkę, misterne złote ogniwa, delikatne, jak przystało dla młodej dziewczyny. Nosiła też wówczas pierścionek z brylantem, zaręczynowy prezent od narzeczonego.

Wasia wpija się w twarze siedzących koło stołu. To ten brat babci Edward, z tablicy w kościele. A tu jego żona. Potem matka babci. A tu, dalej, mały Franek z potarganą czupryną, przy kredensie dwie młode pokojówki, widać usługujące do stołu, też uśmiechnięte, zwrócone do fotografa, pełne ważności pełnionych przez siebie funkcji.

Potem jeszcze jakieś osoby nieznanne, o których Wasia nic nie wiedział, ale od razu rozpoznał narzeczonego babci. Bardzo był widać zakochany, bo jego przystojna twarz wyrażała najgłębsze uwielbienie - patrzył przecież na narzeczoną.

Wasia zagarnął całe to bogactwo pamiątek, ten obraz przeszłości, bo tylko obraz pozostał. Na zawsze niezmienny. Wszystkie te osoby zawsze będą się tak uśmiechały, tak na siebie patrzyły, zawsze młode, młodością wieczności, bezpieczne

w tym wiejskim spokoju i dostatku, jak gdyby nic się nie stało, żadna wojna nie przeorała ich ziemi armatami, nie zryła jej czołgiem najeźdźcy. Znikł gdzieś Sybir i łagier, bydłęcy wagon zatłoczony ludźmi, którym powoli kazano zapominać o ich człowieczeństwie. Znikł strach, głód, nieludzkie warunki bytowania, nie życia, bo to przecież nie było życie. Życie to coś pięknego, coś unoszącego człowieka ku słońcu i gwiazdom, czego on i Leo nie zaznali. Nigdy. Dopiero teraz...

Wasia odsuwa fotografie, bo spadają na nie łzy. Drugi raz płacze. Ale musi. Coś z nim się dzieje, coś dziwnego. Oto nagle czuje, że

112

i jego miejsce jest przy tym stole otoczonym szczęśliwą rodziną. Jego rodziną, i że najbliższy jest mu teraz brat. Jego brat, bo tylko ten brat wie... tylko on przeżył to samo i rozumie...

- Leo - szepce - Leo.

I Leo słyszy, bo od dłuższej chwili nie spuszcza z niego oczu. I wie, co się z nim dzieje. Tylko on wie. Podchodzi i otacza ramieniem dygocące plecy brata.

- Wuj wybaczy - mówi cicho - ale my już pójdziemy.

Wuj kiwa głową ze zrozumieniem. Tylko Julia jeszcze nie chce pojąć.

Wizyta u pani Jaszuskiej była raczej wizytą roboczą.

Omówiono wiele ważnych spraw. A więc uznanie Franciszka Sa-woniewicza za prawnego właściciela Bukłów. Naturalnie nie całych Bukłów, nie tych paruset hektarów, ale jakiejś ich części. Ponadto omówiono warunki pożyczki, jaką

Franciszek Sawoniewicz zaciągnąłby w jednym z banków na odbudowę domu i podniesienie odzyskanej części majątku z ruiny. Równie ważną sprawą było wyrobienie obywatelstwa polskiego dwóm przybyszom z Rosji, wnukom Katarzyny Sawoniewicz, na wszystkich dokumentach deklarujących zawsze swoją polskość.

Były to sprawy trudne i skomplikowane, wymagające wielkiej znajomości nie tylko prawa, ale i ludzi.

Od razu też nawiązała się obopólna sympatia między panią mecenas a klientem, Julia tylko czuła się zawstydzona, przypomniawszy sobie, jak potraktowali adwokatkę podczas ostatniej wizyty. Ale pani Jaszuska wydawała się nie pamiętać owych nietaktownych wystąpień i dziewczyna powoli odzyskiwała swobodę.

Przez kilka następnych dni bywali w sądzie, w banku, wuj nawet jeździł do Warszawy z Julą i Leonem. Na niedzielę zaprosili ich Śliwowie na obiad, po mszy odprawionej specjalnie za zmarłych Sawoniewiczów.

Uroczystość była podniosła. Proboszcz wymienił imiona zmarłych z całej rodziny, polecając modlitwom wiernych szczególnie tych, których groby pozostały gdzieś na Sybirze, na krwawym szlaku niewolniczej drogi.

Na uroczystość zaproszono też panią mecenas - to przecież dzięki niej Leo znajdował się wśród nich i dla obu braci istniała nadzieja nowego życia.

113

- Jakie to dziwne - mówił Franciszek Sawoniewicz, gdy po obiedzie zasiedli na werandzie wychodzącej na ogród. - Tragiczne losy naszego narodu tak się układają, że po latach Polacy wracają do ojczyzny. Z Sybiru, z niewoli, z więzienia, z emigracji. Ciągną do odzyskanego domu i choć osiedli już gdzieś na dalekim, ale obcym świecie, wracają choć na krótko. Te wieczne powroty powtarzają się z jakąś

matematyczną regularnością. Tak i nasza rodzina. Rozproszona, wyniszczona... Mój ojciec zatłuczony gdzieś w jakiejś sy-birskiej kazamacie, jego brat podobnie. Tylko Bóg zna miejsce jego pochówku, jeśli o czymś takim można tu mówić. Ciocia Kisia przeżyła piekło, ale miała pociechę. I ona i jej córka mają groby na cmentarzu, jak chrześcijanie.

- Nadieżda Nikołajewna, nasza sąsiadka - przerwał Leo - obiecała dbać...

- Poślemy pieniądze - powiedział z żywością wuj - poprosimy, by opłaciła zarząd cmentarza. Wszystko załatwimy, jak potrzeba.

- To cud, że tu jesteśmy - ośmielił się zabrać głos Wasia. - Nigdy w to nie moglibyśmy uwierzyć... wówczas... .

- Tak. - Pokiwał głową wuj. - Prawdziwy cud. — A żona mego stryja Józefa i jego maleńki synek...

- Może lepiej, że zmarli na początku swojej krzyżowej drogi - zauważył Leo. - Babcia nieraz to mówiła.

- Dla nich pewnie lepiej - zgodził się wuj. - Mojej matce udało się uciec za granicę. Okazało się, że mieliśmy przyjaciół we Francji. Ojca kolega z rolniczej akademii tam się ożenił. Byli dla nas prawdziwą ostoją i pomocą. I tak się udało dzięki dobrym ludziom, bo wszędzie są dobrzy ludzie. Jak ta wasza Nadieżda Nikołajewna...

- Ona nie była jedyną osobą, jaka nam okazała serce - dodał Leo. - Pamiętasz, Wasia, Piotra Sawina? Cóż to był za niezwykły człowiek!

- Niezwykły - przytaknął Wasia. - Chyba kochał się w babci.

- Ale nigdy nie dał tego poznać. Gdyby nie on, babcia wróciłaby do łagru. Była taka sprawa... Uznano ją za „klasowego wroga”, który mimo „wychowawczej misji” obozu, pozostał nieprzejednany. Poznaliśmy go potem, pamiętasz? Byłeś co prawda mały, ale ja doskonale go pamiętam. Przyjechał do Beriańska, żeby zobaczyć się z babcią.

- Tak, ludzie są dobrzy - zauważył z namysłem wuj. - Żli są tylko ci, co się boją... co muszą się bać...

114

- Jakie to dziwne - mówił Franciszek Sawoniewicz, gdy po obiedzie zasiedli na werandzie wychodzącej na ogród. - Tragiczne losy naszego narodu tak się układają, że po latach Polacy wracają do ojczyzny. Z Sybiru, z niewoli, z więzienia, z emigracji. Ciągną do odzyskanego domu i choć osiedli już gdzieś na dalekim, ale obcym świecie, wracają choć na krótko. Te wieczne powroty powtarzają się z jakąś matematyczną regularnością. Tak i nasza rodzina. Rozproszona, wyniszczona... Mój ojciec zatłuczony gdzieś w jakiejś sy-birskiej kazamacie, jego brat podobnie. Tylko Bóg zna miejsce jego pochówku, jeśli o czymś takim można tu mówić. Ciocia Kisia przeżyła piekło, ale miała pociechę. I ona i jej córka mają groby na cmentarzu, jak chrześcijanie.

- Nadieżda Nikołajewna, nasza sąsiadka - przerwał Leo - obiecała dbać...

- Poślemy pieniądze - powiedział z żywością wuj - poprosimy, by opłaciła zarząd cmentarza. Wszystko załatwimy, jak potrzeba.

- To cud, że tu jesteśmy - ośmielił się zabrać głos Wasia. - Nigdy w to nie moglibyśmy uwierzyć... wówczas... ,

- Tak. - Pokiwał głową wuj. - Prawdziwy cud. - A żona mego stryja Józefa i jego maleńki synek...

- Może lepiej, że zmarli na początku swojej krzyżowej drogi - zauważył Leo. - Babcia nieraz to mówiła.

- Dla nich pewnie lepiej - zgodził się wuj. - Mojej matce udało się uciec za granicę. Okazało się, że mieliśmy przyjaciół we Francji. Ojca kolega z rolniczej akademii tam się ożenił. Byli dla nas prawdziwą ostoją i pomocą. I tak się udało dzięki dobrym ludziom, bo wszędzie są dobrzy ludzie. Jak ta wasza Nadieżda Nikołajewna...

- Ona nie była jedyną osobą, jaka nam okazała serce - dodał Leo. - Pamiętasz, Wasia, Piotra Sawina? Cóż to był za niezwykły człowiek!

- Niezwykły - przytaknął Wasia. - Chyba kochał się w babci.

- Ale nigdy nie dał tego poznać. Gdyby nie on, babcia wróciłaby do łagru. Była taka sprawa... Uznano ją za „klasowego wroga”, który mimo „wychowawczej misji” obozu, pozostał nieprzejednany. Poznaliśmy go potem, pamiętasz? Byłeś co prawda mały, ale ja doskonale go pamiętam. Przyjechał do Beriańska, żeby zobaczyć się z babcią.

- Tak, ludzie są dobrzy - zauważył z namysłem wuj. - Żli są tylko ci, co się boją... co muszą się bać...

114

- Tam boją się wszyscy - mruknął Wasia.

- Grunt, że wróciliśmy i wy, i my Wy na stałe, my chwilowo tylko.

- Nie wiadomo, co jeszcze będzie - zauważył Śliwa.

- Nasz grób na paryskim cmentarzu, mamy tam swoje miejsce i ja, i moja żona. Młodych nie wiadomo, gdzie wiatr poniesie. A wy -zwrócił się do „kuzynków” - tu złożycie kości, koło tych dawnych Sawoniewiczów.

- Może Korsunowa nie przyjmą do kompanii - skrzywił się Wasia.

- Korsunow to bardzo dobre rosyjskie nazwisko - wmieszała się do rozmowy pani Jaszuńska. - Szlacheckie nazwisko. Nie ma pan potrzeby wstydzić się.

- Czy to możliwe? - wyjąkał Wasia. - Przecież mój ojciec...

- Pański ojciec jest potomkiem dobrej szlacheckiej rodziny. Naturalnie schamiałym... Od rewolucji wiele się przecież wydarzyło rzeczy strasznych. Dziesiątkowano całe rodziny, spychając każde następne pokolenie w coraz większą nędzę, każąc zapomnieć o rodzinnej tradycji... o tym, co było kiedyś, dawniej...

- Przypuszczalnie było tak i z ojcem Wasi - wtrącił wuj.

- Tak, z pewnością. Może nawet słyszał pan kiedy, jak ojciec wspominał...

- Chyba gadał po pijanemu. Nie dawaliśmy temu wiary, ani mama, ani ja.

- A co gadał?

- Był wówczas zupełnie pijany - zastrzegł się Wasia. - Opowiadał coś, że w Moskwie do dziś dnia stoi pałac jego pradziadów.

- Mówił pan - wtrąciła się pani Jaszuńska - że ojciec wychowywał się w sierocińcu, że nie znał rodziców...

- Tak. Jego ojca zesłano do łagru, a z matką nic nie wie, co się stało. O ojcu dowiedział się później, z dokumentów w „domu dziecka”. Chciał znać swoje korzenie.

- Zgadza się to z tym, co powiedziałam. Rodzina zniszczona, spadała coraz niżej. Może jeszcze odzyska pan swój moskiewski pałac? - uśmiechnęła się.
- Ze zwrotem zagrabionej własności jest tam pewnie równie trudno jak u nas - pierwszy raz odezwał się doktor. - Tym bardziej że upłynęło tyle czasu, tam więcej niż u nas, bo od wybuchu rewolucji w 1917 roku. Przymuszczenie sprawa uległa „przedawnieniu”.

115

- Mówiłem już Wasi, zanim usłyszeliśmy, co powiedziała pani mecenas, że innymi oczami musi spojrzeć na ojca.
- To bardzo mądra rada - przytaknęła pani Jaszewska. - Nazwisko jego przetrwało, przechodziło z ojca na syna przez co najmniej siedemdziesiąt lat. Wasia jest ostatni.
- Jestem ostatni - zgodził się Wasia. - Ale nie cierpię mego nazwiska.
- Bardzo źle - rzuciła pani Jaszewska.
- Przecież czuję się i jestem Polakiem.
- Przez matkę, ale ojciec...
- Nie chcę go!
- Jeszcze pan zmieni zdanie.
- Nigdy.

Litowała się nad nim. Wiedział to. Nie mógł znieść jej litości, bolała go podobnie jak jawna pogarda Juli.

- Jest na Ukrainie miasto Korsuń - wniósł się doktor. - Przymuszczenie było to niegdyś gniazdo rodziny Korsunowych.
- Rzeczywiście, to ciekawe.
- W połowie siedemnastego wieku zdrajca Chmielnicki pobił tam nasze wojsko. Jest to więc i z tego powodu miejscowość historyczna. Chmielnicki, szlachcic polski, podburzył Kozaków przeciw Rzeczypospolitej, nie okazał jednak politycznej mądrości. Poddał się Moskwie i tak skończyło się „wolne państwo kozackie”, czyli Ukraina. Jakże inaczej potoczyłyby się ich losy, gdyby pozostali wierni Koronie polskiej!
- Przed wojną Ukraińcy cieszyli się w Polsce wszelkimi swobodami, podobnie jak Białorusini. W szkołach na wsi uczono dzieci w ich języku. Niestety propaganda komunistyczna robiła wszystko, by tę mniejszość skłócić z Ojczyzną, bo to Polska była ich Ojczyzną.
- Ciekawe, jak im się teraz uda - zauważył wuj. - Ukraina to wielkie państwo, trzy ostatnie wieki przeżyło jednak w rosyjskiej niewoli, a car, a potem Stalin cięższą mieli rękę niż „polscy panowie”. Oby im wreszcie nastały lepsze czasy. Tego im życzę.

- Zostajemy więc przy szlacheckim Korsunowie - zauważył Leo.
- Przypatrz mi się dobrze - zamruczał Wasia - bo chyba zapomniałeś, jak wyglądam.

- Nie jest pan przystojny - stwierdziła chłodno pani Jaszewska. - Daleko panu do szlachetnej urody brata. Ale dla mężczyzny

116

są inne kryteria oceniające jego wartość i osobowość. Czasem piękna twarz kryje brzydką duszę, słabego, bezwartościowego człowieka. Przykładem mogą być tak zwani dzisiaj „playboye”. Pod wysportowaną sylwetką i przystojną twarzą mają pustkę i nicość.

- Racja - przytaknął Śliwa - znamy takich.

- Bywa też - ciągnęła pani mecenas - że pod brzydką twarzą, a nawet nieforemną postacią znajduje się duch mocny i piękny, gotów do poświęceń i bohaterstwa. I to się właśnie liczy.

- Wiem, dlaczego pani to mówi - zaczął Wasia. - Ma pani mnie na myśli. Ale we mnie nie ma ani mocnego, ani bohaterskiego ducha. Jestem niczym. I przypuszczalnie pozostanę niczym i nie dokonam niczego godnego uwagi.

- Dość tego - przerwał Leo. - Zapominasz, co babcia zawsze mówiła.

- Co mówiła? - zainteresował się wuj.

- Mówiła, że Wasia ma piękną duszę, Wasia kocha piękno we wszelkiej postaci, rozumie je i tej miłości do piękna potrafi nadać kształt widoczny dla innych. I właśnie to robisz - zwrócił się do brata. - A w ogóle przestań zajmować się swoim wyglądem, jesteś bezdennie próżny.

- Mężczyzna powinien patrzeć w lustro tylko przy goleniu - zaopiniował Śliwa. - Ładny czy brzydki, to nie ma znaczenia. Musi być pracowity i nie myśleć o głupstwach.

- Zapominasz, tato, o kobietach - uśmiechnął się doktor. - Kobiety przyciąga raczej przystojny mężczyzna.

- „Każda poczwara znajdzie sobie para”, tak niegdyś mówiono.

- A ja pamiętam, gdy jeszcze byłem chłopcem, taką peerelowską reklamę Warszawskich Zakładów Odzieżowych. Pełno tego było w gazetach. Firma nazywała się „Cora”.

- Jaka to reklama? - zainteresowała się Jula.

- „Każda potwora znajdzie amatora,

Gdy ją ubierze WZO Cora”.

- Nie traćmy więc, Wasia, nadziei - doktor wstał i zaczął napełniać szklanki przygotowanym winem.

- Tak, Juleczko - mówił Franciszek Sawoniewicz, gdy córka wstąpiła do jego pokoju powiedzieć mu dobranoc. - Wieczne polskie powroty. Ilu się jednak wynarodowiło? Ilu wstydzi się swojej

117

narodowości, swojej wiary, wśród zarozumiałych Anglików, którzy nic o nas nie wiedzą, a jeśli chodzi o wiarę, to jest im ona obojętna i powoli popadają w neopoganizm.

- Francuzi też nie lepsi - mruknęła.

- Tak. Oni wszyscy gardzą nami z powodu naszej biedy. Te wszystkie wypowiedzi owych panów z Brukseli z Unii Europejskiej. Czy zastanowili się choć na chwilę, dlaczego my tacy biedni, zacofani? Czyja to wina? Przecież nie nasza. Roosevelt w Jałcie sprzedał nas Stalinowi. Byliśmy jak ten baran prowadzony do rzeźni. Związany, bez prawa głosu. Pamiętaj jednak, co generał de Gaulle napisał w swoich pamiętnikach na temat Jałty. „Jestem szczęśliwy, że Franq'a nie przyłożyła

ręki do czwartego rozbioru Polski". Tak napisał.

- Jak jednak Francuzi potraktowali de Gaulle'a?

- Nikczemnie. To prawda. Każdy jednak następny rząd prowadzi politykę zagraniczną według wytkniętych przez de Gaulle'a zadań i celów. On do dziś dnia nimi kieruje, choć może naród nie zdaje sobie z tego sprawy. A my jak żurawie, jak bociany, jak dzikie gęsi... Pamiętam z dzieciństwa ich przyloty i odloty. I teraz my... tu... Wieczni tułacze.

- Nie tułacze, tatusiu, zapominasz o naszym wygodnym domu, o pięknym Paryżu, gdzie każdy chyba czuje się u siebie.

- Jeżeli zna język. Teraz ta moda angielszczyzny, właściwie amerykańskiego dialektu...

- Język francuski jest jednak znany w świecie.

- Szczęście, że my zachowaliśmy nasz język.

- Dzięki babci.

- Tak, moja matka mówiła piękną polszczyzną. Jak zresztą i ciocia Kisia. Ci chłopcy, czy zauważyłaś, jak ładnie się wysławiają. Szczególnie Leo. Ale i Wasia...

- Ten Moskal do niedawna jeszcze robił straszne błędy. Poprawialiśmy go z Edkiem.

- Dziś mówi zupełnie poprawnie. Dlaczego tak go nie lubisz? Czy tylko z powodu jego rusycyzmów?

- W ogóle to nieciekawy typ. Kłamca i oszust. Obawiam się, że wyjdą jeszcze na wierzch inne jego sprawy. Może nawet jest poszukiwany przez rosyjską policję. Nic nie wiadomo.

- Nie trzeba, Juleczko, tak się do niego uprzedzać. Biedny chłopiec. Przypomnij, jakie miał życie. I w jakich warunkach. Źle po-

118

im ~

stąpił, to prawda, ale żałuje tego, okazał skrucę. Ponadto jest ambitny. Nie przyjął ode mnie ani grosza. „Pracuję i zarabiam” - tak powiedział - „wystarczy dla mnie i dla brata.” Byłem któregoś dnia w tym stolarskim warsztacie. Właściciel nie może się go nachwalić. „Złote ręce” - powiedział - „a jaki gust, jakie wyczucie stylu, epoki...” Rzeczywiście ciężko pracuje. Ma wyniszczony organizm. Doktor Śliwa zaprowadził go do lekarza, zrobiono badania. Ma leki na wzmocnienie, witaminy... no i nareszcie odżywia się przyzwoicie.

- Lubisz go...

- Lubię - przyznał ojciec. - Jest w nim coś... jakaś siła... Czy zauważyłaś taki gest... Obiema rękami przygląda włosy. Od razu mi się to rzuciło w oczy. Podobnie robiła ciocia Kisia. To był taki jej charakterystyczny ruch... On tak samo... Coś jednak w tym jest... Jakieś rodzinne powiązanie...

- Jest antypatyczny - stwierdziła Julia. - Za to Leo... bardzo go lubię. Przypomina Edzika. Mogliby uchodzić za braci.

- Wszyscy mężczyźni z naszej rodziny mają taki właśnie typ... Kobiety są zupełnie inne.

- Sądząc ze zdjęcia, córka twojej cioci Kisi bardzo do niej podobna.

- Tak. Bardzo podobna. Równie ładna. Biedna Kisia. Taka była szczęśliwa...

zakochana... Właśnie się zaręczyła tego ostatniego lata...

- A ten narzeczony?

- Może coś Śliwa będzie o nim wiedział. Spytam przy następnym spotkaniu.

Pani Jaszuńska była dobrej myśli, a przy jej znajomościach -miała kolegów w Ministerstwie - można się było spodziewać szybkiego załatwienia sprawy.

Franciszek Sawoniewicz przywiózł wszelkie potrzebne dokumenty stwierdzające prawo własności do majątku Bukły, który pozostawał w rodzinie od przeszło dwustu lat. Przywiózł nawet plany domu i całego obszaru, a pani mecenas skontaktowała go z architektem, który ewentualnie podjąłby się odbudowy i remontu.

Przedtem jednak zwiedzili dom.

Wasia służył za przewodnika, ostrzegając przed dziurą w podłodze czy zwisającym sufitem

- Tu była kancelaria ojca, tu jadalnia, tu gabinecik - wskazywał

119

M___

prawowity dziedzic. - A tu salon - gdy weszli do dużego narożnego pokoju.

- Piękne to musiały być wnętrza - pokiwała głową Jula. - Te pokoje tak proporcjonalne, te wysokie sufity...

- Ładnie tu było - przytaknął ojciec. - Teraz dopiero w pełni to oceniam i zdaję sobie sprawę, co straciłem. Bo przedtem... To wszystko wydawało się takie normalne, zwykłe... Prawie nie zauważałem piękna tych wnętrz... Owszem, dobrze się tu czułem, bo to był dom, mój dom i myślałem, że tak będzie zawsze... Boże, gdybym wiedział, że tak krótko... tak krótko będę się tym cieszył... Jakże wówczas inaczej odnosiłbym się do wszystkiego... do każdego mebla... do drzew w ogrodzie...

Gdybym wiedział, że to przypadnie... zmiecione z powierzchni ziemi... Póki byłem chłopcem, myślałem, że gdy wrócę, zastanę wszystko tak, jak zostawiłem, że dom będzie na mnie czekał... niezmieniony... że w oknach będą świeżo uprane firanki, a posadzki wypastowane i wyfroterowane lśnić będą jak lustra. Tak zawsze było na każde święta.

- Wiem, gdzie stały meble - oświadczył Wasia - babcia rysowała... Pamiętała o najdrobniejszych szczegółach. ,

- Ja też pamiętam. Dziesięć lat to dużo.

Wrócili do sieni.

- Tu wisiała dubeltówka ojca - wskazał ścianę. - A tu stojak na laski i parasole. Nad drzwiami wejściowymi był taki sam napis, jak na Ostrej Bramie. Po łacinie.

- Widziałem - mruknął Wasia. - Pożyczyłem drabinę, bo bielilem ściany. Nie tknąłem napisu. Widzicie ten brudny pas, tuż nad drzwiami...

- Pamiętam, co tam napisano.

- Ja też - Wasia podniósł głowę. - Babcia nam mówiła. Pamiętasz Leo?

Uczyliśmy się tego na pamięć.

- Sub tuum praesidium confugimus, Sancta Dei Genitrix - wyrecytował Leo.

- Zgadza się - potwierdził wuj. - Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... Ciocia Kisia miała doprawdy zadziwiającą pamięć - dodał.

- Tak, i nas wszystkiego uczyła. Mówiła, jak w „średniowiecznej szkole”. Pisać

było wówczas niebezpiecznie. Zdarzały się rewizje. Zresztą i my mieliśmy niezłą pamięć. W szkole też nam zadawano wiersze do nauczenia się. Na różne „prazdniki”, uroczystości rocz-

120

m *

4 T

nicowe... Szczególnie musieliśmy czcić co roku rewolucję październikową...

Wówczas to uczniowie deklamowali takie programowe kawałki...

- Ale i tam, w tej szkole, byli dobrzy ludzie. Pamiętasz, Wasia, tego ryżego Pawła Maksymowicza? On ciebie też uczył... historii... Lubiłem go, a i on mnie lubił. Zawsze mi się wydawało, że wstyd mu, gdy musiał gadać jakieś bzdury nie mające nic wspólnego z prawdą.

- Pamiętam, mnie też uczył. A ta Lubow Konstantinowna, taka ładna i łagodna... Chłopcy włązili jej na głowę.

- Mnie już nie uczyła. Przyszła po mnie. Uczyła rosyjskiego, prawda?

- Tak. Nie musiała być komunistką. Czasem przynosiła nam inne teksty niż te w podręczniku... Innych pisarzy... poetów romantycznych, Puszkina, Lermontowa. Naturalnie nie było tam nic wrogiego reżymowi... A nam się bardzo podobało. Gdy czytała Lermontowa, to największe rozrabiaki siedziały cicho.

- A jak było z kolegami? Mieliście przyjaciół?

- Tak. Rosjanie są wylewni i serdeczni. Ale zawsze była między nami obcość... Coś nas dzieliło. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

- Leo miał wielbicielki. Pamiętam w ostatniej klasie... „Ot gołub-czyk - mówiły - krasawiec, prosto panicz”.

- Miałaś powodzenie, Leo - zaśmiała się Jula. - Przyznaj się, zostawiłeś tam serce.

- Obaj zostawiliśmy tam część naszego serca. Na cmentarzu, za miasteczkiem.

- To co innego, ale byliście przecież młodzi... a Leo taki przystojny. <

- Nic innego być nie mogło i nie było - uciał Leo.

- Gdybyście się tam ożenili - zauważył wuj - wsiąklibyście w tamtejsze społeczeństwo, jak niegdyś wielu zesłańców, którzy nie mieli prawa powrotu. Żenili się z Sybiraczkami.

- Tak. Spotyka się tam polskie nazwiska. Szlacheckie nazwiska, jak mówiła babcia. Ale ci potomkowie nic nie wiedzą o swym pochodzeniu... Mieliśmy takich dwóch w szkole. Jeden nazywał się Rymsza, drugi Chrzczonowicz. Kiedyś zaprosiłem ich do nas... babcia powiedziała, że w ich wyglądzie jest coś odrębnego... i byli lepiej wychowani... delikatniejsi...

- Iluż ich tam było, przez prawie dwa wieki - jęknął wuj. - Iluż

121

użyźniło tę sybirską ziemię! Gdy poruszyłem kiedyś tę kwestię z Francuzami, jeden z nich powiedział: „Przez pana mówi antyso-wiecka propaganda”. A gdy mówiłem, że prawie dwa miliony Polaków z Kresów wywieziono w tej wojnie, w tym wiele kobiet i dzieci, które tam pomarły, nie chcieli wierzyć. „To było dobre w ubiegłym stuleciu.

To niemożliwe w dwudziestym wieku". Nie wierzyli. Dla nich to był raj. A ilu tam jeszcze pozostało Polaków!

- Może kiedyś wróca. Zapraszają ich.

- Po kilka rodzin. A tam są tysiące.

Na piątkowe popołudnie zaprosili ich Śliwowie.

- Co macie siedzieć w mieście? Pogoda piękna...

Na wczesną kolaq'ę podano ryby.

- Mama wspominała zawsze karpie z naszych stawów - powiedział Franciszek Sawoniewicz, spoglądając na półmiski z rybą smażoną, faszerowaną, w galarecie, na karpia z pieczarkami w śmietanowym sosie.

- Tak - pokiwał głową Śliwa. - Dużo szło na sprzedaż aż do Wilna, wspominał ojciec. Brali też od nas do restauracji w Białymstoku i Grodnie. Pamiętasz, jak je pakowano?

- Pamiętam. Obłożone lodem pokruszonym na drobne kawałki. Podkradaliśmy go zawsze... ale zbyt szybko topniał.

- U nas ryby drogie - zauważyła pani Helena - gdyby udało się „wskrzesić” stawy i zaprowadzić hodowlę... Mógłby to być dobry interes...

- O tak - potwierdził Śliwa. - Złoty interes.

- Czy pamiętasz, Janku, narzeczonego cioci Kisi? - Franciszek Sawoniewicz wrócił do przeszłości swojej rodziny. - Jak on się nazywał... zdaje się Zygmunt.

- Tak. Zygmunt Michalewicz. Mieli majątek za Białymstokiem.

- Co się z nim stało?

- Pana Michalewicza, ojca, aresztowano i wywieziono na Sybir. Nigdy nie wrócił. Matka żyła jeszcze po wojnie, a syn podobno poszedł do lasu.

- Jak to „do lasu”? - zdziwiła się Jula.

- Do partyzantów, do „bandytów”, jak wówczas mówiono. Nigdy o nim nie słyszano. Albo zginął, albo złapali bolszewicy i też ubili. Mówiono nawet, że był w tak zwanej „bandzie Łupaszki”.

122

-

- Któż to ten Łupaszka?

- Bohater - uciął krótko doktor.

- Tu u was mało było zwykłych ludzi - wydeła usta Jula. - Jak słyszę, to zawsze albo zdrajcy, łotry czy renegaci, albo bohaterowie. Pośrodku nie ma nic.

- Bo tak u nas było - uśmiechnął się doktor. - Ci ze środka niczym się nie wyróżniali. Ot, zwykli ludzie. Za to ci podli, spodlili się do potęgi, a ci bohaterowie stawali się bohaterami na miarę dawnych bohaterów. I ci właśnie byli interesujący, tak jedni jak i drudzy.

W pewnej chwili wuja zaintrygowało milczenie Wasi. Wasia nie był gadatliwy, z natury małomówny, czasem tylko zapalał się do jakiegoś tematu. Teraz, poczuwszy spojrzenie wuja, odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- O czym tak, chłopcze, rozmyślasz?

- Czy wuj pozwoli... zgodzi się...

- O co chodzi?

- O fotografie - wyrzucił Wasia. - O te przedwojenne zdjęcia, które ocalały...

Bukły i ci wszyscy, co tam kiedyś mieszkali...

- Chcesz je obejrzyć? Proszę - wuj sięgnął do teczki.
- Chciałbym zrobić z nich powiększenia i odbitki... znam takiego fotografa...
- Dobrze, weź je, proszę.

Wasia pochwyił teczkę jak skarb najdroższy.

Wieczorem, gdy zostali sami w pokoju, rozłożył na tapczanie tych „świadków przeszłości”.

- Poproś fotografa, by zrobił portret babci - powiedział Leo, wpatrzony w „pannę Katarzynę”, siedzącą na ganku z narzeczoną, który przysiadł na stopniach u jej nóg. - Oprawimy to i powiesimy tu, w tym miejscu.
- Sam zrobię ramkę. Z ciemnego drzewa. Chcę też oprawić rodziców babci, gdy byli młodzi. To nasi pradziadkowie. Nareszcie i my, jak wszyscy, będziemy mieli rodzinę.
- Zawsze mieliśmy rodzinę - zauważył Leo. - Mama, babcia... Ty nawet miałeś ojca, choć nie chcesz go...
- Nie chcę. Nie mów mi o nim. Najchętniej zapomniałbym, że istniał kiedykolwiek.
- Szkoda, że nie możemy teraz pojechać do Korsunia.
- Co ty? Chciałbyś tam wrócić?
- Nie, ale zobaczyć gniazdo twojej rodziny.

123

- To jest moja rodzina! - krzyknął Wasia, wskazując rozłożone na tapczanie zdjęcia. - To, rozumiesz? I nie chcę innej!
- Dobrze, dobrze - łagodził Leo.
- Jeżeli nie przestaniesz mi wytykać...
- Niczego ci nie wytykam. Stwierdzam tylko fakt.
- Nie chcę takiego faktu, słyszysz? Nie chcę. I nigdy nie mów mi o tym człowieku.
- Nie będę - zgodził się Leo, wpatrzony w „pannę Katarzynę” na ganku domu, który dziś był ruiną.

- To jest moja rodzina! - krzyknął Wasia, wskazując rozłożone na tapczanie zdjęcia. - To, rozumiesz? I nie chcę innej!
- Dobrze, dobrze - łagodził Leo.
- Jeżeli nie przestaniesz mi wytykać...
- Niczego ci nie wytykam. Stwierdzam tylko fakt.
- Nie chcę takiego faktu, słyszysz? Nie chcę. I nigdy nie mów mi o tym człowieku.

- Nie będę - zgodził się Leo, wpatrzony w „pannę Katarzynę” na ganku domu, który dziś był ruiną.

VIII

Z Wasią działo się coś dziwnego.

Z chwilą, gdy wziął do ręki przedwojenne fotografie z Bukłów, stał się jakby innym człowiekiem.

Znikł z twarzy wyraz obitego psa, oczy szeroko otwarte patrzyły ze spokojną

pewnością siebie. Usta nie były już zacięte, wydawały się raczej bardziej skłonne do uśmiechu niż do przykrego grymasu. Trzymał się też prosto, przez co wydawał się wyższy.

- Wyładniałeś - zauważył któregoś dnia Leo.

Odpowiedział uśmiechem, pozbawionym dawnej ironii czy sarkazmu.

Wszystkie zdjęcia zaniósł do znajomego fotografa. Zrobiono odbitki, a z kilku twarzy piękne portrety.

Miał więc teraz swoją „rodzinną galerię” i Bukły na własność.

W obecności wuja czuł się swobodniejszy, bał się tylko Juli, dziewczyna w dalszym ciągu okazywała mu wyraźną niechęć.

- Czy zauważyłaś, jak się Wasia zmienił? - spytał któregoś wieczoru ojciec.

- Jest jeszcze bardziej bezczelny.

- Doprawdy, Juleczko, robi się z ciebie jędra.

- Irytuje mnie, że ty, tatusiu, dajesz się zwieść sztuczkom takiego oszusta.

- Jakiego oszusta?

- Czyż nie oszukał nas wszystkich? A ja, głupia, litowałam się nad nim.

- Do śmierci mu nie przebaczysz.

- Jakże mogę przebaczyć? Nie widziałeś tego prymitywnego prostaka, jak się zachowywał... upijał się... był wstrętny.

- Przyznał się jednak, przeprosił, pokajał.

- Czy było szczerze to pokajanie? Wątpię.

- Pan Bóg pewnie dawno mu przebaczył, ale ty nie darujesz.

- Okradł i skrzywdził Lea.

125

- Ale Leo nie chowa urazy.

- Za to ja chowam. Kto raz oszukał, może oszukać znowu. To tak samo jak morderca. Kto raz zabił, może zabić znowu. Tacy ludzie są niebezpieczni, dlatego zamyka się ich w więzieniu. Przypomnij sobie teorię Herculesa Poirot.

- Uważasz więc, że Wasia jest niebezpieczny?

- Tak uważam.

- Doprawdy Jula... Nigdy bym cię nie posądzał o taki brak serca.

- Co ma do tego serce?

- Jak to! Biedny chłopiec przeżył piekło, a teraz, gdy odzyskał wolność i rodzinę, ty traktujesz go jak złoczyńcę.

- Dla mnie jest złoczyńcą. To wilk w owczej skórze. Obawiam się, tatusiu, że bardzo się na nim zawiedziesz. I ty i Leo. To chytry oszust. Zauważ, jak się do ciebie wdzięczy.

- Wcale się nie wdzięczy! Juleczko, nie poznaję ciebie. Skąd taka złość?

- Przykro mi, tatusiu, ale nic na to nie poradzę.

Od Juli więc nie należało oczekiwać najmniejszego nawet ziarnka sympatii.

Wasia musiał pogodzić się z niechęcią, a nawet z wrogością kuzynki. Ale jakoś

przestało to być ważne. W ogóle wszystko, co go otaczało, cały zewnętrzny świat

tracił powoli na ważności. Ważnym i realnym był „tamten” świat, dawny świat

Bukłów i tych osób siedzących przy stole, na ganku czy w ogrodzie, świat salonu z

lśniącem czarnym fortepianem i garniturem mebli Ludwik XVI. To był jego świat, i

choć pracował, rozmawiał, jadł, spał, ale ta otaczająca go rzeczywistość bladła, odchodziła gdzieś dalej, stawała się coraz mniej realna, mniej go obchodząca, podczas gdy „tamten” świat nabierał coraz więcej kolorów życia, prawdziwego życia. I to był świat jego marzeń, odnaleziony po latach wygnania, powrócony do rzeczywistości, wskrzeszony jego wolą, pragnieniem i tęsknotą. I miłością. Powróciły też do życia babcia i mama. Znał je przecież tak dobrze, od urodzenia, w rzeczywistości „tamtego” świata, stały mu się teraz jeszcze bliższe i lepiej znane. Babcia... Te zdjęcia to był przecież jej świat i gdyby nie wojna... Wyrwały ją z niego brutalne ręce enkawudzistów, by wrzucić do bydłęcego wagonu, gdzie panowała śmierć, a potem strącić na samo dno piekła.

126

I mama... podobnie jak on karmiła się marzeniem. I też pochwycona w straszliwe tryby krwawej maszyny przemocy.

I nagle, gdy oglądał przywieziony do warsztatu stary secesyjny kredens, zniszczony nie tyle czasem i złymi warunkami, co brakiem starania i miłości, stanął mu przed oczami ojciec.

Po co? Dlaczego?

Sam nie wiedział, nie myślał o nim, starał się zapomnieć, wykreślić z życia straszne dzieciństwo. I raptem teraz...

Najbardziej zdziwił go brak nienawiści, a zamiast niej litość nad tym ojcem, którego dotąd się wstydził. Litował się oto nad nim, bo on przecież nie miał żadnych Bukłów, dokąd mógłby się schronić przed potworną rzeczywistością, a jeżeli je kiedyś i miał, to o nich nie wiedział, bo nie było przy nim nikogo, kto mógłby mu powiedzieć...

Jaki biedny! Boże, jaki biedny!

Może jednak miał jakieś marzenie? Mama... Tak, mama, ale mama przecież nie mogła pokochać takiego człowieka... Chociaż... gdyby zajrzała głębiej pod tę brzydką powłokę, gdyby zechciała, może doszukałaby się czegoś pięknego, owego marzenia, które i w nim musiało żyć, jak w każdym człowieku, szczególnie w człowieku z „niehumanicznego” świata.

I poczuł łzy pod powiekami.

Wracał do domu w dziwnym nastroju.

Leo z wujem i Julą byli u Śliwów, czekał go więc samotny wieczór.

Wziął prysznic, przebrał się, po czym wyszedł na miasto. Dzisiaj nie mógł być sam.

Nagle z jakiegoś okna pierwszego piętra posłyszał fortepian. Ktoś grał Mozarta.

Przystanął i słuchał i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że bezwiednie zaszedł przed dom pani mecenas.

Mozart śpiewał i wabił.

Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi wejściowe, schody pokonał jednym susem.

Mozart wzywał coraz natęczywiej.

Na dźwięk dzwonka fortepian umilkł. A potem posłyszał kroki i jej głos.

- Kto tam?

127

- To ja, Korsunow - powiedział wyraźnie bez najmniejszego wahania.

Otworzyła od razu.

Miała na sobie różową domową suknię do ziemi, u góry obrzeżoną riuszą, z której

ślicznie wychylała się jej szyja.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Poszedł za nią do saloniku.

- Haydn, Mozart i Beethoven - zaczął siadając na wskazanym fotelu - ta klasyczna trójka to moi ulubieńcy. Słuchaliśmy przez radio, a raz, w szkole, babcia zagrała kilka zapamiętanych fragmentów sonat na rozbitym pianinie.

- Ja mam podobny gust - powiedziała pani Jaszuńska. - Ta muzyka mnie uspokaja. Aż wstyd się przyznać, ale wolę to grać niż Chopina. Chopina wolę słuchać w mistrzowskim wykonaniu.

- Zgadzam się z panią.

- Rosjanie są narodem bardzo muzykalnym.

- O tak, ciągną te swoje żalosne pieśni, po których chce się płakać. I dobrze tańczą, mają poczucie rytmu. Wyjeżdżała pani...

- Tak, byłam w Warszawie, w ministerstwie. Załatwiam panom obywatelstwo polskie. Wszystko jest na dobrej drodze. Jako wnukowie Katarzyny Sawoniewicz... Pan zdaje się, chciał zmienić nazwisko? - spojrzała pytająco.

- Tak, ale zmieniłem zdanie. Pozostanę Korsunowem. Tak mi się lepiej podoba.

- Cieszę się - powiedziała cicho. - Mnie się też tak podoba.

Zapadło milczenie, po czym ona wstała i dziwnie rozradowana spojrzała na gościa.

- Zje pan ze mną kolację - oświadczyła - moja gosposia ma wychodne, ale naszykowała wszystko. Wystarczy wyjąć z lodówki.

Nie wiedział, co jadł, czy to zresztą miało jakieś znaczenie? Wypił tylko jeden kieliszek wina.

- Po śmierci mamy zacząłem pić - wyznał. - Upijałem się do nieprzytomności. A przecież był Leo i nie zostałem sam. Jeszcze jak tu przyjechałem... nie mogłem obyć się bez wódki. Aldek Śliwa krzyczał na mnie...

- Jednak pokonał pan ten nałóg. Ma pan wyjątkowo silną wolę. Doktor Śliwa może być dumny.

- To pani zasługa, nie doktora Śliwy.

Zarumieniała się lekko pod jego spojrzeniem.

128

- W każdym razie jest pan mocnym człowiekiem.

- Chciałbym takim być.

- Ma pan silny charakter, od razu to spostrzegłam. I jest w panu chęć i wola...

- Tak - powtórzył. - Chęć i wola. I dojdę do mego celu.

- Dojdzie pan - potwierdziła. - Najważniejsze, że ma pan Bukły.

- O, Bukły nie są moje. Są wuja, a po jego śmierci...

- Wuj tu nie zostanie.

- Ma dzieci.

- Dzieci też nie porzucą pięknego Paryża dla białostockich atrakcji. Wuj panu zapisze Bukły, panu i pana bratu.

- Jak to...?

- Rozmawialiśmy. Pan Sawoniewicz jest wzruszony pana przywiązaniem do tego majątku. Do tej resztki, którą może uda się podnieść z ruiny. Rozmawiał już z

architektem. Czekamy tylko na decyzję ministerstwa, żeby zacząć roboty.

- Więc wuj myśli...

- Myśli zrzec się swoich praw na rzecz wnuków Katarzyny Sa-woniewiczówny, swojej ciotki.

- Nie pozwolą mu - zawołał - Julia i Edek, nigdy się nie zgodzą na coś podobnego.

- Pan Sawoniewicz ma prawo dysponować swoją własnością.

- Ale wydziedzicza dzieci...

- Bynajmniej. Zostawia im doskonale prosperujący interes we Francji. Po jego śmierci przypuszczalnie sprzedaliby Bukły obcym, a tak majątek pozostanie w rodzinie. Leo przecież nazywa się Sawoniewicz.

- Gdyby, to było możliwe - wyszeptał. - Boże! Gdyby to było możliwe...!

- Będzie możliwe - zapewniła. - Bez pańskiego oka, jak mówi przysłowie, koń zdechłby z głodu. Zdać ten majątek po odzyskaniu w obce ręce, to właściwie stracić go. Różni aferzyści czyhają tylko na podobne okazje. Chwilowo, proszę zachować przy sobie tę wiadomość - dodała.

- I pani myśli, że tak się stanie?

- Wszystko można załatwić - powiedziała spokojnie. - Trzeba tylko wiedzieć jak.

- Mój Boże...

- Niech pan pamięta, że to, co w ludzkiej mocy, da się zawsze

129

nagiąć do naszej woli, jedynie to, co przekracza nasze możliwości, zależne jest od woli Bożej. Ale Boga można uprosić.

- Tak, babcia prosiła, żebyśmy tu wrócili...

- I stało się tak. Czego więc pan się obawia?

- Wrogości moich kuzynów. Wiem, sam sobie jestem winien. Byłem głupi... Ale Bukły... Ciągnęło mnie tu...

- Rozumiem.

- Pani mnie potępia, prawda?

- Nie. Nie wiem, co bym zrobiła na pana miejscu. Może podpaliłabym ów zakazany Beriańsk na Uralu. - Wzdrygnęła się. - Cóż to za straszliwe miejsce kaźni naszego narodu. Ural... kopalnie miedzi... Skazańcy wytrzymywali rok, najwyżej półtora... Nie wolno nam nigdy zapomnieć...

- Ludzka pamięć krótka... Opowiadał Aldek Śliwa, że i tu podlili się Polacy... Większość jednak zachowała poczucie honoru.

- Tak. Teraz tylko... Czytałam właśnie wypowiedź Herlinga-Grudzińskiego... to taki nasz doskonały pisarz... mieszka w Neapolu..

- Czytałem jego „Inny świat”. Opisał to, co przeszła babcia. Co więc powiedział?

- Że należy odróżnić pojednanie od zapomnienia, że całkowite przebaczenie możliwe jest tylko w wypadku wyrażenia skruchy, pamięć więc musi zrównoważyć brak powszechnej skruchy. Taka pamięć nazywa się pamięcią historyczną.

- Pamięć historyczna - powtórzył. To dobre sformułowanie i odpowiada naszej sytuacji i naszej historii. Babcia nas uczyła...

Wracał z szumem w głowie.

Leo leżał już, ale nie spał. Czytał.

Poprzedniego dnia był z wujem w księgarni.

- Co chciałbyś kupić? - spytała Jula.

- Naszych wieszczów - odparł bez namysłu. - Chcę wszystko przeczytać.

I kupił. I czytał. I nie mógł się oderwać...

- Gdzie byłeś tak długo - podniósł oczy na brata.

- U pani Jaszuńskiej... Słuchaj, Leo, wiesz, co mi powiedziała? Wuj chce na nas przepisać Bukły, na ciebie i na mnie. Ty przecież

130

4 'J ~

nazywasz się Sawoniewicz, jak dawni właściciele. Nie wiem, jak on to sobie wyobraża... jakąś darowiznę czy coś w tym rodzaju. Ale rozmawiał o tym z adwokatką. Pani Jaszuńska uważa to za możliwe, a nawet pewne, prosiła tylko o dyskrecję. Nie mów o tym nikomu, nawet Śliwom.

- To wspaniała wiadomość! - Leo odłożył „Pana Tadeusza”. - Nie powinniśmy się chyba zgodzić... to krzywda dla jego dzieci... prawnych spadkobierców...

- Pani Jaszuńska uważa, że odziedziczą po ojcu tę agencję turystyczną w Paryżu. Przynosi dobry dochód. A Bukły... Przecież tu nie zostaną na stałe... Mogliby zawsze spędzać z nami wakacje... gdy dom będzie odbudowany...

- Nie wiem, czy będzie nam wolno przyjąć taki dar...

- Dlaczego? Adwokatka mówi, że po śmierci ojca sprzedadzą ten obiekt. Kupią obcy ludzie.

- Gdybyśmy mieli pieniądze...

- Ale nie mamy. Boję się tylko, że Edek i Jula podniosą taki krzyk... Nie cierpią mnie... Gdyby chodziło tylko o ciebie, to może się i zgodzą... Dziewczyna lubi cię, jesteś podobny do Edka... Ale ja...

- Nawet gdyby wuj nie zrzekł się tego majątku na naszą korzyść, to i tak dałby nam tam pracę. Pilnowalibyśmy jego dobra.

- A po jego śmierci kuzynkowie wyrzuciliby nas...

- Wuj nie jest stary... Jeśli chodzi o śmierć, ja jestem z brzegu...

- Nie pleć. Wyleczysz się. Życie na wsi... w dobrym powietrzu... W spokoju...

- Gdyby wuj tak postąpił, jego dzieci odczułyby to jako krzywdę... Nie chciałbym tego...

- Pani Jaszuńska uważa, że to byłoby najlepsze wyjście... Bukły w rękach rodziny... Mogliby przyjeżdżać kiedy zechcą... Edek zresztą mówił, że Jula najczęściej spędza wakacje we Włoszech.

- Ale to Jula najbardziej zapaliła się do odbudowy domu.

- Dom jej się podoba. Edek uważa to za wyrzucanie pieniędzy. Odradzał ojcu...

- Ale ona czuje, że to nasze gniazdo. Podobnie jak my...

- To dlaczego czekali dziesięć lat? Dawno już mogli tu przyjechać.

- Nie mogli, bo nas tu wówczas nie było.

- Nie wiedzieli przecież o naszym istnieniu.

- Właśnie, nie wiedzieli. Czy nie rozumiesz, że stało się tak, jak

131

pragnęła babcia? Gdyby nie zainteresowali się Bukłami, oni, mający pieniądze, to cóż my żebracy moglibyśmy zrobić? Nawet jeśli dostalibyśmy prawo własności. Co by nam z tego przyszło? Nie dźwignęlibyśmy domu z ruiny, nie bylibyśmy w możności zrobić tu żadnej inwestycji... żeby osiągnąć z czasem jakiś dochód. Nic. Siedzielibyśmy na progu ganku i co? Powtarzalibyśmy Bukły, Bukły, nasz majątek, a ten majątek składałby się z kawałka zachwaszczonego ogrodu i plantacji zielska i pokrzywy. I wreszcie dom rozpadłby się na naszych oczach.

- Ale oni się nie zgodzą. Wiem. Zresztą może dla ciebie...

- Albo dla nas dwóch albo wcale. Ja tu długo nie będę...

- Nie kracz.

- Ty się ożenisz...

- Z kim? Kto mnie zechce? Nawet nie będę próbował.

- Zechcieć to chciałaby niejedna... Bardzo się poprawiłeś.

- Ja to głupstwo. Ty się musisz poprawić. Czuję, że nie zasnę. Tak jestem podenerwowany...

- Czego? Uspokój się. Przecież babcia nami kieruje. Będzie, jak ona postanowi. Stale teraz czuję jej obecność. I gdy patrzę na te fotografie... Bardzo była ładna. I mama do niej podobna. Pamiętasz?

- Zobacz, co zrobił fotograf. - Wasia wydobyl z portfela pocztówkowe zdjęcie mężczyzny.

- Twój ojciec...

- Tak. Wśród tych papierów, które zabrałem, była jakaś dawna legitymacja partyjna ojca. Jest tu jeszcze młody.

- Nie był stary, gdy umarł. Miał chyba ze czterdzieści lat, może trochę więcej.

- Trochę więcej. Mam tu ich oboje. I ojca i mamę.

- To dobrze.

- Żał mi go. Wiesz, gdyby żył, chciałbym, żeby był tu z nami... W Bukłach.

- Byliśmy bardzo szczęśliwi - szepnął Leo. - Mieliśmy mamę, babcie i Bukły. A on...

I zgasił lampę.

- Dobrze kiedyś budowano - stwierdził architekt, otrzepując zakurzone ręce. - Dom jak w „Panu Tadeuszu”, „z drzewa, lecz podmurowany”.

132

m p

- Stropy wydają się mocne - dodał towarzyszący mu technik. - Niech pan inżynier spojrzy...

- Jeśli będzie możliwe, chciałbym przywrócić dawny wygląd dworu - zauważył właściciel. - Ma pan tu plany z ostatniej odbudowy po pożarze z ubiegłego wieku. Specjaliści dokonali szczegółowych oględzin i pomiarów. Obstu-kali ściany. Sondowali dziury w posadzkach, wdrapali się nawet na piętro, co było nie lada wyczynem.

Wiele fachowych informacji udzielał im Wasia.

- Skąd pan to wszystko wie? - dziwił się inżynier.

- Zbadałem cały budynek od dachu do piwnicy.

- Z narażeniem życia - zauważył technik.
- Może.
- I co pan stwierdził?
- Że dom nadaje się do remontu.
- Do odbudowy - mruknął inżynier.
- Jest to ruina - oświadczył wuj - ale ruina mocna, solidnie trzymająca się fundamentu. Jak te antyczne budowle.
- Z których pozostały gruzy - dokończył inżynier.

Po jego odjeździe usiedli na trawie i Jula rozpakowała koszyk z podwieczorkiem.

- Zna „Pana Tadeusza” - pokiwał z uznaniem głową Leo. - Nasz dom pewnie podobny do wszystkich szlacheckich dworów.

- Tak. Gdyby nie wojna byłoby ich jeszcze wiele na naszej ziemi. Czytałem, że zniszczono czterdzieści tysięcy takich dworów czy dworków. Smutne tylko, że to nie wojna dokonała tej destrukcji, lecz polskie ręce podjęły się tego zadania po tak zwanym „wyzwoleniu”, i jak mówili Śliwowie, z zapalem wzięły się do unicestwiania własnej kultury.

- To straszne - wstrząsnęła się Jula.

- To samo było za francuskiej rewolucji. Ta sama autodestrukcja, niszczenie dóbr materialnych pozostawionych przez historię. Jeśli chodzi o „Pana Tadeusza”, pamiętam, jako dziecko odbyłem podróż z rodzicami do Nowogródka, wkrótce jak osiedlił się tam stryj Józef. Wiem, że był sędzią. Pojechaliśmy wówczas nad Świteż, a niedaleko stamtąd był Cząbrow, majątek znany Mickiewiczowi, gdzie poeta bywał i właśnie Cząbrow posłużył mu za wzór Soplicowa.

- Obawiam się, że nic z tego nie pozostało - mruknął Wasia.

- Przypuszczalnie, ale wówczas mnie osobiście w zachwyt wpra-

133

wiła się. Była duża i wyłożona marmurem w czarno-białą szachownicę. Pewnie zafundowali to sobie późniejsi właściciele, już po Mickiewiczu, gdzieś w drugiej połowie ubiegłego wieku albo na początku tego stulecia. Było to zjawisko niespotykane w naszych stronach.

Poprzedniego dnia architekt spotkał się z właścicielem Bukłów w Białymstoku.

Uzgodniono terminy. Franciszek Sawoniewicz zajrzał do kosztorysu.

- Nie mam jeszcze decyzji banku z Warszawy - powiedział ostrożnie - ale chyba można zaryzykować.

- Można - przytaknął inżynier. - Nie od razu będą potrzebne wszystkie pieniądze - dodał uspokajająco. - Na początek wystarczy tego, czym pan teraz dysponuje.

Potrzeba na materiały, no i robocizna...

- Cudownie - powiedziała Jula. Oczy jej błyszczały. - Wiem już, który pokój wybiorę dla siebie.

- Poczekaj, aż będzie gotowe piętro - uśmiechnął się ojciec.

- Widzę już dom gotowy, taki jak na fotografiach... W przyszłym roku uroczystie dokonamy otwarcia. Dobrze, tatusiu?

- Tak ci się spieszy?

- Będziemy tu przyjeżdżali na wakacje, czasem może na święta. Mamusi z pewnością się spodoba.

- Mówił inżynier - zauważył Wasia - że kilku majstrów znajdzie wśród miejscowej ludności. Już się dowiadywał. Reszta będzie z Białegostoku.
- Żeby tylko było szybko - mówiąc to Julia nawet nie spojrzała na kuzyna.
- Zrobią na przyszłe lato - dodał Leo.
- Pojechałbyś z nami do Paryża? - spytała nagle. - Prawda tatusiu, że możemy zabrać Lea. Niech zobaczy Francję.
- To może i Wasia zechce zobaczyć Franę - powiedział ojciec.
- Dziękuję, wuju, nie mogę opuszczać Białegostoku. Mamy teraz moc roboty. Majster podjął się renowacji starych mebli dla muzeum miejskiego. Liczy na mnie.
- Leo pojedzie z nami - zdecydowała Julia. - Chciałbyś, Leo, prawda? Pokażemy ci Paryż.
- Może kiedyś skorzystamy z twego zaproszenia, gdy Wasia będzie wolny. Ja tymczasem przydam się jako dozorca na budowie.

134

JO "H

- Firma budowlana, która podjęła się remontu naszego domu, ma odpowiedni personel. - Julia nie była zadowolona. - Wcale tam nie będziesz potrzebny. Jakoś ta rozmowa popsukała radosny nastrój. Wracano w milczeniu.
- Zostańcie z nami na kolację - zaproponował wuj, ale bracia odmówili.
- Ten cham staje się niemożliwy - zdenerwowała się Julia.
- Przestań tak o nim mówić.
- Czy zauważyłeś, jaki jest pewny siebie i taki ważny? Głupi Leo.
- Zapominasz, że to bracia, są bardzo sobie bliscy.
- Nie bardzo wierzę w to braterstwo - wzruszyła ramionami. - Są tak do siebie niepodobni
- To się zdarza.
- A jeżeli to oszust? Może szantażuje Lea... on taki łatwowierny, nie trudno go oszukać.
- Co ty, Juleczko, pleciesz. Obaj są wnukami cioci Kisi, co do tego nie ma wątpliwości. Przestań już z tym niemądrym uprzedzeniem...
- Nigdy się do niego nie przekonam - powtórzyła z uporem. - Nigdy
- To „nigdy” może trwać tydzień, miesiąc, może rok. Ale wreszcie zniknie. Porozmawiajmy lepiej o Bukłach.
- O tak, tatusiu, wiesz, od razu, gdy zobaczyłam nasz dom, wiedziałam, że zechcesz go odbudować. A Edek nie wierzył. „Ojciec nie zechce utopić pieniędzy w tej ruinie”. To była jego śpiewka.
- Może do pewnego stopnia miał rację.
- Tak? Żałowałbyś pieniędzy na odbudowę Bukłów?
- Bukłów już nie można odbudować. Pozostał z nich tylko zrujnowany dom. Nawet gdyby rząd oddał mi całą ziemię, nie starczy funduszków, by przywrócić majątek do dawnego stanu. A bez tego byłaby to beczka bez dna. Tartak, młyn, serowarnia, sady, hodowla pracowały na wszystko i przynosiły dochód. Teraz...
- Są przecież stawy, mówił Śliwa...
- Stawy są zapuszczone, wymagają wielkich nakładów. Nie możemy pójść z

torbami tylko dlatego, że chce się nam zgrywać „pana dziedzica”. Nasza agencja nie wytrzyma, wykrwawi się.

- Mówił Śliwa, że stawy można wydzierżawić. Ma nawet amatora.

- Owszem. Rozmawiałem z tym jegomościem. Przez dwa lata nie zapłaciłby ani grosza.

135

- Ale doprowadziłby stawy do porządku. Zarybiłby je na nowo. Śliwa powtórzył mi waszą rozmowę. Bardzo cię do tego namawia. I ma rację.

- Wiem, że ma rację. Jednak nie zostawimy naszego domu i naszych interesów w Paryżu i nie osiadziemy w Bukłach. Co byśmy tu zresztą robili? Wojna rzuciła nas do Francji i za późno teraz zaczynać nowe życie w ojczyźnie. Ja jestem za stary, a wy... Wy przywykliście do innego świata i do innych warunków.

- Pewnie, że tu nie osiedlimy się na stałe.

- Jak więc wyobrażasz sobie odbudowany dom, ogród, sad i stawy? Co mamy z tym zrobić?

- Wynajmiesz kogoś do pilnowania i do utrzymywania wszystkiego w porządku. Śliwa wynajdzie takiego człowieka i dopatry... Przecież chcesz odbudować dom... chcesz, powiedz.

- Chcę, ale wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Że oni tu są, ci dwaj nieszczęśnicy, że wrócili... i że Jo kochają... Po tym jednym można poznać, że to wnukowie cioci Kisi... To ona ich tak wychowała... Mimo wszystko... Potrafiła przelać w nich swoją miłość do tego domu i tęsknotę... Dla nich chcę odbudować dom i stworzyć namiastkę Bukłów, wyłącznie dla nich... Mówił Śliwa, że pozostawienie tego wszystkiego bez opieki...

- Przecież zostawisz tu kogoś, wynajmiesz człowieka... a Śliwa...

- Śliwa wcale nie pali się do roli dozorca. Nie zapominaj, że on tu zostaje, tu żyje, z tymi ludźmi... Nie może być przeciwko nim... Nie wszystkim podoba się powrót dawnych właścicieli. Każdy uszczknął coś z cudzego dobra... Wszystko było bezpieczne, każdy kradł, ile mógł, to też opowiadał Śliwa. Te pegeery, jak myślisz, dlaczego nie przynosiły dochodu? Wszyscy kradli, od dyrektora do ostatniego pastucha. Ten system demoralizuje ludzi. Zresztą i Wasia mówił, jak go wrogo przyjęli miejscowi mieszkańcy...

- Wasia nie jest Polakiem, mówił z rosyjska i jest okropny. Nic dziwnego, że budził nieufność, tylko doktor Śliwa tak się nim zachwycił - dodała z ironią.

- Przypomnij sobie, co opowiadał ten przyjaciel Edka, Paul Lescot...

- To takie stare dzieje!

- Ale prawdziwe. We Francji po rewolucji była podobna sytuacja. Dawni właściciele ziemscy po dwudziestu latach wracali z emigracji i co zastawali? Państwo, potrzebując pieniędzy, wystawiło ich

136

m »

dobra na sprzedaż. Sytuacja była podobna jak u nas. Dlaczego dziś byli właściciele lub ich spadkobiercy mają takie trudności z odzyskaniem swego majątku? Niedobrze

krzywdzić obecnych właścicieli. We Francji działały się straszne rzeczy.

- Z Bukłami jest inaczej.

- Nie wiem, czy inaczej. I na tę ziemię są amatorzy. Śliwa ich zna. Zresztą sam Śliwa kupił kawał takiego bezpańskiego gruntu, który pewnie gdzieś ma jakiegoś właściciela.

- To co będzie z Bukłami? Przecież odbudujesz dom...

- Odbuduję. Dla nich. Chcę, żeby oni tu mieli dom.

-Oni?

- Będziemy przyjeżdżać, kiedy zechcemy. Na wakacje... Na Święta... Dzięki nim dom pozostanie w całości, nikt nic nie zniszczy, a ty wybierzesz sobie, jaki zechcesz pokój. Wasia wynajdzie piękne, stare meble i urządzi ci gniazdko.

- Doprawdy, tatusiu...

- Czy nie rozumiesz, że to najlepsze wyjście? Niebo nam ich zesłało.

- Edek nigdy się nie zgodzi...

- Od dziesięciu lat, od upadku komunizmu, dużo myślałem o Bukłach, rozmawiałem z twoją matką. Czytywałem polską prasę, spotykałem rodaków... Wiedziałem mniej więcej, w jakim stanie okupanci zostawili nasz kraj po blisko półwiecznej niewoli. Zniszczono wszystko, co się dało zniszczyć, nawet ziemię... Nie kwapiłem się więc do powrotu. I dopiero wy...

- Tak my, i my się nigdy na to nie zgodzimy, żeby ten... Korsunow panoszył się w naszym domu.

- Ach tak, nie zgodzicie się, więc gdybym jutro umarł, nie wpuścilibyście Wasi do waszego domu.

- Wasi nie. Co innego Leo. Chcę, żeby z nami pojechał i spędził miesiąc w Paryżu. Jedziemy samochodem, nic to cię nie będzie kosztowało... Odeślesz go potem samolotem.

- Ach tak, odeślę. Ciekaw jestem dokąd? Czy do tej zakazanej dziury na Uralu?

- Do Białegostoku.

- I z czego będzie żyć? Wiesz, że jest ciężko chory na serce.

- Będzie z bratem.

- A Bukły?

- Co Bukły? Bukły są nasze.

137

dobra na sprzedaż. Sytuacja była podobna jak u nas. Dlaczego dziś byli właściciele lub ich spadkobiercy mają takie trudności z odzyskaniem swego majątku? Niedobrze krzywdzić obecnych właścicieli. We Francji działały się straszne rzeczy.

- Z Bukłami jest inaczej.

- Nie wiem, czy inaczej. I na tę ziemię są amatorzy. Śliwa ich zna. Zresztą sam Śliwa kupił kawał takiego bezpańskiego gruntu, który pewnie gdzieś ma jakiegoś właściciela.

- To co będzie z Bukłami? Przecież odbudujesz dom...

- Odbuduję. Dla nich. Chcę, żeby oni tu mieli dom.

-Oni?

- Będziemy przyjeżdżać, kiedy zechcemy. Na wakacje... Na Święta... Dzięki nim dom pozostanie w całości, nikt nic nie zniszczy, a ty wybierzesz sobie, jaki zechcesz

pokój. Wasia wynajdzie piękne, stare meble i urządzi ci gniazdko.

- Doprawdy, tatusiu...

- Czy nie rozumiesz, że to najlepsze wyjście? Niebo nam ich zesłało.

- Edek nigdy się nie zgodzi...

- Od dziesięciu lat, od upadku komunizmu, dużo myślałem o Bu-klach, rozmawiałem z twoją matką. Czytywałem polską prasę, spotykałem rodaków... Wiedziałem mniej więcej, w jakim stanie okupanci zostawili nasz kraj po blisko półwiecznej niewoli. Zniszczono wszystko, co się dało zniszczyć, nawet ziemię... Nie kwapiłem się więc do powrotu. I dopiero wy...

- Tak my, i my się nigdy na to nie zgodzimy, żeby ten... Korsunow panoszył się w naszym domu.

- Ach tak, nie zgodzicie się, więc gdybym jutro umarł, nie wpuścilibyście Wasi do waszego domu.

- Wasi nie. Co innego Leo. Chcę, żeby z nami pojechał i spędził miesiąc w Paryżu. Jedziemy samochodem, nic to cię nie będzie kosztowało... Odeślesz go potem samolotem.

- Ach tak, odeślę. Ciekaw jestem dokąd? Czy do tej zakazanej dziury na Uralu?

- Do Białegostoku.

- I z czego będzie żyć? Wiesz, że jest ciężko chory na serce.

- Będzie z bratem.

- A Bukły?

- Co Bukły? Bukły są nasze.

137

- Bukły są moje.

- To znaczy, że...

- Że mogę z nimi zrobić, co zechcę.

- Więc to tak...

- A teraz Juleczka gotowa skoczyć do oczu tatusiowi.

- Nie. Właściwie masz rację. Bukły są twoje.

- Będą nasze, gdy we wszystkim przyznasz mi rację.

- Nie mogę.

- No, pocałuj tatusia i chodźmy spać.

- Dobranoc. Nie pocałowała.

- Byłem dzieckiem, ale dobrze pamiętam - opowiadał śliwa. - W parę miesięcy po wejściu Sowietów zorganizowano w naszym miasteczku przychodnię, przyjechała lekarka, Rosjanka, z małą dziewczynką. Mówiła, że mąż w wojsku. Mama raz była u niej ze mną, dostałem nagle gorączki... Dobry był z niej lekarz, ludzie chwalili.

- A co z naszym domem? - Franciszek Sawoniewicz popił trochę soku z malin. Siedzieli na werandzie u Śliwów.

- Dom ogołocili ze wszystkiego i zrobili tam szkołę. Wstawili ławki do parterowych pokoi.

- Ale w miasteczku była szkoła. Nowa. Duża.

- To nic. Ta była bliżej sąsiednich wsi. Sam do niej chodziłem. I to szczęście ta

szkoła, inaczej mało zostałyby z domu. Jak wkroczyli Niemcy, to ci Sowieci, co siedzieli w miasteczku, różni urzędnicy, enkawudziści i inna swołocz od razu uciekli, a ta lekarka została. Nie wiem dlaczego. Może nie zdążyła. Niemcy zostawili przychodnię i ona tam nadal pracowała. Ale pewnej nocy...

- Janku - przerwała pani Helena wchodząc. - Dzwoni Aldek. Pójdź do telefonu.
- Zaraz wracam.
- Mąż pana zanudza - zauważyła, siadając na wyplatanym fotelu.
- Chcę wszystko wiedzieć, jak tu było. Pani też z tych stron?
- Pięćdziesiąt kilometrów stąd. Rodzice mieli folwerek. Brat poszedł do miasta, ja wyszłam za męża, ojciec nie miał siły do roboty... Stary, chory, mama umarła... I tak zmarnowało się wszystko. Szkoda - westchnęła. - Ale ojciec nie przeżył rozstania ze swoją ziemią.

138

Zabraliśmy go do siebie, umarł nazajutrz. Żeby było bliżej, Janek by dojrzał... zna się na gospodarstwie... Ale daleko... Nie było wówczas samochodu... bieda... Ludzie krzyczeli „kułaki”. Tak nas nazywali.

- Aldek chce pieniędzy - Śliwa pokiwał głową. - Młodym wszystkiego mało. Za moich czasów nic nie było, teraz mają wszystko, i ciągle chcą więcej. - Machnął ręką. - Co to ci mówiłem...

- O tej lekarce.

- Właśnie, o lekarce. Została i mieszkała w tym domku naprzeciw kościoła, może widziałeś, zielone okiennice.

- Widziałem.

- Na lewo od sieni był gabinet lekarski, na prawo mieszkanie, pokój i kuchnia. Łacina była ta jej córeczka, Gala, miała może pięć lat. Bawiła się z dziećmi i dobrze już mówiła po polsku. I pewnej nocy...

- Co się stało pewnej nocy?

- Przyszli.

-Kto?

- Nie wiadomo. Chyba ci z lasu. Tu w czterdziestym trzecim w lasach pokazała się sowiecka partyzantka. Napadali nocami na ludzi ze wsi, zabierali żywność, ubranie. Zastrzelili ją na oczach dziecka. Gwałt się zrobił, Niemcy sprowadzili żandarmów, sami nocami bali się wychylić poza miasteczko. I zostało dziecko. Zaopiekowała się nią pani Mańkowska, bezdzietna wdowa po notariuszu. Ten największy dom w miasteczku to oni wybudowali, tuż przed wojną. Wysiedlili ją, tam zamieszkał niemiecki komisarz w żółtym mundurze i w tej ich wysokiej czapie... Straszny był. Bałem się go.

- Zastrzelili, mówisz.

- Tak. Ludzie gadali, że pracowała dla Niemców, to Sowieci ją zabili. Nie wiadomo, jak było naprawdę. Może tylko miała niemieckiego „przyjaciela”, bo i tak gadali. Biedne dziecko, przez kilka dni nie powiedziało ani słowa. Tylko patrzyła przerażona. Miała takie wielkie czarne oczy... Nazywaliśmy ją „Halinka”. Dobrze jej było u pani Mańkowskiej i po wojnie wdowa by ją adoptowała. Pamiętam, że proboszcz ochrzcił ją. Pani Mańkowska i mój ojciec byli chrzestnymi rodzicami.

Dziewczynka była już duża, miała może z siedem lat. Weszła do kościoła z zapaloną świecą w rękę, w białej sukience... Wzruszająca to była uroczystość.

- I co się z nią stało?

- W czterdziestym czwartym wrócili Sowieci. Pędzili Niemców. Tu był front, w Warszawie powstanie. Piekło na ziemi, co się tu

139

działo! Potem, jak Niemcy już poszli na dobre, pewnego dnia amerykańskim dżipem przyjechał ruski pułkownik. Mówi: „Tu jest moja córka, żonę zabili. Wiem. Gdzie moja córka?” Zaprowadzili go do pani Mańkowskiej. „Szukam jej i szukam - mówi ten ojciec - aż znalazłem”. Pani Mańkowska pyta: „Dokąd ją pan zabierze, na front?” A on śmiał się. „Nie na front, mówi, do moich rodziców daleko stąd, w głębi Rosji, tam wojna nie doszła”. I zabrał dziecko. Napisali jego rodzice, dziękowali. Przyszły jeszcze dwa listy. A potem cisza. Nie pozwolili biedakom.

- A pani Mańkowska?

- Po wojnie nie zostawili jej tego dużego domu. Zabrali. Tam była komórka partyjna. A ona przeniosła się do Białegostoku, pracowała jako notariusz. Dawno już nie żyje. Spadkobiercy do dziś dnia procesują się z gminą i nie mogą odzyskać domu. Był tam duży ogród i sad. Wszystko zmarnowali.

- Tak, jak Bukły.

- Jak cały kraj. Rzucili się niczym wygłodzone psy na kawałek padliny. To hołota. Im tylko chodziło o to, żeby napchać kieszenie. Kradli, odbierali ludziom własność, wyrzucali z domów. W czterdziestym piątym, szóstym i siódmym wzięli się za ziemian „krwiopijców”. Niektórzy właściciele, co ocaleni, wrócili za Niemców, „wyzwoliciele” kazali im się wynosić. Wyszli z jedną walizką. Tak było w całej Polsce. Z tym, że tu mało co tego dobra zostało, za to tam, gdzie była tylko okupacja niemiecka, ludzie niewiele utracili po majątkach. Wszystkich wysiedlili. Teraz „władza ludowa” traktuje ludzi jak równych sobie - mówili. I tak wszystkich zrównali w dół, wszyscy nędzarze.

- Tak, tak - wzdychała pani Helena. - Wszyscy byliśmy biedni, choć tu, na wsi, nie zazналиśmy głodu.

- Wieś się zmieniła - stęknął Śliwa. - Ludzie oduczili się pracować. Przestali wypiekać chleb w domu. Rozumiesz? „Lepiej kupić - mówili - po co męczyć się. Lepiej pójść na zarobek do miasta. Do fabryki.” I poszli. Młodzi. Mieszkali w „hotelach robotniczych”. Wyobrażasz sobie? I tak rozpijali naród, bo co mieli robić ci młodzi po pracy? Wódka i tyle.

- No nic, Janek, teraz wszystko się naprawia.

- Myślisz?

- Zobacz, jaki z ciebie dziedzic, a twój syn „pan doktor”.

- Tak, choć wolałbym, żeby Aldek został na ziemi.

140

m -

działo! Potem, jak Niemcy już poszli na dobre, pewnego dnia amerykańskim dżipem przyjechał ruski pułkownik. Mówi: „Tu jest moja córka, żonę zabili. Wiem. Gdzie moja córka?” Zaprowadzili go do pani Mańkowskiej. „Szukam jej i szukam - mówi

ten ojciec - aż znalazłem". Pani Mańkowska pyta: „Dokąd ją pan zabierze, na front?" A on śmiał się. „Nie na front, mówi, do moich rodziców daleko stąd, w głębi Rosji, tam wojna nie doszła". I zabrał dziecko. Napisałi jego rodzice, dziękowali. Przyszły jeszcze dwa listy. A potem cisza. Nie pozwolili biedakom.

- A pani Mańkowska?

- Po wojnie nie zostawili jej tego dużego domu. Zabrali. Tam była komórka partyjna. A ona przeniosła się do Białegostoku, pracowała jako notariusz. Dawno już nie żyje. Spadkobiercy do dziś dnia procesują się z gminą i nie mogą odzyskać domu. Był tam duży ogród i sad. Wszystko zmarnowali.

- Tak, jak Bukły.

- Jak cały kraj. Rzucili się niczym wygłodzone psy na kawałek padliny. To hołota. Im tylko chodziło o to, żeby napchać kieszenie. Kradli, odbierali ludziom własność, wyrzucali z domów. W czterdziestym piątym, szóstym i siódmym wzięli się za ziemian „krwiopijców". Niektórzy właściciele, co ocaleli, wrócili za Niemców, „wyzwoliciele" kazali im się wynosić. Wyszli z jedną walizką. Tak było w całej Polsce. Z tym, że tu mało co tego dobra zostało, za to tam, gdzie była tylko okupacja niemiecka, ludzie niewiele utracili po majątkach. Wszystkich wysiedlili. Teraz „władza ludowa" traktuje ludzi jak równych sobie - mówili. I tak wszystkich zrównali w dół, wszyscy nędzarze.

- Tak, tak - wzdychała pani Helena. - Wszyscy byliśmy biedni, choć tu, na wsi, nie zazналиśmy głodu.

- Wieś się zmieniła - stęknął Śliwa. - Ludzie oduczuli się pracować. Przestali wypiekać chleb w domu. Rozumiesz? „Lepiej kupić - mówili - po co męczyć się. Lepiej pójść na zarobek do miasta. Do fabryki." I poszli. Młodzi. Mieszkali w „hotelach robotniczych". Wyobrażasz sobie? I tak rozpijali naród, bo co mieli robić ci młodzi po pracy? Wódka i tyle.

- No nic, Janek, teraz wszystko się naprawia.

- Myślisz?

- Zobacz, jaki z ciebie dziedzic, a twój syn „pan doktor".

- Tak, choć wolałbym, żeby Aldek został na ziemi.

140

- Nie, nie - zamachała rękami pani Helena. - Aldek jest uczony. Co by miał z ziemi?

- To, co my, źle nam? A on... pensyjka uniwersytecka marna, co rusz do ojca po pieniądze. A co będzie, jak się ożeni? Żona, dzieci...

- Będą wnuki... Nie cieszysz się?

- Wnuki... Dziś młodym nie spieszo do dzieci.

- Rzuć te czarne myśli - zaśmiał się Franciszek Sawoniewicz. -Szcęściarz z ciebie, nieprawdaż, pani Heleno?

- Prawda - przytaknęła. - Święta prawda.

IX

- No, no, Juleczko, dość tych dąsów. Tatuś też się czasem do czegoś przydaje. Czy zapomniałaś, jak cię uwolniłem od tego rzymskiego Romea?

- Gdyby nie ty, wyszłabym za niego.

- I popełniłabyś wielki błąd. To kobieciarz. Po ślubie opadłyby cię tabuny jego

„narzeczonych". Już wówczas, gdy cię uwielbiał, była jakaś dziewczyna... miał wobec niej zobowiązania... Jakże się nazywała? Przyjechała do Paryża, nachodziła cię, biedaczka.

- Simona była strasznie głupia.

- O, właśnie, Simona. Gdyby nie tatuś, taka sama głupia byłabyś i ty.

- Aldo jest bardzo atrakcyjny. Nic dziwnego, że dziewczyny...

- Zbyt atrakcyjny. Wolałbym zięcia mniej atrakcyjnego, za to z olejem w głowie i poczuciem odpowiedzialności za swoje czyny.

- Aldo jest dość... lekkomyślny... to prawda.

- Odrobina lekkomyślności dodaje mężczyźnie uroku, nie powinna jednak „wypełniać całego człowieka".

- Masz rację - westchnęła. - Aldo nie kochał mnie prawdziwie, choć przysięgał, że na wieki...

- Wieczna miłość u takich młodzieńców jak Aldo trwa zazwyczaj od miesiąca do roku. Ale nie dłużej.

- Czy też tak uwodziłeś dziewczyny, zanim poznałeś mamę?

- O tym niech milczy historia. Tatuś jest zawsze bez winy, podobnie jak żona Cezara. - Franciszek Sawoniewicz wstał i otworzył szafę. - Chcę ci coś pokazać.

-Co?

- Byłaś ciekawa tego naszego ukrytego skarbu...

- Kiedyż go odszukamy? Ciągłe zwlekasz.

- Już nie można zwlekać. Z chwilą gdy do domu wejdą robotnicy...

- Jedźmy zaraz, natychmiast.

- Nie trzeba. Już go odnalazłem.

- Tatusiu! Beze mnie! A tak chciałam zobaczyć...

- Właśnie zaraz zobaczysz. O tej skrytce wiedzieli tylko moi rodzice i ciocia Kisia, która zrobiła szkic, ułatwiający znalezienie miejsca. Chciałem je odszukać sam, jedynie w obecności tych naszych umarłych. Chyba mnie zrozumiesz. Zresztą pokażę ci skrytkę. Była tam jedna tylko rzecz, ogromnej wartości historycznej i niezwykle cenna dla naszej rodziny.

- Pokaż, co to jest?

Ojciec rozwijał z płatów miękkiej flaneli, duży, płaski przedmiot. Zaśniło srebro.

Była to taca, wielka, prostokątna, z rączkami po bokach, z masywnego srebra, pięknie grawerowana w jakieś wymyślne roślinne wzory, rozdzielające dwa jak gdyby pola. Na jednym był Królewski Orzeł w koronie, z mieczem w prawej, a jabłkiem w lewej łapie, na drugim pędziła Pogoń wielkoksiażęca. Nad Orłem unosiła się Matka Boska Jasnogórska, nad Pogonią - Ostrobramska.

Stali w niemym zachwycie, błędząc wzrokiem po zawiłym rysunku ornamentów, podziwiając śmiałość i precyzję linii, lekkość wykonania.

- Odczyściłem, jak mogłem. - powiedział cicho ojciec. - Trzeba to dać do jubilera. Dopiero wówczas nabierze blasku i będzie taka, jaką pamiętam.

Powoli odwrócił tacę na drugą stronę.

- A tu - dodał - jest rzecz dla nas najważniejsza.

Ozdobnym pismem pełnym zakrętasów tak tam wryto: „JW-

Panu Edwardowi Sawoniewiczowi - Stanislaus Augustus Rex. Dnia 12, miesiąca

lutego, roku pańskiego 1771".

- Co to znaczy? - spytała szeptem.

- To znaczy, że ten nasz przodek, ów Edward Sawoniewicz, który kupił Bukły i wystawił ten dom, oddał królowi jakąś wielką przysługę.

- Jaką przysługę? Co zrobił?

- Nie wiadomo. Nigdy o tym nie mówił i nie odpowiadał, gdy go pytano.

Powiedział pewnie żonie, ale i ona milczała. I tak do dziś dnia nie wiemy, co połączyło naszego pradziada z ostatnim królem polskim. Nie wiemy i pewnie się nie dowiemy, co zaszło owego dwunastego lutego tysiąc siedemset siedemdziesiątego pierwszego roku. Niedługo przed pierwszym rozbiorem.

143

- To pasjonująca zagadka!

- Masz rację.

- Trzeba ją koniecznie wyświecić.

- W jaki sposób?

- Są przecież archiwa, dokumenty, pamiętniki, korespondencja...

- Zapominasz, że przez nasz kraj przetoczyła się najokrutniejsza z wojen i podobnie jak niegdyś najazdy tatarskie czy potop szwedzki zmiotła wszystko. A jeżeli coś ocalało, na przykład na Kresach, to Rosjanie wywieźli.

- Doprawdy, tatusiu, tak od razu rezygnujesz. Ja na twoim miejscu zainteresowałabym tą zagadką jakiegoś historyka, znawcę tej epoki. Są przecież różne monografie o Stanisławie Augustie i któryś z badaczy chętnie zająłby się tak atrakcyjnym tematem.

- Uważam, że nie należy rozgłaszać tej sprawy. Ta pamiętka to zbyt łakomy kąsek dla złodziei. Lepiej niech to pozostanie naszą rodzinną tajemnicą.

- Jestem wprost przeciwnego zdania. Możemy to sfotografować i posługiwać się zdjęciem. Zdeponujemy oryginał w banku w Warszawie, wynajmiemy sejf, a najlepiej zabrać to do Paryża.

- O nie, nigdy tego nie zrobię. Przede wszystkim nikt nam nie pozwoli wywieźć za granicę tak cennej pamiętki. Poza tym chcę, żeby to zostało w ojczyźnie. Odarto nas z tyłu skarbów, niech choć to zostanie.

- Po co?

- Jak to po co? Mam nadzieję, że nasz ród nie wygaśnie. Edek jest młody i będzie miał dzieci. Może które z nich zechce osiąść w Polsce... Nic nie wiadomo

- Jeśli oddasz Bukły temu... temu...

- Nie żadnemu „temu”, ale wnukom cioci Kisi. Jeden z nich nazywa się tak jak my, Sawoniewicz.

- Ale ten drugi...

- Ten drugi kocha Bukły tak, jak ty nigdy byś nie potrafiła. To dla niego była nadzieja, rozumiesz? Dzięki temu, dzięki tej miłości do gniazda, ciocia Kisia mogła przeżyć piekło, a wspominając przeszłość, wracała do najszcześniejszych lat swego życia. I potrafiła w nich, w te biedne dzieci przelać swoją miłość i tęsknotę. Nie zapominaj o tym.

- No dobrze, ale...

- Ja miałem równie szczęśliwe dzieciństwo jak wy. Pamiętałem

- To pasjonująca zagadka!
- Masz rację.
- Trzeba ją koniecznie wyświecić.
- W jaki sposób?
- Są przecież archiwa, dokumenty, pamiętniki, korespondenta...
- Zapominasz, że przez nasz kraj przetoczyła się najokrutniejsza z wojen i podobnie jak niegdyś najazdy tatarskie czy potop szwedzki zmiotła wszystko. A jeżeli coś ocalało, na przykład na Kresach, to Rosjanie wywieźli.
- Doprawdy, tatusiu, tak od razu rezygnujesz. Ja na twoim miejscu zainteresowałabym tą zagadką jakiegoś historyka, znawcę tej epoki. Są przecież różne monografie o Stanisławie Augustie i któryś z badaczy chętnie zająłby się tak atrakcyjnym tematem.
- Uważam, że nie należy rozgłaszać tej sprawy. Ta pamiątka to zbyt łakomy kąsek dla złodziei. Lepiej niech to pozostanie naszą rodzinną tajemnicą.
- Jestem wprost przeciwnego zdania. Możemy to sfotografować i posługiwać się zdjęciem. Zdeponujemy oryginał w banku w Warszawie, wynajmiemy sejf, a najlepiej zabrać to do Paryża.
- O nie, nigdy tego nie zrobię. Przede wszystkim nikt nam nie pozwoli wywieźć za granicę tak cennej pamiątki. Poza tym chcę, żeby to zostało w ojczyźnie. Odarto nas z tylu skarbów, niech choć to zostanie.
- Po co?
- Jak to po co? Mam nadzieję, że nasz ród nie wygaśnie. Edek jest młody i będzie miał dzieci. Może które z nich zechce osiąść w Polsce... Nic nie wiadomo
- Jeśli oddasz Bukły temu... temu...
- Nie żadnemu „temu”, ale wnukom cioci Kisi. Jeden z nich nazywa się tak jak my, Sawoniewicz.
- Ale ten drugi...
- Ten drugi kocha Bukły tak, jak ty nigdy byś nie potrafiła. To dla niego była nadzieja, rozumiesz? Dzięki temu, dzięki tej miłości do gniazda, ciocia Kisia mogła przeżyć piekło, a wspominając przeszłość, wracała do najszcześniejszych lat swego życia. I potrafiła w nich, w te biedne dzieci przelać swoją miłość i tęsknotę. Nie zapominaj o tym.
- No dobrze, ale...
- Ja miałem równie szczęśliwe dzieciństwo jak wy. Pamiętałem

zawsze o Bukłach, o naszym domu, matka nie dała mi zapomnieć. I może, gdyby żyła, kazałaby jechać do Polski natychmiast po upadku komunizmu. Ale ja bałem się. Bałem się zastać to, co zastałem. Nie wiesz, jak to boli.

- Przepraszam, tatusiu, nie chciałam ci zrobić przykrości.
- Wiem, dziecko, wiem. A poza tym posłuchaj jeszcze. Ciocia Ki-sia wtajemniczyła wnuków. Opisała im miejsce, narysowała skrytkę. Wasia, gdyby był taki, za jakiego go uważasz, dawno już zawładnąłby rodzinną pamiątką. Wiedział przecież, co to było. Jednak nie ruszył tego. Zapytałem go raz.
- Gdy się dowiedziałem o kuzynach, o wuju, nie mogłem tego ruszać. To

własność wuja.

- To własność naszej rodziny - tak mu odpowiedziałem.

A on dodał jeszcze, że w skrytce skarb był bezpieczny.

- Leżał sześćdziesiąt lat, to i drugie tyle przeleży - tak mi odpowiedział.

- Zgrywa się przed tobą.

- Nie, nie zgrywa się. I powiem ci, że mało jest ludzi tak szlachetnych i uczciwych jak on.

- Doprawdy, tatusiu, przesadzasz. Ten oszust i złodziej ma być szlachetny i uczciwy! - prychnęła.

- Dobrze, chwilowo nie mówmy o tym.

- To co zrobimy z tą tacą?

- Tymczasem jest bezpieczna, bo nikt o niej nie wie.

- A kiedy dasz do jubilera, do oczyszczenia?

- Nie tutaj. W Warszawie. I musi to być jubiler znajomy, którego dyskrecji możemy być pewni.

- Skąd takiego wziąć?

- Zapytamy pani Jaszuńskiej. Ma takie piękne perły, że do przewlekania ich z pewnością jeździ do stolicy. To stara rodzinna pamiątka po prababce, jak mi mówiła. Cud, że udało się jej dziadkowi wywieźć to z Wilna podczas tak zwanej repatriacji.

- A gdy wyjedziemy, gdzie zostawisz tacę?

- Mamy jeszcze czas. Pomyślimy, naradzimy się. Gdy dom zostanie odbudowany, Wasia robi tam skrytkę, że nikt nie znajdzie. Tę pamiątkę należy przechować dla przyszłych pokoleń. Zresztą może kiedyś pokażemy ją światu. Tymczasem to niebezpiecznie. Złodzieje włamują się do muzeów, okradają kościoły, bezczeszczą sanktuaria. Proszę cię, nie mów o tym nawet Śliwom.

145

zawsze o Bukłach, o naszym domu, matka nie dała mi zapomnieć. I może, gdyby żyła, kazałaby jechać do Polski natychmiast po upadku komunizmu. Ale ja bałem się. Bałem się zastać to, co zastałem. Nie wiesz, jak to boli.

- Przepraszam, tatusiu, nie chciałam ci zrobić przykrości.

- Wiem, dziecko, wiem. A poza tym posłuchaj jeszcze. Ciocia Ki-sia wtajemniczyła wnuków. Opisała im miejsce, narysowała skrytkę. Wasia, gdyby był taki, za jakiego go uważasz, dawno już zawładnąłby rodzinną pamiątką. Wiedział przecież, co to było. Jednak nie ruszył tego. Zapytałem go raz.

- Gdy się dowiedziałem o kuzynach, o wuju, nie mogłem tego ruszać. To własność wuja.

- To własność naszej rodziny - tak mu odpowiedziałem.

A on dodał jeszcze, że w skrytce skarb był bezpieczny.

- Leżał sześćdziesiąt lat, to i drugie tyle przeleży - tak mi odpowiedział.

- Zgrywa się przed tobą.

- Nie, nie zgrywa się. I powiem ci, że mało jest ludzi tak szlachetnych i uczciwych jak on.

- Doprawdy, tatusiu, przesadzasz. Ten oszust i złodziej ma być szlachetny i uczciwy! - prychnęła.

- Dobrze, chwilowo nie mówmy o tym.

- To co zrobimy z tą tacą?
- Tymczasem jest bezpieczna, bo nikt o niej nie wie.
- A kiedy dasz do jubilera, do oczyszczenia?
- Nie tutaj. W Warszawie. I musi to być jubiler znajomy, którego dyskrecji możemy być pewni.
- Skąd takiego wziąć?
- Zapytamy pani Jaszuńskiej. Ma takie piękne perły, że do przewlekania ich z pewnością jeździ do stolicy. To stara rodzinna pamiątka po prababce, jak mi mówiła. Cud, że udało się jej dziadkowi wywieźć to z Wilna podczas tak zwanej repatriacji.
- A gdy wyjedziemy, gdzie zostawisz tacę?
- Mamy jeszcze czas. Pomyślimy, naradzimy się. Gdy dom zostanie odbudowany, Wasia robi tam skrytkę, że nikt nie znajdzie. Tę pamiątkę należy przechować dla przyszłych pokoleń. Zresztą może kiedyś pokażemy ją światu. Tymczasem to niebezpiecznie. Złodzieje włamują się do muzeów, okradają kościoły, bezczeszczą sanktuaria. Proszę cię, nie mów o tym nawet Śliwom.

145

M

- Nie ufasz im?
 - Ależ ufam, ale mogą niechcący wspomnieć w rozmowie z kimś... A takie wiadomości rozchodzą się szybko. To swego rodzaju sensacja. Wyobrażasz sobie, gdyby się dowiedziano, że Sawo-niewiczze odnaleźli skarb ukryty przed wojną? Co by się działo? Prasa, radio, telewizja... Nie daj Boże, Juleczko. Wiemy tylko my dwoje i oni.
 - O wiele za dużo. Jeżeli oni wiedzą...
 - Ich jestem pewien, podobnie jak ciebie.
- Pani Jaszuńska przywiozła z Warszawy dobre wiadomości. Ministerstwo załatwiło pozytywnie sprawę klienta i Franciszek Sawonie-wicz, choć obywatel francuski, został uznany za prawowitego właściciela resztki, co pozostała z Bukłów, zezwolono też na remont domu.
- Roboty rozpoczęto uroczyście: proboszcz pokropił „rudere”, odmówił łacińską modlitwę i odjechał, zabierając Wasię, który w miasteczku chciał złapać autobus do Białegostoku. Nie był wolny, pracował.
- Ojciec z córką i Leo co dzień zaglądali na plac budcwy. Do jesiennych deszczów inżynier chciał mieć dom pod nowym dachem. Potem można już było wykonywać wszelkie roboty wewnątrz budynku.
- Pierwsza rzecz to stropy - oznajmił. - Następnie schody. Kosmetyka na końcu.
 - No a ściany? - spytał Franciszek Sawoniewicz.
 - Ściany są mocne, bo mocne są fundamenty. Głęboko wkopane, solidne. Dziś tak, niestety, nie budują.
 - Dlaczego?
 - Spieszą się i chcą, żeby było taniej. Te pudełka, zwane szumnie „willami”, to czysta tandeta. Ja takich nie stawiam.
 - Czy mogę być pewny dobrej jakości materiałów?

- Może pan. Ten pański krewniak o rosyjskim nazwisku pilnuje wszystkiego i wszystkim patrzy na ręce. Ale to dobrze. Ja nie mogę się rozdziwić.

Ojciec spojrział wymownie na Julę.

- Widzisz - powiedział - Wasia to najlepszy dozorca. Możemy wyjechać spokojnie. On dopilnuje wszystkiego.

146

- Nie chce mi się wyjeżdżać - powiedziała w powrotnej drodze do miasta. - Tak się tu rozleniwiłam...

- Zostań - zaproponował Leo, a zwracając się do wuja dodał -zaopiekuję się nią.

- Dziękuję, Leo - zaśmiała się - nie jestem taka łatwa do opieki, jak ci się wydaje. Tatuś wie coś o tym.

- Ja jestem cierpliwy - powiedział poważnie Leo.

Bardzo się ostatnio poprawił i dzięki temu poprawił się stan jego zdrowia. Za to Wasia znowu schudł i zmizemiał, przez co znowu stał się brzydszy. Zaczynał pracę o siódmej, nie jadł obiadu, lecz wypijał jogurt i zjadał kanapkę. Wszystko po to, by kończyć wcześniej i jechać na budowę. Okazało się przy tym, że sam inżynier słuchał rad, jakich mu udzielał i nie gardził jego sugestiami.

- Zna się, bestia, na wszystkim - mówił do swego technika. -Skąd u licha on to wie?

- Ci ruscy to czasem mają smykałkę - odpowiadał technik. - Pracowałem raz z takim jednym, zatrudnił się na budowie na czarno, ale pierwszorzędny był z niego elektryk.

Budowa więc, jak mówiono, zaprzętała wszystkie myśli właścicieli. Pogoda na szczęście dopisywała, lipiec był suchy i upalny.

- A tam Edek sam w najgorętszym czasie - narzekał ojciec. - Sezon turystyczny w pełni, a my tu.

- Ale my tu potrzebni - odpowiadała. - Bukły teraz najważniejsze.

Edek kłął w telefonie Bukły oraz dziwactwa ojca i siostry, dawał sobie jednak jakoś radę.

- Na początku sierpnia wrócimy - obiecywała.

- Nie wiadomo - dodawał ojciec. - Wszystko zależy od tej pożyczki... kiedy wreszcie bank się zdecyduje.

- Zbierają informacje o twojej wypłacalności - przypominała. -Całe szczęście, że nasza firma dobrze jest notowana na francuskim rynku turystycznym. Nie mieliśmy nigdy żadnych skarg. Klienci byli zawsze zadowoleni z naszych usług.

- Czekajmy więc.

I czekali i coraz lepiej poznawali to, co zostało z Bukłów.

Śliwa przysłał im dzierzawcę na stawy.

- Oczyszczę wodę z mułu i z nadmiaru wodorostów i trzcin -zapewniał ów pan Szarkowicz. - Zgruntuję dno, może coś tam jeszcze ocalało z ryb.

147

- Nic nie ocalało - twierdził Śliwa. - Ludzie wyłowili wszystkie karpie, jakie jeszcze zostały.

Spisano umowę w kancelarii pani mecenas i nowy dzierżawca przystąpił do pracy.

- Na jesieni posadzimy drzewka owocowe - mówił Leo. - Tak chce Wasia.

Będzie zaczątek nowego sadu, a potem trzeba wszystko grodzić.

- Ale nie tą ohydłą siatką - wstrząsnęła się Jula. - Tu wszędzie taka moda, ale to mi się nie podoba.

- Muru niestety nie zbudujemy - uśmiechnął się Leo - chyba jaki taki płot.

- Każdy będzie lepszy od siatki - upierała się.

- Zobaczmy, co powie Wasia.

Ale Wasia był trudny do uchwycenia, prawie go nie widywali. A na budowie okazał się bardzo potrzebny.

Raz o wczesnym zmierzchu do Bukłów zajązował doktor Śliwa. Miał teraz wakacje, odpoczywał w domu i pracował nad rozprawą habilitacyjną. Naturalnie o Horacym.

- Co ty tu robisz o tej porze? - zdziwił się ujrzawszy Wasię na stosie desek.

- Cholera, wszędzie złodzieje, wszystkiego trzeba pilnować. O tu, widzisz, pod tymi deskami wczoraj znalazłem stare, nadgniłe. Chcieli je wstawić w stropy.

Wyobrażasz sobie? Łotry... Zwymyślałem majstra, odesłałem całą ciężarówkę. Dziś przywieźli dobre, nowe deski, o te - dotknął drewna. - Wszystkich trzeba pilnować.

- I ty tak... co dzień?

- Co dzień po pracy. Do miasteczka autobusem, a potem drałuję piechotą.

- I wracasz autobusem?

-Tak.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Przecież ja jestem wolny, byczę się w domu. A ty... Jak ty wyglądasz? Taki sam chudy i mizerny jak po przyjeździe.

- Ech, co tam ja... Chodzi o Bukły... o ten dom. Myślę teraz, jak to wszystko ogrodzić. Jula nie chce siatki, bo to brzydko... A drewno drogie. Może niski murek z cegieł... Jest tu gdzie blisko cegielnia? Nie wiesz?

- Gdzieś powinna być. Spytań ojca.

148

- Można by nad ceglany murkiem wznieść drewniany parkan. Byłoby ładnie. Wszystko zależy od pieniędzy, od bankowej pożyczki. Jeszcze wuj nie ma decyzji, choć obiecują...

- Jadłeś co?

- Nie wiem, może jadłem. Tak gorąco, że nie mam apetytu... Piłbym tylko ciągle coś zimnego.

- Słuchaj, Wasia, długo tak nie pociągniesz.

- Muszę, póki trzeba.

- Że wuj ci tak pozwala...

- Wuj jest łatwowski... widać w tej Franq'i mniej złodziei niż u nas. Wierzy w firmę. A firma co? „Nie rozerwę się - mówi inżynier". A ja muszę dwoić się i troić.

- Co robi panna Jula? Dawno jej nie widziałem.

- Razem z wujem i z moim bratem co dzień tu przyjeżdżają przed południem.

Ale oni nie widzą tego, co ja zobaczę, a ja zaglądam wszędzie. Zostaję po odejściu

robotników i wszystko sprawdzam. „Pańskie oko konia tuczy”, tak mówiła babcia. A ja choć nie pański...

- Pojedziemy do nas na kolację...
- Nie, dziękuję. Jeśli możesz, podrzuć mnie do miasteczka, żebym trafił na autobus.
- Odwiozę cię do Białegostoku.
- Nie trzeba, rodzice będą niespokojni.
- Zadzwoń z miasta.

W samochodzie Wasia odchylił się na oparcie i przymknął oczy.

- Wyglądasz, jakbyś miał zaraz wyciągnąć kopyta - przestraszył się doktor. - Żle się czujesz?

- Nic mi nie jest. Zwykle zmęczenie.

Zmęczenie jednak nie było zwykłe.

Wieczorem Wasia walił się na łóżko i natychmiast zasypiał.

Leo, leżąc, czytał swoich ukochanych wieszczów.

W sobotę wuj zaprosił braci na kolację.

- Czy w nocy nikt nie pilnuje budowy? - zainteresował się Wasia. - Mówił inżynier, że jest tu jakiś nocny stróż, ale nigdy go nie widziałem, choć siedzę do zmroku.

- Mnie też mówił. Podobno człowiek ten przychodzi o dziesiątej. Mieszka tu w okolicy. A co, czy obawiasz się...

- Obawiam się. Już raz do nowych desek dołożyli stare zgniłe drewno. Na szczęście zauważyłem.

149

#

- Co takiego? Zgniłe drewno...? Ależ inżynier zapewnił, że używa najlepszego materiału.

- Może by i zauważył oszustwo - pokiwał głową Wasia. - Wuju, proszę raz jeszcze pokazać tacę. Drzę o nią.

- Nikt przecież nie wie...

- Tak. Mam nadzieję, że nikt. Właśnie obmyślam skrytkę w domu... Najlepiej na piętrze... Narysowałem już kilka projektów.

Po kolacji poszli na górę, do pokoju wuja.

- W tej walizce jest bezpieczna - uspokoił ich właściciel pamiątki.

- Chyba, że ktoś zabierze całą walizkę.

- Jest duża i widoczna. Hotel dba o dobrą reputację i chyba zatrudnia uczciwych ludzi.

- Nie ma uczciwych ludzi.

- Nie sądź wszystkich po sobie - rozgniewała się Julia.

- Nie sądzę.

- Cicho, dzieci - wmieszał się wuj i otworzył szafę.

Wpatrywali się milcząc w Orła i Pogoń, a potem odczytywali napis.

- Nasza relikwia - szepnął Wasia.

- Kiedy był trzeci i ostatni rozbiór Polski? - zapytała Julia. - Zapomniałam daty.

To było gdzieś w latach dziewięćdziesiątych, dwa wieki temu, prawda? We Franq'i terror i rewolucja.

- Dziewięćdziesiąty piąty rok - przypomniał ojciec. - To się działo na tym ostatnim haniebnym sejmie w Grodnie. Króla zmuszono do abdykacji, nie pozwolono wrócić do Warszawy. Był już niczym, rosyjskim więźniem. Umarł w Petersburgu, w kilka lat potem.

- Biedny - westchnął Leo. - Stanisław August to tragiczna postać. Babcia nam opowiadała...

- Tak, tragiczna. Na miarę Szekspira. Nie wiadomo zresztą, czy umarł śmiercią naturalną. Mówiono o truciznie. Jego szczątki też nie znalazły spokoju. Przed wojną wydano nam królewską trumnę, spowodowało to wielkie poruszenie w społeczeństwie. Pamiętam, jak rodzice o tym dyskutowali. Pisały gazety, mówiło radio.

- A o co chodziło?

- O to, Juleczko, czy wart jest grobu na Wawelu, wśród naszych królów i bohaterów, czy nie. Uznano, że nie i trumnę umieszczono w podziemiach kościoła w Wołczynie, dawnych dobrach Poniatowskich. Wojna jednak odcięła tę miejscowość, jak i całe Kresy od Polski i pozostawiła w rękach barbarzyńców.

150

m * m

- A teraz?

- Przed kilku laty pojechała specjalna komisja historyków do Wołczyna, uzyskawszy zgodę białoruskiego rządu. Czytałem o tym w „Życiu Warszawy” i w paru tygodnikach. Nic tam już nie pozostało. Kościół był w ruinie, trumny w podziemiu rozbite, po walających się resztkach latały szczury. Zebrano kilka kości, nie wiadomo zresztą czyich i kawałek szkarłatnego aksamitu, okrywającego zwłoki króla. Wszystko to przywieziono do Polski i pochowano w warszawskiej katedrze, obok Sienkiewicza i prymasa Wyszyńskiego.

- Co łączyło króla z naszym przodkiem?

- Nie wiadomo. Chyba coś ważnego. Chodziło jednak o dyskrecję i dlatego prezent, wyraz królewskiej wdzięczności, nie mógł być zbyt okazały. Napis na spodzie tacy mógł ujść niepostrzeżony. O to przecież chodziło. Królowi jednak zależało na podziękowaniu.

- Ciekawa musiała być rozmowa między nimi - zauważył Leo.

- Przypuszczalnie odbyła się bez świadków. Aha, jeszcze jedną rzecz pamiętam.

- Jaką?

- Wszyscy polscy królowie po koronacji odbywali pielgrzymkę do Częstochowy. Świadczą o tym zachowane do dziś w jasnogórskim skarbcu pamiątki, dary jakie przywozili. Stanisław August był jedynym królem, który nie dopełnił tego obrzędu.

- Dlaczego?

- Człowiek Oświecenia... nie miał widać tej religijności, jaka cechowała jego poprzedników, bo nawet Sasi, chcąc zyskać popularność w narodzie, uszanowali ten zwyczaj. Gdyby nie ówczesna katastrofalna sytuacja Polski, Stanisław August byłby znaczącym królem, bo nawet wówczas potrafił zdziałać wiele dobrego.

- Uważam, że powinien być przed wojną spocząć na Wawelu - oświadczyła Julia.

- Ja też tak uważam. Może kiedyś historia osądzi go sprawiedliwiej.
- Dzwoniła pani Jaszuńska - oznajmiła gospodyni, gdy tylko weszli do domu. - Prosi o telefon.

- Ty idź - powiedział Leo. - Ja ledwie trzymam się na nogach.

Adwokatka wyraźnie ucieszyła się słysząc głos Wasi.

151

- A teraz?

- Przed kilku laty pojechała specjalna komisja historyków do Wołczyna, uzyskawszy zgodę białoruskiego rządu. Czytałem o tym w „Życiu Warszawy” i w paru tygodnikach. Nic tam już nie pozostało. Kościół był w ruinie, trumny w podziemiu rozbite, po walających się resztkach latały szczury. Zebrano kilka kości, nie wiadomo zresztą czyich i kawałek szkarłatnego aksamitu, okrywającego zwłoki króla. Wszystko to przywieziono do Polski i pochowano w warszawskiej katedrze, obok Sienkiewicza i prymasa Wyszyńskiego.

- Co łączyło króla z naszym przodkiem?

- Nie wiadomo. Chyba coś ważnego. Chodziło jednak o dyskrecję i dlatego prezent, wyraz królewskiej wdzięczności, nie mógł być zbyt okazały. Napis na spodzie tacy mógł ujść niepostrzeżony. O to przecież chodziło. Królowi jednak zależało na podziękowaniu.

- Ciekawa musiała być rozmowa między nimi - zauważył Leo.

- Przypuszczalnie odbyła się bez świadków. Aha, jeszcze jedną rzecz pamiętam.

- Jaką?

- Wszyscy polscy królowie po koronacji odbywali pielgrzymkę do Częstochowy. Świadczą o tym zachowane do dziś w jasnogórskim skarbcu pamiątki, dary jakie przywozili. Stanisław August był jedynym królem, który nie dopełnił tego obrzędu.

- Dlaczego?

- Człowiek Oświecenia... nie miał widać tej religijności, jaka cechowała jego poprzedników, bo nawet Sasi, chcąc zyskać popularność w narodzie, uszanowali ten zwyczaj. Gdyby nie ówczesna katastrofalna sytuacja Polski, Stanisław August byłby znaczącym królem, bo nawet wówczas potrafił działać wiele dobrego.

- Uważam, że powinien być przed wojną spocząć na Wawelu - oświadczyła Julia.

- Ja też tak uważam. Może kiedyś historia osądzi go sprawiedliwiej.

- Dzwoniła pani Jaszuńska - oznajmiła gospodyni, gdy tylko weszli do domu. - Prosi o telefon.

- Ty idź - powiedział Leo. - Ja ledwie trzymam się na nogach. Adwokatka wyraźnie ucieszyła się słysząc głos Wasi.

151

- Chciałabym jutro pojechać do Bukłów i zobaczyć budowę - powiedziała na wstępie. - Pojedzie pan ze mną?

- Pojadę.

- O jedenastej bywam na mszy w katedrze. Możemy się tam spotkać. Dobrze?

- Dobrze - zgodził się skwapliwie.

- Czego chciała pani Jaszuńska?

- Żeby pojechać z nią na budowę. Jest ciekawa...

- A nasza wycieczka? Doktor Śliwa obiecał...

- Pojedziecie beze mnie.

W kościele było tłoczno, jak zwykle w niedzielę, ale dojrzał od razu granatową suknię z marynarskim kołnierzem i jakieś białe dodatki.

Czekał na nią przy wyjściu.

- Zbyt piękny dzień, by siedzieć w mieście - zauważyła po przywitaniu. - A może popsułam panu jakieś plany? - przestraszyła się.

- Nie, nie - odparł z uśmiechem. - Zrobiła mi pani wielką radość.

- To się cieszę. W bagażniku jest koszyk z obiadem. Zjemy na trawie. Jak u Renoira. Zna pan ten obraz?

- Z reprodukcji i też babci to zawdzięczam.

- Cudowną miał pan babcię. - Zapuściła motor. - W moim życiu największą rolę odegrał dziadek.

- A... rodzice?

- Zginęli w katastrofie samochodowej. Oboje razem. Akurat zdałam maturę.

- Wyobrażam sobie - zaczął.

- To trudno wyobrazić - przerwała. - Wydawało mi się, że świat runął. I gdyby nie dziadek... Był cudowny. Ale i jego straciłam.

- Najgorsze to pochować wszystkich najbliższych i zostać ostatnim.

- Pod tym względem pan był w szczęśliwszym położeniu. Miał pan brata.

- Ale wówczas... Pani wie, jakim byłem wówczas.

- Wiem.

- Dziękuję, że zaprosiła mnie pani w niedzielę... na mszę... Czy pani wie, co czułem, gdy pierwszy raz wszedłem do kościoła?

- Wyobrażam sobie.

- Tam, w miasteczku... I przeczytałem tablicę, którą ufundował

152

pan Śliwa. Kościół był pusty. Siadłem w ławce i przesiedziałem tak parę godzin.

Wszystko odżyło... Babcia i to co mówiła... I mama... No i Bukły...

- Rozumiem.

- Tak, pani rozumie, tylko pani.

- Nie tylko ja. Leo też rozumie, czuje tak samo.

- Tak, wiem.

Patrzył na jej ręce na kierownicy, wąskie o długich palcach, ukryte teraz w rękawiczkach z cienkiej białej skórki. Na czwartym palcu rysował się wypukło brylant w pierścionku, widział go już parokrotnie.

Na szosie był ruch, mijali samochody z rozbawioną młodzieżą, ale w Bukłach było cicho i pusto. Z otwartych drzwi domu wyszedł dozorca, a duży biały pies przyjął ich głośnym szczekaniem.

- Cicho, Azor - powiedział człowiek podchodząc do samochodu.

- Przyjechaliśmy pana zwolnić na kilka godzin - Wasia witał się z psem. - Proszę nam zostawić Azora.

Rozesłał koc na trawie, w cieniu ocalałego grabu, Azor skwapliwie przyłączył się do towarzystwa.

- Proszę pana - dozorca zwlekał z odejściem. - Chcę pana ostrzec.

- Przed czym?

- Przed tym Ćmielakiem. Zły na pana. Buntuje ludzi. To on, te spróchniałe deski... Chwyta, co może, trudno upilnować. Już mówiłem panu Inżynierowi... -Ico?
- Nic. „Za rękę nie złapałeś - powiada - to i milcz". Ale on grozi.
- Mnie?
- Tak. Mówi, że pan tu za bardzo nos wtyka. „To - powiada -nie jego rzecz. Czego się wtrąca?" O panu mowa. Gadał już ludziom, że jak pan nie przestanie, to on wszystko z dymem puści, a pana to tak urządzi, że nie będzie co zbierać.
- Trzeba go zwolnić.
- Inżynier mówi, że nie można. Żona przychodziła, skarżyła się, on pije, pieniędzy nie daje, dzieci głodne...
- Rzeczywiście trudna sprawa. Pogadam z nim.
- Nie daj Boże!
- Ja się nie boję.

153

- On, jak podpije, to niebezpieczny. To mocny chłop, nie dałby mu pan rady.
- Zobaczymy.
- Co pan robi? - spytała, gdy zostali sami.
- Pogadam z chłopem.
- Obawiam się, że to nic nie da.
- Wspomniałem pani, że jakiś czas pracowałem w KUKU, to Uralsko-Kuźniecki Kombinat. Huty i kopalnie. Byłem w Magnito-gorsku, dziś wielkie miasto, mają tam rudę żelaza i metale kolorowe, węgiel dowożą z Kuźniecka, tam pracują tysiące ludzi. W hutach, w kopalniach, w przemyśle chemicznym. Ciężka praca.
- Dlaczego pan tam poszedł?
- Bo lepiej płacili. Wiele tam się nauczyłem i niełatwo mnie teraz oszukać. Tam też kradli, jak wszędzie w Rosji. Mama mnie zabrała. Babcia śniła, że umieram, a mało już brakowało, tak byłem chory. „Będziemy jeść suchy chleb - powiedziała, gdy wróciłem - ale nie dam ci się zmarnować tam, gdzie zmarnowano tylu naszych bohaterów". Nie żałuję tego doświadczenia, dużo mi dało. Poznałem ludzi, wiem do czego są zdolni, i mam się na bacności.
- Ma pan za sobą przeżycia, których zakosztował«} niewiele osób. Wywiezieni albo zmarli, czy zginęli, albo po wojnie wrócili. Jeszcze w pięćdziesiątym szóstym wracały ostatki. Liczyło się na dwa miliony osób bezprawnie aresztowanych i deportowanych w nieludzkich warunkach do tej równie nieludzkiej ziemi.
- Jak mnie mama zobaczyła, rozplakała się, tak okropnie wyglądałem.
- Teraz też pan źle wygląda. Proszę się oszczędzać.
- Jak stanie dom, i Leo i ja tu zamieszkamy... może już tej zimy, choć w części dom będzie gotowy. Mam różne plany. Chciałbym mieć gospozię i człowieka do cięższej roboty. Inżynier założy centralne ogrzewanie, tylko jeszcze nie zdecydowaliśmy, jakiego użyjemy paliwa. Żeby Leo miał odpowiednie warunki, to dla mnie najważniejsze, ja będę w dalszym ciągu pracował w Białymstoku.
- Czy pan poradzi?

- Muszę.
- W takim razie jestem pewna, że pan poradzi.

Rozpakowała koszyk. Wśród obiadowych smakołyków znalazło się i „danie” dla Azora.

154

wt* m

Wasia nie spuszczał wzroku z jej rąk. Za każdym ruchem brylant rozjarzał się tysiącem blasków.

Słońce było hojne tego lata i nie szczędziło promieni.

Oprowadził ją po „budowie”, pokazał, objaśnił. Dom wskrzeszony mocą jego woli i pragnienia ożywał, piękniał w oczach, wygodny i zasobny. Jak niegdyś.

- Widzi pani, jak to będzie? - pytał chwilami.
- Widzę - odpowiadała z przekonaniem.

Azor, równie zainteresowany, postępował za nimi.

Cień tymczasem przesunął się dalej i trzeba było przenieść koc pod inne drzewo.

- Gdyby starczyło mi śmiałości - zaczął Wasia - zadałbym pani jedno pytanie.
- Proszę zadawać.
- Boję się, że pani nie odpowie.
- Odpowiem na każde.
- Dlaczego taka kobieta jak pani nie wyszła za mąż?
- Jaka? - zdziwiła się.
- Taka niezwykła... - Nie patrzył na nią. - Wspaniała... piękna... Niedostępna i nieosiągalna jak gwiazda - zakończył szeptem.

- Więc dowiedział się pan.

- To nie było trudne.

- Rzeczywiście znają mnie w Białymstoku. Dawno tu mieszkam. Ale pan się myli. Daleko mi do gwiazd i do niezwykłości. A że nie mam męża... Złośliwi uważają, że jestem zbyt wybredna.

- Ma pani prawo... Ciekaw jestem... - zamilkł.

- Czego?

- Jacy byli ci wszyscy mężczyźni...

- O kim pan mówi? Jacy mężczyźni?

- Pani wielbiciele. Przecież musieli być i było ich z pewnością wielu.

- Było - przyznała. - Czy tak wielu? Nie wiem. Może kilku.

- Jacy oni byli?

- Jak to „jacy”?

- Jaki był ich wygląd, co sobą przedstawiali i w ogóle...

- Dwóch było przystojnych, jeden interesujący. A reszta... Mieli dobre stanowiska. Dobrze zarabiali. Ich żona nie potrzebowałaby

155

pracować. Ale ja lubię swoją pracę i nie mogłabym jej rzucić. Tak pana interesuje moja osoba - stwierdziła po chwili.

- Pani wie.
- Nie jestem pewna, czy wiem.

- Proszę być pewna.

Azor szczechnął przez sen i pomachał ogonem.

- Byli to wszystko ludzie wykształceni - podjął znowu. - Dobrze wychowani...

- Tak. Wykształceni. Czy dobrze wychowani? Miałam co do tego wątpliwości. Naturalnie, byli obcy, znali podstawowe zasady tak zwanego „dobrego wychowania”. Ale nic poza tym.

- Te wszystkie pytania, które odważyłem się pani zadać - spojrzał na nią - świadczą o zupełnym braku jakiegokolwiek wychowania. To zwykłe chamstwo z mojej strony. Wiem. I tak osądziłyby mnie babcia. Ona zawsze mówiła o „manierach”, że taki właśnie sposób bycia, zachowania się, ułatwia stosunki z ludźmi, uprzyjemnia życie. Ale środowisko, w którym żyliśmy, dalekie było od zrozumienia owych zasad. Nie wiedzieli w ogóle o ich istnieniu. Do czego było im to potrzebne, tym ludziom, których zainteresowania kręciły się wokół sztuki zdobywania artykułów pierwszej potrzeby, wychwalania przy każdej okazji Rewolucji Październikowej i jej twórców, dziękowania za szczęście, jakim ich obdarzono, za ustrój, w którym żyli i przeklinania „podłych imperialistów”. To przecież ci ostatni byli wszystkim winni. Brakom w sklepach i ciężkim warunkom bytowania. Znając więc zasady, nie mogłem nigdy wprowadzić ich w czyn, nikt bowiem nie traktował mnie z jakąś wyszukaną grzecznością, choć przyznaję, zetknąłem się parokrotnie z życzliwością tych ludzi. Co innego pani wielbiciel. Ja przy nich to jak świeczka przy słońcu.

- Nie powiedziałałabym tego.

- Od początku okazuje mi pani wiele... litościwej pobłażliwości.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Bo tak jest! - wybuchnął. - Nie mam się czym ludzić. Litość. Budzę tylko litość w pani dobrym sercu. Nic więcej.

- Jedynie ja wiem, co pan budzi w moim „dobrym” sercu.

- Pani sobie żartuje. Dla mnie nie ma żadnej nadziei.

- Nadziei? Na co?

- Na szczęście. - Powiedział to tak cicho, że ledwie usłyszała.

Podniosła się i obciągnęła suknię.

156

- Może trochę pospacerujemy - zaproponowała.

Zerwał się natychmiast.

Azor ziewnął szeroko, ukazując różową głąb paszczy i wstał gotów do przechadzki.

- Przyznano panom polskie obywatelstwo - oznajmiła nagle. - Wczoraj dostałam wiadomość. Wkrótce nadejdzie na panów adres oficjalne zawiadomienie

- Jakże pani dziękować... Tak szybko załatwili... Pan Śliwa mówił, że to może trwać rok albo i dłużej.

- Różnie bywa - uśmiechnęła się. - Zastanówmy się teraz nad formą pańskiego imienia.

- Nie rozumiem.

- Pan się nazywa Wasyl Korsunow, syn Iwana Korsunowa i Marii Sawoniewicz.

Czy tak?

-Tak.

- Może spolszczyć pańskie imię. Bazyli. Jak się panu podoba?
- Chyba zdecydowanie lepiej brzmi niż Wasyl.
- Lepiej - przyznała. - Pójdę z panami do urzędu na ustalenie danych personalnych i po odbiór dowodów.
- Doprawdy... Zadaje sobie pani tyle trudu...
- Są panowie moimi klientami. Klient płaci i ma prawo wymagać. - Uśmiechnęła się znowu. Patrzyła gdzieś daleko, ponad czubkami drzew, jakie oszczędziła niszczycielska ręka barbarzyńców.
- A jak pani będzie mnie nazywać? - pochylił się nad krzakiem dziko rosnącej ostróżki.
- Bazyl - odparła bez namysłu. - Tak mi się najbardziej podoba.
- Dla wszystkich innych nadal będę Wasią - dodał z goryczą.
- Tak nazywały pana one... mama i babcia - przypomniała. -I tak nazywa pana Leo.
- Tak, ale pani...
- Ja postąpię podobnie jak Napoleon.
- Co zrobił Napoleon?
- Gdy był jeszcze tylko generałem Bonaparte poślubił wdowę po panu de Beauharnais, którego zgilotynowano. Na chrzcie dano jej trzy imiona: Róża, Maria, Józefa. Do czasu drugiego małżeństwa nazywano ją Różą. Dopiero generał Bonaparte, chcąc przypuszczalnie odciąć się od przeszłości, nazwał ją Józefiną. I tak przeszła do historii. Cesarzowa Józefina.
- Ja niestety nie mam szans na przejście do historii.

157

- Nic nie wiadomo, czego pan tu dokona.
- Czegóż ja mogę dokonać?
- Bardzo wiele. Wskreszenie Bukłów to pana zasługa. Pozostanie jeszcze do przeprowadzenia akt prawny w związku z przepisaniem na panów prawa własności.
- Czy to już postanowione?
- Tak, jest to życzenie pana Sawoniewicza. Załatwimy to przed jego wyjazdem. Przerwało im radosne szczekanie Azora.
- Jestem, jestem, przepraszam, że tak długo mnie nie było -usprawiedliwiał się dozorca.

- Długo? - zdziwiła się pani mecenas. - Nie zauważyłam.

Podeszła do samochodu.

Obudził się w nocy i nie mógł już zasnąć. Czuł się źle. Powietrze było ciężkie, jak przed burzą, i mimo otwartego okna najlżejszy choćby powiew nie poruszał firanki. Spod przeciwległej ściany słyszał ciężki oddech śpiącego Wasi.

A potem nagle przyszedł ból. Z początku lekki, szybko jednak przybierał na sile. Leo wyciągnął rękę po flakonik z nitrogliceryną. Leżał na plecach i głęboko oddychał. Ból powoli ustępował, sen jednak nie wracał.

Leżał i rozmyślał. Przeszłość... terażniejszość... Mama... Babcia... Bukły... I Wasia... nieludzko zmordowany.

Obudził się o dziewiątej i wcale nie chciało mu się wstawać. Zerwał się dopiero, gdy

sobie uprzytomnił, że za godzinę przyjadą po niego, wuj i Jula. Ale tego dnia jakoś nie cieszyła go perspektywa wycieczki „na budowę”.*

W mieszkaniu było cicho. Wszyscy przecież pracowali, a gospodyni poszła widać po zakupy. W kuchni postawił czajnik na gazie. Po prysznicu poczuł się lepiej i nawet z apetytem zjadł śniadanie.

Wuj był jakiś niespokojny i milczący, za to Jula ożywiona i wesoła całą drogę opowiadała, jak urządzi dom po remoncie.

- Coś taki nieswój? - spojrzała w pewnej chwili na kuzyna. - Nic nie mówisz...
- Za to ty, Juleczko, mówisz za nas obu - odpowiedział ojciec.
- Ktoś musi mówić, jeśli z was takie dziś mruki...
- Czuję w powietrzu burzę...
- Ja też - dodał Leo. - Nie ma czym oddychać.
- Pojedziemy na obiad do Śliwów - oznajmił wuj. - Dzwonili wczoraj...
- Będzie burza - przywitał ich inżynier. - I pewnie ulewa. Bardzo mi to nie na rękę. Proszę, niech pan spojrzy, jakie udało mi się dostać gonty. Zupełnie jak przedwojenne.

159

Obejrzeliby gonty, pokręcili się koło domu, poszli do kapliczki - Jula ciekawa skrytki, za każdą bytnością oglądała tajemnicze miejsce.

W południe chmury zaciągnęły niebo, gdzieś daleko zagrzmiało.

- Jedźmy do Śliwów - zdecydował wuj. - Tam przeczekamy burzę.

Ale burza nie nadchodziła. Po godzinie niebo pojaśniało.

- Poszła bokiem - oznajmił Śliwa.
- Szkoda - zauważył doktor. - Gdyby nastąpiło wyładowanie, wszyscy poczulibyśmy się lepiej.

- Gdzie moja bransoletka? - zawołała nagle Jula przy deserze.

- Może zostawiłaś w hotelu?

- Nie, pamiętam, jak ją zapinałam. Musiałam zgubić w Bukłach. Mój Boże, trudno będzie znaleźć w tej gęstej trawie, wśród chwastów...

- Pojedziemy - zaproponował doktor. - Odnajdziemy bransoletkę, a potem odwiezę tu panią, bo muszę być dziś jeszcze w Białymstoku.

- Świetnie - ucieszyła się. r

Pojechali.

Łatwo było powiedzieć „odnajdziemy zgubę”, trudniej dotrzymać obietnicy.

Na próżno przeczesywali wysokie trawy i zarośla.

- Gdzie tu pani chodziła?

- Wszędzie. Kręciłam się koło domu i przy kapliczce. I w ogóle... Tu w ogrodzie... doprawdy nie potrafię odtworzyć wiernie mego „itinerarium”. Gdzieś tutaj...

Doktor rozchyłał krzaki, Jula na kolanach wypatrywała błysku złota wśród niższej roślinności. Bez skutku.

- Przykro mi - powiedział wreszcie doktor - muszę już jechać. Czekają na mnie... umówiłem się... Chodzi o ważną sprawę, wydrukowanie mojej pracy.

- Proszę jechać - podniosła się z kolan i otrzepała rękę. - Tatuś po mnie przyjedzie. Tak się umówiliśmy.

Leo powolutku jadł lody i rozkoszował się zimnem, które wraz z każdą łyżeczką spływało do żołądka. Nie spodziewał się już niczego złego, ból jednak powrócił. Silniejszy niż rano. Nitrogliceryna nie pomogła.

160

mm

- Zadzwońę po pogotowie - zdecydował Śliwa. - Mają tu w miasteczku jedną karetkę. Może akurat będzie wolna.

Karetką była wolna i zjawiała się po dziesięciu minutach.

- Jadę za nimi - oświadczył Franciszek Sawoniewicz. - Nie mogę zostawić go samego. Muszę wiedzieć, w jakim będzie szpitalu...

- Szpital jest w Białymstoku - przerwał lekarz.

Po zastrzyku ból minął, ale konieczne były badania i stała opieka lekarska.

- Gdy doktor odwiezie Julę, niech ona u was na mnie czeka. Wrócę po nią.

- Czy zauważyłeś - zaczęła po ich odjeździe pani Helena - Ald-kowi bardzo się podoba Jula.

- Może - wzruszył ramionami Śliwa.

- Dobrze by było...

-Co?

- Gdyby i ona...

- Ona? Taka po świecie bywała...

- Nasz Aldek też bywały... I on doktor. Uczony.

- Ona też uczona. Skończyła tę, zdaje się ekonomię...

- Ekonomię! - prychnęła pogardliwie. - Co znaczy ekonomia wobec studiów Aldka! Filologia klasyczna - zaakcentowała z nabożnym szacunkiem - to są dopiero prawdziwe studia, a nie żadna ekonomia. Prowadzić księgowość byle baba potrafi, ale gadać po łacinie...

- Ona gada po francusku - przerwał Śliwa i zszedł do ogrodu.

Nie zauważyła nawet, gdy nagle zrobiło się cicho.

Była dość daleko od domu, na drugim końcu dawnego ogrodu. Robotnicy musieli już skończyć pracę, a na zwykłym miejscu nie było samochodu inżyniera.

Ta cisza działała na nerwy, tym bardziej że i niebo zaciągnięte chmurami, dziwnie omroczyło ziemię. Świat wesoły i dobrze znany w słońcu, w tym dziwnym oświetleniu stawał się jakiś obcy, wręcz groźny.

Dlaczego tatuś nie przyjeżdża?

Gdy zbliżyła się do domu posłyszała głosy.

- Słuchaj, Ćmielak - mówił jakiś mężczyzna. - Daj spokój wygłupom.

- Boisz się? - drugi głos był ochrypły i przykry dla ucha.

161

- Boję się i radzę ci, nie podskakuj.

- Skurwysyn.

- Pijany jesteś.

- No to co, że pijany?

- Nie przynoś wódki na budowę.

- Jak będę chciał, to przyniosę. I kto mi co zrobi?

- Jak się upijesz, gadasz głupoty.

- A ty taki mądry...
- Cicho, ktoś tu jest.
- Nie ma nikogo, wszyscy poszli, a inżynier dawno odjechał. Żeby dopaść tego starego...
- Co ci?
- Nadziany forszą. Mówię ci, łatwo by nam...
- Cicho, słyszysz?
- Masz, wypij. Coś taki strachliwy?
- Stul mordę. Widzisz?
- Ta dziwka... wszędzie łązi.
- Nie wychodź, może zaraz sobie pójdzie.
- Nie ma samochodu. A jeżeli jest sama?
- No to co?
- Pietrek, jeżeli jest sama... to jedyna okazja...
- Co pieprzysz?
- Nie kapujesz? Tatuś beknie za nią tyle mamony, ile zażądamy.
- Zwariowałeś?

Jula nie zdążyła się oddalić, gdy w otwartych drzwiach domu stanął zarośnięty drab w brudnej koszuli.

- Panienczka sama? - posłyszła ohydny, zapijaczony głos.
- Zaraz po mnie przyjadą - starała się mówić pewnie.
- Przyjadą - burknął.
- Idziesz, Ćmielak? - odezwał się drugi mężczyzna, mniej odrażający.
- Zaczekaj.
- Chodź.

Mężczyzna o nazwisku Ćmielak zbiegł ze stopni i stanął tuż przed nią. Cofnęła się.

- Nic panience nie zrobię - wionął na nią odór wódki. Drugi mężczyzna podszedł do Ćmielaka.
- Chodź. - Ujął go za ramię. - Za dużo chlasz.

162

- Odpieprz się, cholero - wrzasnął Ćmielak.

Jula odwróciła się szybko. Zrozumiała, że musi uciekać. Natychmiast.

Zdażyła zaledwie przebiec kilkanaście metrów, gdy poczuła chwytające ją ręce.

Chciała krzyknąć, zatkało jej usta. Walczyła z napastnikiem, miała nadzieję, że ten drugi mężczyzna, trzeźwy, pomoże jej wyrwać się z łap pijanej bestii. Niestety, Ćmielak wydawał rozkazy, chyba wytrzeźwiał, a tamten spełniał, co mu nakazano.

- Leć, Pietrek, na wieś. Tam u Konowicza jest wóz. Niech zaprzęga i wracaj, ja tymczasem przytrzymam dziewczuchę.
- Co chcesz zrobić?

Mówię ci, tatuś beknie. Kapujesz? W diabły tę cholerną budowę. No, rusz się! Brutalne ręce trzymały ją mocno, zarzucona na głowę szmata tamowała oddech.

- Proszę mnie puścić! - usiłowała krzyczeć, ale za każdym słowem brudna szmata dostawała się do ust i było jeszcze gorzej.

Wiążano jej ręce i nogi i po chwili była całkiem unieruchomiona, omotana ostrym konopnym powrozem.

Jak baleron - pomyślała, a potem przestraszyła się. - Jeśli ojciec przyjedzie i zastanie dwóch bandytów...

Ale ojciec nie przyjeżdżał, a jej sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Długo leżała pozbawiona jakiegokolwiek ruchu, tak długo, że w zdrętwiałych członkach poczuła ból. I nagle posłyszała skrzyp kół i tupot konia.

Wrzucono ją na wóz jak worek kartofli. Jęknęła głośno. Wówczas uchylono szmatę, a w usta wciśnięto jej knebel, jakiś wstrętny łachman, a obrzydzenie pozbawiło ją nieledwie przytomności.

Starła się oddychać głęboko nosem, ale i ta dogodność została jej odjęta. Oto okryto ją plugawym kocem, którego zapach przyprawiał o mdłości.

Woźnica cmoknął na konia i wóz potoczył się po nierównej drodze.

Nie wiedziała, dokąd ją wieziono, nie mogła odgadnąć kierunku, ani celu przeznaczenia. Była tak obolała i przerażona, że nie potrafiła powstrzymać łez.

Płakała, dławiąc się ohydny kneblem, nie panowała już nad strachem i rozpaczą.

Boże ratuj! Boże ratuj! - powtarzała bezgłośnie.

163

f

- Odpieprz się, cholero - wrzasnął Ćmielak.

Jula odwróciła się szybko. Zrozumiała, że musi uciekać. Natychmiast.

Zdażyła zaledwie przebiec kilkanaście metrów, gdy poczuła chwytające ją ręce.

Chciała krzyknąć, zatkało jej usta. Walczyła z napastnikiem, miała nadzieję, że ten drugi mężczyzna, trzeźwy, pomoże jej wyrwać się z łap pijanej bestii. Niestety, Ćmielak wydawał rozkazy, chyba wytrzeźwiał, a tamten spełniał, co mu nakazano.

- Leć, Pietrek, na wieś. Tam u Konowicza jest wóz. Niech zaprzęga i wracaj, ja tymczasem przytrzymam dziewczuchę.

- Co chcesz zrobić?

- Mówię ci, tatuś beknie. Kapujesz? W diabły tę cholerną budowę. No, rusz się! Brutalne ręce trzymały ją mocno, zarzucona na głowę szmata tamowała oddech.

- Proszę mnie puścić! - usiłowała krzyczeć, ale za każdym słowem brudna szmata dostawała się do ust i było jeszcze gorzej.

Wiązano jej ręce i nogi i po chwili była całkiem unieruchomiona, omotana ostrym konopnym powrozem.

Jak baleron - pomyślała, a potem przestraszyła się. - Jeśli ojciec przyjedzie i zastanie dwóch bandytów...

Ale ojciec nie przyjeżdżał, a jej sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Długo leżała pozbawiona jakiegokolwiek ruchu, tak długo, że w zdrętwiałych członkach poczuła ból. I nagle posłyszała skrzyp kół i tupot konia.

Wrzucono ją na wóz jak worek kartofli. Jęknęła głośno. Wówczas uchylono szmatę, a w usta wciśnięto jej knebel, jakiś wstrętny łachman, a obrzydzenie pozbawiło ją nieledwie przytomności.

Starła się oddychać głęboko nosem, ale i ta dogodność została jej odjęta. Oto okryto ją plugawym kocem, którego zapach przyprawiał o mdłości.

Woźnica cmoknął na konia i wóz potoczył się po nierównej drodze.

Nie wiedziała, dokąd ją wieziono, nie mogła odgadnąć kierunku, ani celu przeznaczenia. Była tak obolała i przerażona, że nie potrafiła powstrzymać łez.

Płakała, dławiąc się ohydny kneblem, nie panowała już nad strachem i rozpaczą. Boże ratuj! Boże ratuj! - powtarzała bezgłośnie.

163

Wasia spojrzał w niebo, a widząc, że burzowe chmury rozpełzły się, oczyszczając horyzont, pospieszył do autobusu.

Miał jeszcze przed sobą parę godzin dnia.

Dom jak zwykle o tej porze odpoczywał po robocie, cichy i samotny.

Wasia ogarnął wzrokiem nowe słupy ganku, stos desek pod oknami, po czym spróbował drzwi. Nie były zamknięte, choć technik, czy inżynier, ostatni opuszczający budowę zobowiązali się zabezpieczać dom. Nocny stróż miał własny klucz i w razie deszczu mógł schronić się pod dachem.

- Wszystkich trzeba pilnować - mruknął ze złością.

Usiadł na stopniach, wyjął kanapkę i pojemniczek z jogurtem. Ciepły napój wydał się ohydny.

Ukośne promienie słońca strzelały prosto w ziemię, a w tym oświetleniu trawa nabierała mocnej, nieledwie butelkowej barwy.

Nagle w tej zieleni coś zamigotało. Słońce odnalazło swój metal -złoto.

Wstał powoli i wyłuskał spośród ździebeł bransoletkę Juli. Znał ją dobrze, widując na ręku dziewczyny. To „znalezisko” napęliło go niewytłumaczonym niepokojem. ,
Zrobił kilka kroków i zauważył ślady kół i podków.

Pewnie przywieziono deski - uspakajał się.

Ale niepokój nie mijał, tym bardziej że ślady nie prowadziły do głównej drogi, skąd zazwyczaj przywożono materiały budowlane, lecz skręcały w bok, ku lasom.

Nie zastanawiając się ruszył tym tropem.

Co robiła w trawie bransoletka Juli? - tłukło się w głowie. - I te ślady podków...

Szedł coraz szybciej, prawie biegł.

Dziewczyna zawsze była w towarzystwie ojca - przekonywał sam siebie. - Czyżby jednak i wuj...

Bał się myśleć dalej o tym, co mogło się wydarzyć, przypominał bowiem sobie ostrzeżenie nocnego stróża. Ćmielak. Tu było niebezpieczeństwo.

Nagle ślady skręciły na wąską polną drogę, mimo zapadającego zmroku widział je wyraźnie. Ciemna linia lasu przybliżała się powoli.

Nie był to naturalnie żaden bór ani puszcza, ot zwykły w tych stronach las mieszany, przetrzebiony i częściowo wycięty, niemniej

164

w miarę zagłębiania się w panujący pod konarami mrok, drzew jak gdyby przybywało. Stały ciasno, jedno blisko drugiego, tworząc prawdziwą gęstwinę.

W pewnej chwili posłyszał parsknięcie konia. Był więc już blisko, a wóz stał w miejscu.

- Ktoś idzie - odezwał się nagle męski głos.

- Co z ciebie za pomoc - to mówił Ćmielak. - Wilcze łajno. Boi się wszystkiego, cholera.

Wasia przystanął, ukryty za drzewami.

- Słuchaj, a jeśli dziewczucha...
- Co dziewczucha? Czego chcesz?
- Coś tak ścichła...
- Pewnie, że ścichła. Z kneblem i ty byś nie gadał.
- Ona... nie rusza się.
- Przecie związana, durniu.
- A jeśli... nie żyje?
- Czego ma nie żyć? Krzywdy nie ma, że knebel w gębie...
- Mogła... się udusić...

Wasia poruszył się, aż trzasnęła sucha gałązka.

- Co ty? Jeszcze nikt się nie udusił z kneblem.
- Okryłeś ją...
- Pewnie, że okryłem. Zaraz odkryję. Napisze list do tatusia, a ty zanieziesz.
- Ja? Ani mi w głowie.
- Cwany jesteś. Brudna robota to ja. A ty... Połowa szmału, co?
- Mówiłem ci, Ćmielak, nie podskakuj. Jeszcze i teraz jest czas. Rozwiąż ją, pojedziemy na budowę.

- I co? Zaaresztują nas. Dziewucha narobi takiego wrzasku, że usłyszą w Warszawie.

- Inżynier trzymał cię tylko na prośbę twojej baby. Przyleciała ze skargą. Pieniędzy nie dajesz, pijesz, dzieci głodne...

- I co mi z tego, że głodne? Czy to ja chciałem? Baba laźła... a teraz skamle. Mówię ci, słuchaj mnie, lepiej zarobisz niż na tej pieprzonej budowie.

- Żadnego listu nie poniosę, wybij to sobie z głowy.
- Musisz. Poczta za długo idzie. Gdzie ją trzymać przez ten czas.
- Gdzie chcesz. Mnie to nie obchodzi. Idę do domu.
- Ani się waż. Tak cię urządzę...

165

- Nie groź mi, nie boję się.
- Coś nagle tak zodważniał? Ty cholerny tchórze...
- Dość tego... Idę na posterunek.
- Pietrek, ty sukinsynu, ze mną żartów nie ma.

W tej chwili Wasia posłyszał jakby głucho stęknienie. Nie czekał dłużej i ruszył naprzód. Nie ukrywał też swojej obecności, byłoby to zresztą niemożliwe w tych warunkach.

Rozmawiający zamilkli. Widać czekali na pojawienie się intruza.

Wasia przedzierał się przez gęste zarośla, aż wy dostał się na ślad dawnej drogi. Przed nim zaczerniał kształt wozu i zad koński.

- Co się tu dzieje? - krzyknął.
- Masz, czego chciałeś - mruknął drugi mężczyzna, zwany Pietrkiem.

Wasia dopadł wozu, ale Ćmielak był szybszy i odepchnął go brutalnie, Wasia z trudem utrzymał równowagę.

- Czego tu, ruski szpiegu? - warknął bandyta. - Wynoś się bo tak cię zamaluję...
- Julia? - Wasi głośno biło serce, gdy zadawał to pytanie.

Odpowiedziało stęknienie, głos jak gdyby wydobywał się spod

ziemi.

Z wyciągniętymi rękami rzucił się do wozu i Ćmielakowi znowu udało się odepchnąć „napastnika”.

- Pietrek! - wrzasnął - daj sznur...

Ale Pietrek nie odpowiedział, trzask gałęzi i tupot nóg oznajmiły jego ucieczkę.

- Ścierwo! Psiakrew! - mamrotał Ćmielak, rozwścieczony zdradą współnika, usiłując nie dopuścić Wasi do wozu. Ale i Wasia znał walkę i różne chwytty i Ćmielak nie dałby mu rady gołymi rękami. Miał jednak nóż.

Wasia odrzucił bandytę, pochylił się nad wozem i zerwał okrywający dziewczynę koc.

- Skurwysyn! - ryknął Ćmielak i zamachnął się nożem.

Trafił w ramię, a potem niepomny już na nic, oszalały z wściekłości, podniecony wódką, dźgał na ośle, gdzie popadło.

Wasia na próżno uchylał się od ciosów. Nagle usłyszał głos, jedyny głos, jaki istniał dla niego na całym świecie, tak wyraźnie, jak gdyby ta osoba była tuż obok.

- Bazyl! Bazyl! - powtarzał głos z rozpaczą, a był to głos miłości.

Uskoczył w bok i dzięki temu uniknął śmierci. Brocząc krwią po-

166

- Nie groź mi, nie boję się.

- Coś nagle tak zodważniał? Ty cholerny tchórze...

- Dość tego... Idę na posterunek.

- Pietrek, ty sukinsynu, ze mną żartów nie ma.

W tej chwili Wasia posłyszał jakby głucho stęknienie. Nie czekał dłużej i ruszył naprzód. Nie ukrywał też swojej obecności, byłoby to zresztą niemożliwe w tych warunkach.

Rozmawiający zamilkli. Widać czekali na pojawienie się intruza.

Wasia przedzierał się przez gęste zarośla, aż wydostał się na ślad dawnej drogi. Przed nim zaczerniał kształt wozu i zad koński.

- Co się tu dzieje? - krzyknął.

- Masz, czego chciałeś - mruknął drugi mężczyzna, zwany Pietrkiem.

Wasia dopadł wozu, ale Ćmielak był szybszy i odepchnął go brutalnie, Wasia z trudem utrzymał równowagę.

- Czego tu, ruski szpiegu? - warknął bandyta. - Wynoś się bo tak cię zamaluję...

- Jula? - Wasi głośno biło serce, gdy zadawał to pytanie.

Odpowiedziało stęknienie, głos jak gdyby wydobywał się spod ziemi.

Z wyciągniętymi rękami rzucił się do wozu i Ćmielakowi znowu udało się odepchnąć „napastnika”.

- Pietrek! - wrzasnął - daj sznur...

Ale Pietrek nie odpowiedział, trzask gałęzi i tupot nóg oznajmiły jego ucieczkę.

- Ścierwo! Psiakrew! - mamrotał Ćmielak, rozwścieczony zdradą współnika, usiłując nie dopuścić Wasi do wozu. Ale i Wasia znał walkę i różne chwytty i Ćmielak nie dałby mu rady gołymi rękami. Miał jednak nóż.

Wasia odrzucił bandytę, pochylił się nad wozem i zerwał okrywający dziewczynę koc.

- Skurwysyn! - ryknął Ćmielak i zamachnął się nożem.
Trafił w ramię, a potem niepomny już na nic, oszalały z wściekłości, podniecony wódką, dźgał na oślep, gdzie popadło.
Wasia na próżno uchylał się od ciosów. Nagle usłyszał głos, jedyny głos, jaki istniał dla niego na całym świecie, tak wyraźnie, jak gdyby ta osoba była tuż obok.
- Bazyl! Bazyl! - powtarzał głos z rozpaczą, a był to głos miłości.
Uskoczył w bok i dzięki temu uniknął śmierci. Brocząc krwią po-

166

trafił jeszcze wydrzeć knebel z ust Juli, na próżno jednak starał się rozsypać krępujące ją więzy.

- Wasia - wydyszała - Wasia...
- Daj nóż, muszę przeciąć sznury.
- Ty skurwysynu! - zapiął ochryple bandyta i zamierzył się nożem.

Wasia pochwycił uzbrojoną rękę. Pasowali się w milczeniu.

Straszne to było zmaganie, w ciemnościach, wśród drzew, przy wozie, który chwiał się i skrzypiał za każdym potrąceniem.

Koń zwęszył krew, podnieciła go tocząca się tuż obok walka, szarpnął gwałtownie wozem i zarżał.

Jula unieruchomiona i bezwładna, mogła tylko powtarzać: - Wasia... Wasia...

A Wasia zdawał sobie sprawę, że długo nie wytrzyma, wraz z krwią tracił siły. Cała sukienka Juli była poplamiona.

Utrzymywał w żelaznym uchwycie rękę z nożem, wreszcie drugą ręką pochwycił koc i zarzucił na głowę bandyty.

Ćmielak stracił równowagę, zadławił się, a chwytając się drabiny wozu, wypuścił nóż, który brzęknął o korzeń.

Wasia błyskawicznie schylił się, podczas gdy Ćmielak usiłował niezgrabnie uwolnić się od koca, i jednym cięciem przeciął więzy dziewczyny.

- Wasia — powiedziała tylko i rozplakała się.

Wasia z nożem w ręku z trudem wgramolił się na wóz.

- Bierz lejce, jedziemy do miasteczka - rzucił rozkazująco. - I pamiętaj, w razie czego z przyjemnością wpakuję ten nóż w twoje parszywe plecy!

Drogą do miasteczka biegł, zataczając się, półprzytomny ze strachu mężczyzna, wrzeszcząc:

- Ludzie! ratunku! pomocy! Mordują panienkę z Bukłów!

- Chwilowo nie widzę nic groźnego - mówił główny kardiolog białostockiego szpitala.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. Siostra pana zaprowadzi.

Franciszek Sawoniewicz poszedł długim korytarzem za młodą pielęgniarką.

167

i

Leo, blebszy niż zwykle i przypięty do kroplówki, leżał na tak zwanym oddziale intensywnej terapii. Jakies druty łączyły go ponadto z monitorem, rejestrującym

pracę serca.

- Wasia jeszcze nie wrócił - uprzedził pytanie pacjenta. - Gdy się tylko pojawi, zaraz go tu przyślę.

Długo nie można było męczyć chorego rozmową, poszedł więc do automatu w holu, by zadzwonić do Śliwów.

- Jak Leo? - zapytali.

- Dobrze. Wkrótce przyjadę po Julę. Chcę tylko doczekać się Wasi.

- U nas nie ma Juli.

- Nie ma?

- Nie ma. Chyba zabrał ją Aldek. Zapisz numer jego telefonu komórkowego.

Zanim tam zadzwonił, spróbował w hotelu. Ale i tam jej nie było. Znowu skontaktował się ze Śliwą.

- Czy doktor nie dzwonił? Jego telefon nie odpowiada.

- Nie, ale wróci na noc. - A potem dodał nieśmiało: - Nie denerwuj się, może gdzieś poszli... zabawić się... czy ja wiem...

- Może.

- Nie wiedzieli przecież, że Leo... Bądź spokojny, wkrótce wszystko się wyjaśni.

Mimo tych słów nie mógł być spokojny.

Za oknem stał już wieczór, a on, potrzebny może gdzie indziej, sterczał w szpitalnym holu przy telefonie.

Wreszcie niecierpliwość i niepokój sięgnęły szczytu. Zadzwonił do pani Jaszuskiej.

- Może lepiej zawiadomić policję? - zapytał wyjaśnwszy całą sytuację.

Spotkamy się w komisariacie - odpowiedziała i podała adres.

W tej samej chwili pojawiła się znajoma już pielęgniarzka.

- Proszę pana do telefonu - oznajmiła.

Pospieszył za nią.

Dzwonił doktor.

- Zostawiłem pannę Julę w Bukłach - tłumaczył się. - Miałem ważne spotkanie, a pan miał po nią przyjechać.

- Boże mój, gdzież więc ona? Coś się stało...

- Może Wasia zabrał ją autobusem.

- Jadę na policję. Tak radzi pani mecenas.

168

Leo, bledszy niż zwykle i przypięty do kroplówki, leżał na tak zwanym oddziale intensywnej terapii. Jakież druty łączyły go ponadto z monitorem, rejestrującym pracę serca.

- Wasia jeszcze nie wrócił - uprzedził pytanie pacjenta. - Gdy się tylko pojawi, zaraz go tu przyślę.

Długo nie można było męczyć chorego rozmową, poszedł więc do automatu w holu, by zadzwonić do Śliwów.

- Jak Leo? - zapytali.

- Dobrze. Wkrótce przyjadę po Julę. Chcę tylko doczekać się Wasi.

- U nas nie ma Juli.

- Nie ma?

- Nie ma. Chyba zabrał ją Aldek. Zapisz numer jego telefonu komórkowego.

Zanim tam zadzwonił, spróbował w hotelu. Ale i tam jej nie było. Znowu skontaktował się ze Śliwą.

- Czy doktor nie dzwonił? Jego telefon nie odpowiada.

- Nie, ale wróci na noc. - A potem dodał nieśmiało: - Nie denerwuj się, może gdzieś poszli... zabawić się... czy ja wiem... '

- Może.

- Nie wiedzieli przecież, że Leo... Bądź spokojny, wkrótce wszystko się wyjaśni. Mimo tych słów nie mógł być spokojny.

Za oknem stał już wieczór, a on, potrzebny może gdzie indziej, sterczał w szpitalnym holu przy telefonie.

Wreszcie niecierpliwość i niepokój sięgnęły szczytu. Zadzwonił do pani Jaszuńskiej.

- Może lepiej zawiadomić policję? - zapytał wyjaśnwszy całą sytuację.

Spotkamy się w komisariacie - odpowiedziała i podała adres.

W tej samej chwili pojawiła się znajoma już pielęgniarka.

- Proszę pana do telefonu - oznajmiła.

Pospieszył za nią.

Dzwonił doktor.

- Zostawiłem pannę Julę w Bukłach - tłumaczył się. - Miałem ważne spotkanie, a pan miał po nią przyjechać.

- Boże mój, gdzież więc ona? Coś się stało...

- Może Wasia zabrał ją autobusem.

- Jadę na policję. Tak radzi pani mecenas.

168

- Dobrze. Zaraz i ja tam będę.

Gdy na drodze zawarczał samochód, a światła dwiema smugami przecięły ciemności, Ćmielak rzucił lejce i bez słowa zsunął się z wozu.

Koń szedł jeszcze chwilę, ale nie czując ręki woźnicy, stanął.

Dwaj policjanci wyskoczyli z samochodu i z bronią w ręku podeszli do wozu.

- Co tu... - zaczął jeden.

- Dzwon po karetkę - wykrzyknął drugi. - Prędezej!

Na wozie siedziała Julia w zakrwawionej sukience, obejmując ramionami bezwładne ciało Wasi.

- Jest bardzo poraniony - powiedziała cicho. - Ten człowiek miał nóż...

Policjant schylił się i spod bezwładnej ręki Wasi podniósł ociekające krwią ostrze.

- Sukinsyn - mruknął.

Na posterunku znaleźli się jednocześnie z karetką.

- Mnie nic nie jest - powiedziała szybko. - To jego krew - wskazała sukienkę. - Proszę go ratować.

Na biurku dyżurnego zadzwonił telefon.

- Tu Komenda Główna w Białymstoku - oznajmił głos. - Macie natychmiast przystąpić do poszukiwań...

- Już odnalezieni - przerwał dyżurny. - Przed chwilą karetka zabrała ich do szpitala. Zatrzymaliśmy jednego, drugiego szukamy.

W białostockiej komendzie trzy osoby jednocześnie wydały westchnienie ulgi.

- Jedźmy do szpitala - zarządziła pani mecenas. - Niedługo muszą tam być.

Franciszek Sawoniewicz wtajemniczył dyżurnego lekarza w sytuację, nadmieniając jednocześnie, by Leo nie dowiedział się o zaszłych wypadkach.

Jula, nie zważając na poplamioną suknię, rzuciła się do ojca. Roztrzęsiona i rozdygotana znowu zaczęła płakać.

- Wasia... tatusiu - łkała - Wasia to bohater... uratował mnie... Żeby tylko nic mu się nie stało.

Wasia leżał na operacyjnym stole.

- Ale go poharatali - mamrotał w maskę chirurg. - Osiemnaście

169

ran ciętych i kłutych. To cud, że nie wypuścili z niego wszystkiej krwi.

- Mocno trzyma się życia - odparł również w maskę asystujący lekarz.

Wasia nic nie czuł ani nie słyszał. Znajdował się gdzieś daleko, a mama i babcia, pełne uśmiechów, pochylały się nad nim.

Ćmielaka ujęto nad ranem.

Pijany do nieprzytomności spał pod drzewem, na skraju lasu, zagrzebany w listowiu.

Obok leżały dwie puste butelki po wódce.

Julę na noc zatrzymano w szpitalu

- Wolę mieć ją na oku - oświadczył lekarz dyżurny. - Zrobiłem zastrzyk, będzie spać.

Umieszczona w separacie pozostała pod opieką ojca, który na chwilę nie chciał jej opuścić, i specjalnej pielęgniarki. ,

Franciszek Sawoniewicz spędził straszną noc.

Wasia był w ciężkim stanie, rany zadane brudnym ostrzem groziły zakażeniem.

- Mamy antybiotyki - uspakajał lekarz. - Przy dzisiejszym stanie medycyny wszystko jest uleczalne i nie zagraża życiu.

Leo czuł się dużo lepiej. Powiedziano mu, że Wasia wyjechał na parę dni w sprawach warsztatu, chodzi o jakieś stare meble, i nic nie wie o chorobie brata.

- To i dobrze - ucieszył się. - Nie będzie się martwił. Wuju, proszę go nie sprowadzać. Przyjdzie do mnie, jak wróci... A może ja, przez ten czas, będę już w domu - dodał z nadzieją.

Jako tako uspokojeni, ojciec i córka na tę noc wrócili do hotelu.

- Nie pojedziesz więcej do Bukłów - prosiła Jula. - Tam są bandyci. Słyszałam, co mówili.

- Bądź spokojna. Już ich aresztowano.

- Ale mogą być inni..

- Nie denerwuj się. Doktor Śliwa widział się z inżynierem. Bardzo mu przykro.

- Chcę, żebyś zawsze był ze mną.

- Wiesz, dziecko, o czym myślę cały dzień?

- O czym?

170

- O tych dwóch chłopcach, a przede wszystkim o mojej cioci Kisi. Cóż to za kobieta!

- Dobrze ją pamiętasz?

- Doskonale. Była śliczną, młodą panną, wesołą, pełną życia. Latem, po kolacji, siadała czasem do fortepianu. Okna były otwarte. Muzyka leciała na ogród. A potem

stawała na ganku w jakiejś jasnej sukience i wołała: - Chodźcie, posłuchamy radia, trzeba wiedzieć, co się dzieje na świecie. - A był to sierpień trzydziestego dziewiątego roku. Taką ją zapamiętałem.

- Biedna.
- Pomyśl, co za siła była w tej dziewczynie. Nikt tego nawet nie przypuszczał.
- Nie wszyscy przecież zginęli, niektórzy przeżyli Sybir i łagry.
- Tu nie chodzi tylko o przeżycie. O coś wiele ważniejszego. Przeszła piekło, zgwałcono ją, zaznała największej nędzy i upodlenia, a jednak nie złamało to jej ducha. Pozostał wolny i niezależny. Widać to po wnukach.
- Najgorsze, że po wojnie nie pozwolono jej wrócić do kraju.
- A gdyby musiała ich zostawić? Córka żoną Rosjanina, Wasia -jego syn. Czy myślisz, że rozstałaby się z nimi?
- Ale zaraz po wojnie, póki córka była jeszcze dzieckiem...
- Nie jej jednej zamknięto wówczas drogę do kraju. Potem było już za późno. Zresztą nie zostawiłaby ich nigdy, nie mogłaby.
- Może gdybyśmy o niej wiedzieli...
- Wątpię, czy coś bym wskórał. Ja, obywatel francuski... Ale nie o tym chciałem mówić. Mój podziw wzbudziło co innego.
- Co, tatusiu?
- To, że ta kobieta, poniżona, wdeptana można powiedzieć w błoto, potrafiła tak wychować tych dwóch chłopców, właściwie dziś już nie chłopców, bo to mężczyźni. I wiesz co, porównuję ich do tych twoich „apsztyfikantów”, różnych Michelów, George'ów, co się koło ciebie kręcą, i do tych innych elegantów. Masz przecież powodzenie. Podobasz się.
- Wiem, podobam się.
- Otóż to. Grywasz z nimi w tenisa, pływasz, nieraz wieczorem zabierają cię na tańce.
- Mówisz o nich pogardliwie, jak o nierobach, a oni przecież pracują.
- Tak, wiem. Pracują. Robią pieniądze. Mają konta w banku.

171

Kilkakrotnie żenią się i rozwodzą. A teraz to się nawet nie żenią. Mieszkają jakiś czas z jedną dziewczyną, potem z drugą. Jeżeli przypadkiem urodzi się dziecko, to bywają na tyle wspaniałomyślni, że uznają je za swoje.

- Jesteś tatusiu straszliwie niesprawiedliwy i zacofany.
- To nie ja jestem zacofany, to oni.
- Ależ...
- Poczekaj, zaraz ci wytłumaczę. Pamiętasz, tej zimy byłeś na jakimś balu z twoim Michele, z Edkiem i jak to się dziś mówi z „jego dziewczyną”.
- Mireille jest dziewczyną Edka.
- Gdybym ja był dziewczyną, to za takie odezwanie Edek dostałby ode mnie w pysk.
- Tatusiu, ty się nadajesz do średniowiecza.
- Bynajmniej. Tylko z przerażeniem obserwuję degradację kobiety. W naszej cywilizacji europejskiej i chrześcijańskiej, bo wbrew temu, co głoszą różni obecni

filozofowie, cywilizacja europejska od początku, od korzeni jest chrześcijańska, nigdy chyba kobieta nie upadła tak nisko.

- Przesadzasz, tatusiu, nigdy kobieta nie stała tak wysoko. Może ubiegać się o najwyższe godności i zaszczyty.

- Ale też bywa traktowana jak niewolnica.

- Och, tatusiu...

- Wracam do tego balu. Sama mi opowiadałaś, jak to pod koniec zabawy młodzieńcy wybierali sobie dziewczyny na jedną noc.

- No i cóż z tego? To przecież zabawa.

- Ale jeden z tych rozochoconych młodzieńców chciał poderwać i ciebie.

Dopiero Edek przywołał go do porządku.

- Zupełnie niepotrzebnie. Wywołał awanturę. Uderzył go w twarz... Przecież ja bym z nim nie poszła.

- Mam nadzieję. Edek jednak zareagował właściwie.

- Wcale nie. Zachował się jak bohater z melodramatu. Było mi wstyd.

- A... Michel? Jak on się zachował?

- Śmiał się.

- Właśnie, śmiał się. Pozwolił, by w jego obecności obrażono cię.

- Nikt mnie nie obraził.

- Wracam do mego porównania. Ci dwaj, Leo i Wasia, od urodzenia w biedzie, w nędzy nawet, w lęku. Przypomnij sobie dzieciń-

172

• mm

stwo Wasi. A potem, gdy dorośli, jedyną ucieczką od rzeczywistości była wódka.

- Wasia upijał się jeszcze tu, gdy go poznałam.

- I to ona, babka, uchroniła ich od najgorszego, od ostatecznego upadku. W tym świecie bez ideałów ukazała im jakiś cel - dom rodzinny, Bukły. Ziemię ojczystą.

Dzięki niej zachowali swoje człowieczeństwo. Wszczepiła im miłość do tego domu, do tej ziemi, do naszej polskiej kultury. Jestem pewien, że mało chłopców tu urodzonych i tu chodzących do szkoły tak zna naszych wieszczów i umie na pamięć fragmenty poematów, jak oni, choć nigdy nic nie przeczytali, a uczyli się od niej.

- Oni rzeczywiście są inni.

- Są lepsi, bardziej wartościowi jako ludzie i jako Polacy.

- Wasia to bohater, gdyby nie on...

- Tak, uratował cię.

- Wstyd mi. Tak go nie lubiłam...

- Porównaj teraz jego postępek i zachowanie owego Michela.

- Tatusiu, nic nie rozumiesz. Wówczas to była zabawa.

- Teraz też była zabawa - powiedział ze złością ojciec i poszedł do siebie.

Począwszy od następnego ranka całe dni spędzała w szpitalu przy łóżku Wasi.

Gdy zobaczyła go pierwszy raz, cofnęła się przerażona. Wasia podobny był do egipskiej mumii, tors, ramiona, głowę spowijały bandaże.

- Ładnie wyglądam, prawda? - szepnął, widząc jej minę.

- Wasia...

- Nareszcie jestem interesujący - drwił.

- Nie mów tak... Jesteś bohaterem.

- Przesadzasz - przymknął oczy.

Usiadła na stojącym przy łóżku krześle i milcząco wpatrywała się w nieruchomą kukłę, w której żyło tylko cierpienie.

- Jak ... budowa? - spytał po paru dniach.

- Doktor Śliwa zastąpił cię i co dzień tam bywa.

- To dobrze...

Po tygodniu lekarz oznajmił:

- Goi się jak na zdrowym psie.

173

- Tak być powinno - ucieszył się Leo, który tego dnia przyszedł odwiedzić brata.

Co dzień też Julia kładła na poduszce przy twarzy rannego wiązanek frezji.

- Od pani mecenas - uśmiechała się.

- Uratowała mi życie - szepnął.

-Tak?

- Zawołała mnie, ostrzegła przed nożem Ćmielaka.

- Zawołała? Słyszałeś?

- Słyszałem, jak teraz słyszę ciebie.

- Co dzień przysyła kwiaty i każe przytulać ci je do twarzy.

Wasia poruszył głową.

- Pachną... są jak jej ręce.

- Wasia... czy mi przebaczysz?

- Znalazłem u jednego gospodarza komplet... Cała sypialnia... Z drzewa gruszy.

- Nie męcz się.

- Bardzo stare i piękne meble... łóżko, komódka, toaletka... stolik... szafa...

Wszystko okropnie zniszczone. Polakieruję na biało...

- Wasia.. - rozpląkała się.

- Nie chcesz białej sypialni?

- Wasia... Wasia... - nie mogła nic innego powiedzieć. Przywarła ustami do wychylającej się spod bandażu ręki.

- Co robisz?

- Przepraszam... o przepraszam... za wszystko... - podniosła na niego zapłakaną twarz.

- Czego płaczesz?

- Bo tak cię boli.

- Nic nie boli.

A potem odwinęto bandaż z głowy. Wystrzyżone włosy zaczynały powoli odrastać.

- Prawdziwy ze mnie katorżnik - śmiał się Wasia, ale innym nie było do śmiechu.

174

xxx

- Ruszajmy w imię Boże - Franciszek Sawoniewicz położył ręce na kierownicy i włączył stacyjkę.

Na ten rano słońce wrześnie odnalazło blask lata, a bledy błękit nieba mienił się perłową jasnością.

Przed hotelem żegnali ich wszyscy znajomi.

- Wracajcie latem - mówił Śliwa. - Nie poznacie Bukłów.
- Podczas przerwy semestralnej czekamy pana doktora w Paryżu - przypominała Jula.

Ruszyli.

Wkrótce ulice Białegostoku zastąpiła warszawska szosa, a ciche mruczenie motoru zagłuszyło dalekie głosy przyjaciół.

- Tak mi ciężko - poskarżyła się Jula. - Żałuję, że nie pojechałam z tobą do Bukłów pożegnać domu.
- Po takim przejściu...
- My z Edkiem byliśmy tu pierwsi...
- Pierwszy był Wasia - sprostował ojciec.
- Prawda... Wasia...

Długo milczeli.

- To tak smutno wyjeżdżać... westchnęła. - Jak w tym francuskim wierszu: Odjechać to jakby „trochę umrzeć”.

- Partir c'est mourir un peu - zacytował ojciec.
- Niepokoję się o Wasię.
- Nie trzeba. Pani Jaszewska załatwiła mu pobyt w sanatorium. To go postawi na nogi.
- Czy wyjdzie za niego?
- Tak. Prosił ją. Powiedziała mi, że nie spotkała dotąd takiego człowieka.
- A co Leo?
- Wiesz przecież. Leo spędzi zimę u Śliwów. Pani Helena obiecała. Będzie miał dobrą opiekę.
- Przyjedziemy tu z mamusią. Musi zobaczyć...
- Naturalnie, dziecko. Dzięki Bogu bank się wreszcie zdecydował. Ta pożyczka pozwoli zimą wykończyć wnętrza. Wyobrażam sobie, jak to wszystko Wasia urządzi. Ma rysunki cioci Kisi...
- Może dom będzie taki, jak niegdyś. Pamiętasz przecież...
- Wszystko pamiętam. Jestem szczęśliwy, że wróciłem.

175

Tak, pamiętał wszystko. Nawet nic nieznaczące szczegóły odżyły nagle, gdy znalazł się na tej swojej ziemi. W swoim domu. Po tylu latach. On, ostatni. Dane mu było wrócić. Choć niezupełnie. Ale zostawił następców. I dom już nie będzie sam, opuszczony. Znowu odżyje. Jak dawniej. Dom. Gniazdo. Utracone i odzyskane. Wrócił. Jak dobrze, że wrócił. A czekał tyle lat. To nic. Najważniejsze, że wrócił i że mógł wzbudzić do życia to, co się wydawało umarłe. Bo naprawdę nic nie umiera, nic, co żyje w ludzkim sercu i pamięci.

Dystrybucję książek Oficyny Wydawniczej Miniatura w Gdyni prowadzą:

Wydawnictwo L&L Sp. z o.o. w Gdańsku, tel. 058 340 55 29; e-mail:

l8d@softel.gda.pl

Silva Rerum. Warszawa, tel. 022 872 48 08

Informacje i sprzedaż wysyłkowa: Oficyna Wydawnicza Miniatura w Gdyni, tel. 058

664 88 57; e-mail: owminiatura@wp.pl